IV

Słowo Polskie „Opętany"

„~~Opętany~~" i „~~Nad urwiskiem~~".

~~Nad przepaścią...~~ („Niemowa")

Promienie wiosenne słońca, idąc ukosem po niedawno ~~wygolonej roli~~ obeschłych ze śniegu zbokach, doszły do pustych wyrębów na stromem zboczu góry, zarysowały białą stado siedzących rzędami pniaków, i zbłyskitniły dym ~~w górę, który od dołu~~ rozpływający się ku górze, ~~który od dołu lekką~~ białą chmurą, a dobywający się szarymi palcami z każdego gonta, z każdej szpary niskiej chałupiny podleśnej...

Ludzie już wstali — słońce (poszło dalej) — nie zajrzało... Wstali od świtu mieszkańcy chałupiny leśnej... „Na wiosnę drogi czas — nie spanie zima... Wstań! uwarzy śniadanie i... do pola!..."

Temi słowy obudził Bartek swoją babę... ~~się wyskoczyła~~ Przeciągła się leniwie, jak kotka ~~od słońca~~ na przypiecku, ciepło jej było i dobrze. Ale jak mus, to mus — wyskoczyła, zdziała spódnicę i pośpieszyła ku nalepie... Dzieci, ~~figlow~~ zbudzone gwarem, „figlowały się" z ojcem na łóżku. Niezadługo Bartek zostawił dzieci same, wytrzepał z wiórów siermiężniaczych słomę, co mu „bez noc nalazła" i umywszy się zimną wodą z konewki, przeszedł do okna zmówić pacierz...

— Ojcze nasz, któryś jest w niebie... — szeptał machinalnie patrząc przez szyby na dolinę, gdzie cała wioska osiedlana się rozłożyła... Zagony krótkie i dłuższe krzyżują się na przemian, wchodzą jedne w drugie i klinami wdzierają się w puste ugory i pastwiska... Zda się, że wielka jakaś siła rzuciła ~~stary~~ wyszarzały płaszcz na ziemię, na którym łata na łacie, o różnych wyblakłych barwach...... ~~Tak się przedstawia między poorana~~

— Ale nas zbaw ode złego.. — dodał głośniej i zwrócił się do żony — ~~Wstań~~ Patrzno Ulka!.. Jasiek od Grzele już ~~orze~~ kaj orze koło zimnej wody..

— A niech ta! — odpowiedziała, wsypując ziemniaki do garnka — Jak Bóg da, to i my zaorzemy na czas. Ni mamy wiela...

— Zdyć... — zasępił się Bartek i począł szeptać — Zdrowaś Maryjo łaskiś pełna... ~~Nie wiela~~ „Ni mamy wiela", nie... — Po każdym następnym „zdrowasku" chwytał się za każdy następny palec, żeby nie „zmylić" przypadkiem, bo miał zamiar zmówić całą „cząstkę różańca"... Ale przy piątym „~~Zdrowaśka~~" już nie mógł „nijako dojść do końca"!.. To zaczynał na nowo, to się żegnał parę razy, ale wszystko na nic!.. Nie mógł myśli przykrótać, które wola jego już od samego świtu wypowiedziały posłuszeństwo, a teraz stanęły w jawnej niezgodzie z nim samym...

— „Nie porada se dać rady"!.. ~~Myśl odleciała~~ do ~~roli do siania, do ugonów~~ łata po wsi, po dolinie... i poszedł za niemi, gdzie go wiodły...

zagon
Widzi... „Jasiek orze koło Żywnej Wody, zaś za drzwiatek wyjeż-
gnął przy jółek od Cieśle [illegible] – nie stać
go na większe... A przecie niedawno był z niego sławny
gospodarz!... ~~[illegible]~~ Jędrzejowe okiem role i zagrody – jak to
wszystko zmarniało do kaduka!... Ino nieboszczyk Łyja-
nek od gruzy mógł ten kawałek, ale długie staje ode-
rwał – dziś – ino strzępy... Dzieciska potargały, pod działy się
do równi, i ostało im po zagonie... A dyć ono nie
inszy zaś!... bo i ~~[illegible]~~ u Żepiły nie dojrzysz
~~[illegible] roli kawałka~~, coby konie ~~[illegible]~~ owca mogła obróć
na niego... same zagony wązieńkie, jak nitki
Madre i wiedzę – jeden przy drugim... Do kaduka!
co się to dzieje?... Jeno to nie dawny czas, a tak
się pozmieniało wszystko!" – ~~[illegible]~~ znów oko
~~[illegible]~~ jego zatrzymało się na Józkowym zagonie...
Ihm – myśli sobie – któż by to był pomyślał [illegible]
„Boże kochany! Za nieboszczyka ojca on sam, Bartek
nie sto razy orał ten zagon i nigdy mu na
myśl nie przyszło, że go będzie kto inny orał,
a on musi na to patrzeć ... ~~[illegible]~~ ale cóż?... Przyszło
przyszło, zebrał ojca, tak było w dziale spłacać
Józkowi jednego jeszcze dał mu zagon – więc
[illegible]... A szkoda!... bo się dzieje mu ziemia i
rychlik i [illegible], nawet ten ~~[illegible]~~ nowe
~~błoto od [illegible]~~ powód kobiecia... ~~[illegible]~~ szkody
wielkiej szkoda... – ale nich ma. Jeno to dziwno
że tak drobnieją te grunta, jakby nieprzyjaciel
cenzy... Co by to było?..." myśli. A tak
już widziałeś, ino... zło... zaraza!... Nieboszczyk
bo przecie dziadek mówił: całe te zagrody, każdy
Zagon... Dziś – jest pus pisan do tego... ~~A~~ Bartek
On podzielił synom ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~
a ci – znowu podzielą ~~[illegible]~~ swoje dzieci...
krzyknął głośno Jezus kochany!... –
– Bartek, o cóż się ty dziw?... ~~[illegible]~~ mówił
orom baba... podeszła ku niemu... przestań
nie stygnie noc... ~~[illegible]~~ [illegible] oczy Bartek
Ty od miedzy do miedzy od zagona do zag-
ona – myśl pracowitą ~~[illegible]~~ uporną,
pot kroplami stanął na czole, aż mu
z wyobraźni ~~[illegible]~~ wszy[illegible] obrona, które
w myślach wozy i dziesiątki już ~~[illegible]~~
się oddalała ~~[illegible]~~ że myśl z przyszłości
wystąpiła ~~[illegible]~~ miedze – miedze same, jeden
przy drugim, ~~[illegible]~~ jak stoby na uwięzi
Zobaczył coś ~~strasznego~~... zobaczył on
tej roli – ~~[illegible]~~ ... ~~[illegible]~~ ciasnoty...
(1)

(1) ~~Wilgotne trudy czerwienią się~~ Zobaczył coś strasznego...
~~Zobaczył schodzące się miedze, nieporozumienie, jak okurzówki~~ ~~[illegible]~~. Wilgotne trudy czerwienią się zdziwi, jak gęsto
ściętą, skrzepłą krew, a tłumy ludzi, ~~jak mrowie~~ idą mro-
wiskiem, czernią, milcząco naraniu zalewają krwawe to pole
I widzi, jak się to zbiegowisko kłębi i dusi i spycha i wali
zajadle o każdą ściebę, aż ziemia powilgotniała od
czarnej posoki, a ciepłe opary unoszą się w powietrze...
Chłop, ~~wzniósł się nad mrowiskiem~~
olbrzymi, wzniósł się nagle nad mrowiskiem, ~~i spojrzał~~ i kładzie
oczy zapatrzone w przepaść... Trzymkrzyk [illegible] jakby obliczał chwycić!
widmo olbrzymie... (2)

coraz to mniejsze Nic — i zdumiony bardzi, by jak mroczki zalewały ziemię czernią, zalśniły znowu srebrzyście... — Widmo otaczy prawie wszędy, a kryształ tuż przy nim, blisko... Zeszedł się z nią oko w oko...

I zbladł — i począł dygotać na całem ciele. — Każde wytchnienie zadrżało przerażeniem... „Jezus, Maryja!..." — powtórzył tylko bezdźwięcznie i padł, jak długi, na ziemię...

x

I

Gdy przyszedł do przytomności — już była pełna izba ludzi. Baba zrobiła „krzyk" i nazlatowali się „ludziska" z wielkiej ciekawości... Bartek począł się rozglądać dookoła, co by się zrazu...

— Bartłomieju?.. cóż wam to takiego?..

— Nic, nic.... — Nagle wyprostował się i wbarał wzrok za okno, na pole. — Nie widzicie?.. co?.. nie widzicie?!.. — zawołał głośno. — Odsunęli się przerażeni

— Ale ja widzę — ja widzę! — Zaśmiał się strasznie i wypadł do pola....

— Ratujcie go, wszyscy święci! — zawyła baba do zgromadzonych...

— Nie nie pomoże... — ozwał się z wielkim przejęciem ... Tak leci i no opętany...

— Opętany!.. — powtórzyli zgromadzeni z bojaźliwym drżeniem.

A on leciał „opętany" myślą, o przyszłości, ...

II

Gdy przyszedł do przytomności — zerwał się niespodzianie na łóżku, skrępowany mocno postronkami... Otworzył szeroko zdumione oczy i wodzi jedno po izbie ludzi o niezwykłych minach. Jakieś bojaźni, jakieś zastraszenie dziwne, pomieszane z ciekawością występuje jawnie widocznie z każdej twarzy... „Co to jest?" — miał się zapytać i powstać ku nim. Nieraz suche gardło powoli... „Co to jest"?.. krzyknął już wściekły, z rozpaczą, jak nigdy... W tej chwili chwyciło go parę kościstych rąk, najbliżej stojących sąsiadów — i dobrze go przyciskali...

A podniosłani bojaźliwie szeptali kumoszki.

— Wiera, jak „on" to mu trzęsie, jak słomą niepomyślnie...

— Hej! nic co innego, tylko „on". Wiera, jak ślepia wywraca...

— A piana wali się zęby... — I przeżegnały się parę razy z bojaźnią i drżeniem...

Bartek szamotał się jakiś czas, wył w wściekłości — wreszcie ustał zmęczony... To skrzeli dopiero zastygnąwszy szeptały zwrócił całe potrzebne — i począł się śmiać na całe gardło, że zgromadzeni jeszcze bardziej przerazili z gromadzonym

— Co „on” to nie wydziwo?.. powiedzie...
— Nic, ino „on”. — ozwał się najstarszy z wielką powagą.

Wreszcie Bartek — po mało tygodniu mówić do sąsiadów, do drugich. Mówił długo, jak mógł najszczerzej... Patrzeli na niego bezmyślnie i kiwali głowami z politowaniem. Tylko z twarzy jego baby coś się malowało... Gniew znowu napłynął mu do serca — i wyrwał się nareszcie z ostatnim przebłaganiem, które na zgromadzonych odbiło się echem... Z wyrazem pogardy odwrócił się ku ścianie — i przysiągł w duszy, że odtąd słowa od niego nie usłyszą... Za to myśli jako bóg [illegible] o jego mózg i odpoczynku, robiąc miejsce drugim... Nakoniec jedna tylko została, ogromna, jak jezioro — wielka duma wyniosłości. Zaciął się odtąd i zadumał w sobie...

× ×

Minęło parę tygodni, a ludzie jeszcze mówili między sobą o Bartku „opętanym”, i o tem, jak to nieporadnie było djabłu z niego wyjeżdżać, jak baba zaniosła na [illegible], a ksiądz przyszedł i pokropił święconą wodą”.
— Dyć dobrze — mówili niektórzy — djabeł uciekł, skąd przyszedł, ale zabrał mu gwarę, i że nieporadnie od niego i słowa się dowiedzieć..
— Bo nie uciekł do znaku — odmruknął stary Nastka — Dyć robi, bo robi, ale tę robotę, ale każdy mu raźno odszukli, poznać „on” przy nim... Dyć ich mieni swoimi ludzie. Ten „drugi, czarny” chodzi przy nim, jak cień...

Prawdę mówili!.. Za Bartkiem mówić coś towarzysz [illegible] Mówili wszyscy..

Robił, nie ustał, bo trzeba żyć.” ... Robił „bez wiary”, odkąd stanął nad [illegible]. Robił wiele, ale bez nadziei... Tylko czasem na ludzi złość go porywała [illegible]
„Opętany?!.. Niemowa?!.. Księga.. Dybli?..” — mówił do siebie — Zmiłujcie się wszystkie — się nie obejrzycie, jak skamiecie na nowszym... A posiedzicie oczy z głodu... Gniewem [illegible]!.. Nie usłyszycie słowa ode mnie, aż jak sami staniecie nad nowszym.. Ślepi!..

Był to nędzny kwiat na ugorze — zatruty...

„Wilia"

— Obrazek z Podkarpacia —

W chałupie Biarzy Szczygły panuje jakiś świąteczny nastrój. Wprawdzie nic się nie zmieniło od wczoraj, te same czarne, odymione ściany, te same sprzęty w izbie, nawet nowe więcej śmiecia na glinianej podłodze, ale widać z pomrucznej „wojacki" z radosnego oczekiwania, malujące się na wynędzniałych twarzach dzieci, że ma nastąpić jakaś ważna chwila, jakieś wielkie święto.... I te widoczne, zapowiednie znaki robią ten dzień niepomiernie różnym od szarych dni całego roku. To dzień „Wilii" Bożego narodzenia.

Wiedzą już o tem i dzieci, bo im wczoraj zapowiedziała matka wyraźnie:
— Zapamiętajcie se dobrze, żeby mi jutro żadne na karę nie zasłużyło... Bo jak na Wilię dostanie bicie, to je bez caluteńki rok to samo czeka...

A ojciec przypomniał im jeszcze dziś rano napomnienie matki, gdy wychodząc z ciupagą ściąć „podłaźniczkę", popatrzał na nie z niepół surowym uśmiechem i rzekł od progu:
— Nie dokazujcie, ino słuchajcie mamy, bo „na Wiliję dzieci biją"...

Tereska nie potrzebowała napomnienia — miała ona już piętnaście lat i wydatnie pomagała matce w zarabianiu ciasta z jęczmiennej mąki, ale średni Wojtuś, a szczególnie najmłodszy „zbuchany Józuś", którzy w izbie robili hałas za dziesięciu — ci dwaj „zbereźnicy", gdyby nie zapowiedź całorocznej kary, nie siedzieliby tak spokojnie w kącie.
— Teres! — zwróciła się matka do dziewczyny, która z zagiętymi po łokcie rękawami silnej koszuli miesiła ciasto na nieckach — umyj se ręce i zabierz się do inne roboty. Ja to już sama skończę. Przynieś kartofle z piwnicy, obierz je, a potem przygotuj grzyby i kapustę...
— Dyć jeszcze czas — zauważyła Teresia, nie chcąc przerywać miłej roboty. Lubiła patrzeć jak jej ciasto wymykało się z pod drobnych paluszków...
— Nie czas, nie, bo wieczór na ramieniu. Kiej się uwarzy?... A groch trza długo gotować, coby uwarł...

Tereska rada nie rada musiała słuchać. Wyjęła leniwie ręce „oplekki" co ciepłej wodzie, odwinęła rękawy i poszła z koszykiem do piwnicy.

Matka tymczasem „wymięsiła" do reszty mąkę, zarobiła drożdże i ustawiła niecki na piecu. „W cieple może się prędzej ruszy..." szepnęła do siebie i zabrała się do gniecenia bryndzy na szerokiej misce, lejąc mleko słodkie i bijąc pokopy jej...

Dwaj chłopcy przybliżyli się ku niej...
— Mamusiu, co to będzie?... — zapytał nieśmiało młodszy.
— Kołacze będą...
— Dziś? — spytał starszy.
— Dziś pół... nie wiem o tem, z Wilija...

– To nic nie będziemy jeść? bo mama powiedziała Tereni, że dopiero na wieczór ugotuje...
– Na wiliję – oświadczyła matka.
– To dopiero wieczór wilija?... – pytał żałośnie starszy.
– Cały dzień wilija, ale się dopiero na wieczór je...
– Na wieczór! – szepnęli ~~obaj~~ smutno obydwa... ~~a potem~~ i spojrzeli ku ~~jutro~~ garnkom, stojącym rzędem na nalepie.
– ~~Jutro dopiero~~! Niezadługo wróciła Tereska i jęła się obierania kartofli. Matka pokończyła swoje, zapaliła w piecu i szła robotą po robocie, raźno, wartko ~~po wszystkich wszystkich~~ w dymnej izbie – zarządzając oczekiwanie tej niecodziennej wilii.

Niebawem i Błażej wrócił z „podbarłożnej”, [illegible], jak sęk, bił kierpcami o ziemię i pchał się ku piecowi...
– Mróz, jak sto dyab...
– Cit!... – pogroziła mu żona – wilija... Nie obrażaj Boga, i ku piecowi się nie pchaj, boś nie piecuch... Jeszcze nic do czysta nieprzeżyty. W izbie nie wymarzniesz...

Błażej zbity z tropu, ~~jak~~ łypnął oczami, jeszcze raz kierpcem jęknął o ziemię i poszedł do stajni wrzucić wołom garść siana. O woły dbał, jak każdy chłop, który ma co dawać...
– Tereska! – zawołała matka – leć no za ojcem, niech z ręki drobnego siana.
– Na stół! prawda! – klasnęła w dłonie i pobiegła ~~do~~ za ojcem na boisko.

Matka przykładała drew do pieca. Dym walił się na izbę i sięgał prawie do samej ziemi... Dusiła się kobiecina, raz po raz wycierała oczy fartuchem i uparcie nie odstępowała nalepy...
– Dyć się pewnie musi przewalić... – powtarzała ~~do siebie~~ głośno.
– Mamo! szczypie! dym!... – wołał Józuś.
– To idź do izdebki... czemu tu siedzisz?...

Wojtuś pociągnął braciszka, [illegible] przed oczu. Drzwi tylko od izdebki zaskrzypiały... Dym ~~buchał~~ pchał się ~~otworzonemi~~ do sieni otwartemi na oścież drzwiami, ale i ziębu nie ustępował. Wszędzie go było pełno.
– Niech będzie pochwalony!... – ~~zaszczypnęło~~ rozległo się w sieni.

~~Kobieta~~ Gospodyni ~~lepiej~~ przetarła oczy, nachyliła się, by ~~dojrzeć~~ lepiej dojrzeć, ~~przez dym~~ kto tam ~~taki~~... ciemno...

Na progu wytyczyła się ~~chuda postać, jak we mgle~~...
– Na wieki wieków!... Kogóż to Pan Bóg prowadzi? – wypadło od nalepy.
– O moja gospodzisko!...
– A, to ty Jagnieś!... Pójdź-że dalej. Ale tu dym...
– A tam mróz, sto razy gorszy od dymu... – ~~od~~powiedziała zgrzybiała i przypadła do nóg gospodyni.
– Nie schylaj się, nie... Skądże idziesz?
– Pytające się ku idę?... bo sama nie wiem... U ludzi wilija – a u mnie zawdy post...
– No, siądźno, siądź, nie narzekaj. Zostaniesz na wiliję u nas. (Nie durno nas – to się zmieścimy)
– O moja gospodzisko!... – drugi raz przypadła do nóg ~~Kobiety~~ Błażeja.

Nie miała słów podzięki. Oto, biedna komornica, raz będzie na „porządny” wilię w cieple, przy pełnych miskach. Zdumiona nieoczekiwanem szczęściem siedziała zwinięta na ławie.

— Cóż ta u ludzi słychać?.. — spytała po małej chwili gospodyni.

~~Jagusi~~ Jagusinka nie odpowiadała, rozbierając w myśli odproszony, niedowierzając jeszcze naprawdę... Gospodyni powtórzyła zapytanie.

— U ludzi? u ludzi pytacie?.. Jak zwyczajnie wilija — każdy ciągnie do chałupy... Jasiek od Franca kupił worek mąki od żyda...

— Czy ma już brakło ziarna?

— Co mieli, to zjedli na jadwiennie... Ho! nie każdy to ma swoje, nie każdy...

— No i pomyślcie... Ka te do przednówka! a tu już kupuje...

— Za biedujo ~~cały~~ cały na przednówek...

— Dyć tak, nie inaczej... — zadumała się gospodyni, patrząc z założonemi rękami w trzaskający ogień. Myślała o przyszłości swoich dzieci... Dziś mają jeszcze... ale potem — za jakiś czas. czy ~~i one~~ ~~za~~ swoje obejdą na wilję?.. Czy ~~by~~ nie przyjdzie im kupować... A za co?...

— Rusza się... rusza!.. — zawołał wesoło mały Józek, który zaś wpadł z izdebki i wskazywał rozwartemi palcami na niecki...

Jagusinka podniosła się z ławy

— Bez uroku! piękne ciasto... Będą się darzyć kołacze...

— Oh, już czas... a je się zagadała... — kurcił się gospodyni, zdjęła z pieca niecki i przyklaskiwała dłonią ciasto, które wypychały na boki żywe drożdże...

Błażej wszedł do izby, a za nim wtaszczyła Tereska, niosąc na „narączku" dobre siano...

— Cóż tak siedzicie! — zburczała ich gospodyni — Teresz! Mój się boże, tu już dawno z południa, a jeszcze ci nic nie wre... Kładźcie ~~ogień~~ drewna na ogień i gotuj prędko... ~~Jes~~ Siano podścielisz na czas...

Komornica schyliła się z bojaźnią do kolan gazdy, pytając z nieśmiałością, czy mu „nie będzie markotno", że ją gazdzina zatrzymała na wilję... ~~i potem siedziała jej~~ Chłop się roześmiał... Więc się „posiwiała v kątku" i siedziała odtąd cicho w kącie, pragnąc „jak najmniej miejsca zajmować"...

Tereska zawinęła się koło ~~ognia~~ niecy, podniecita ogień. Z garnków buchała para, na izbę, z której już dym ustąpił drzwiami i okiennicą na górę...

Matka „wyklepywała" placki, kładła na nie bryndzę i sadzała do pieca, żegnając je krzyżem, by się lepiej darzyły... Kołacze ~~rosły~~, umieszczone na piecowym warze, rosły. A dzieci miały z tego okrutną uciechę, tylko, że o mało się im bicie nie dostało, bo podłaziły matce pod łopatę, na której wnosiła placki...

Błażej zaś „uwijał się" po izbie... Bydła polanie przynosił, podtaliwek obcinał, ale igłoś mu ~~już~~, ściskał wszystko; bo często zasierał do garnków, „rychło się uwarzy"!..

Mrok kryło się powoli... Wilijny wieczór nadchodził. Czuć go już było w podnieconej gorączce oczekiwania, malujące się na ~~twarzach~~ zgłodniałych... Nie dziwota — od rana nic nie jedli, żeby na wilję możt więcej przełknąć i bardziej się ucieszyć.

Matka już powsadzała placki, zatkała piec i zajęła się przystrojeniem wieczerzy. Cztery duże miski stały na skrzyni, Rozmaite warzywo z garnków wypełniło je po brzegi. Podczas gdy się „jedzenie" chłodziło — zaścielono w izdebce stół drobnym sianem i przykryto lnianą „paruchą"?.. Wszyscy przeszli

Do izdebki i pobiegli na ziemi, ~~z~~ ...
„Pobłogosław Panie te dary...". mówił ~~stary~~ z przejęciem Błażej, a inni powtarzali za nim... Tylko mały „Józuś" nie odczuwał tego nastroju religijnego, pierwszy wygramolił się zza stołu na ławę i wybrał swoją łyżkę, a w czasie modlitwy zjadł dwa opłatki, rozważnie pomieszczony leżący przed sobą, bo wiedział, że mu i tak nie ucieknie...

Z ~~[illegible]~~ przejęciem tej ważnej chwili obsiedli stół, a gdy gospodyni powróciła z miską i siadła w kole, poczęli się łamać opłatkiem. Łamali się naprzemian wzajemnie po dwa, po trzy razy... dzieci się chichotały wesoło, Komornica łzy miała w oczach, powaga chwili rysowała się w twarzy męża i żony... Ręka mu drżała, gdy jej podawał opłatek... ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~
— Niech nam Bóg da dożyć drugiej wilii w szczęściu... w zgodzie.... — pocałowawszy stary żonę. Komornica nie mogła się „nacieszyć", oboje aż ją przygarnęli ku sobie...

Naturalnie wesołość wróciła, gdy matka podała pierwszą miskę... Rzucili się złodziejaki i wybałusili drewnianemi łyżkami ostrugały groch w [illegible] wodzie... Potem szła kapusta z grochem i grzybami, polewka śliwkowa ze ziemniakami, [illegible] karpiele ze słodkiem mlekiem..: Dziś mogli wypróżnili z kociołem... Na [illegible] zostało ~~[illegible]~~ niewiele ~~[illegible]~~ ..., ostatniej najeść się... Najedli się do syta, jak w żadnym dniu całego roku. ~~Matka [illegible]~~ I to była ich „wilija"...

Matka posłała ~~[illegible]~~ resztę jadła bydłu do polanka...
— Przecie i ono czuje, że dziś o północy zjawi się Zbawiciel świata... — mówił Błażej. — Niech żre, niech i ono ma wilię, gdy się patrzy...

Pod wieczór ojciec wniósł podłaźniczkę do izdebki i [illegible] pocieszne wypinali ~~[illegible]~~ nowymi kółka z opłatków kolorowych. Dzieci aż przysunęły się ku niemu, zapatrzone, szczęśliwe, jak nigdy...

Gdy gospodyni wyszła z pierwszą [illegible], a Terka skończyła „obywać się z bydłem" — wszyscy zasiedli się razem w ciepłej izbie, gwarzące i wesoło ubierające podłaźniczkę...

I wieczór prędko zleciał... Przed północkiem wpadł Wojtek z [illegible], ~~[illegible]~~ zmarznięty jak [illegible], nie mogąc nawet palców „rozprostnąć", w których dzierżył ~~[illegible]~~ [illegible] latarkę.
— Idziecie na Jutrznię?
— Idziemy...
— To się zbierzcie...

Tamci poubierali się ~~[illegible]~~ by się jako wygrzać, a tymczasem Błażejowa wdziała na siebie „[illegible]", Błażej ~~[illegible]~~ się obwiązał i ~~[illegible]~~, pokręcił czapki słomy do kierpców, bo mróz nie „żartuje"...

Wnet się zebrali, poszli razem „na jutrznię", a w chałupie została Komornica z drugiemi dziećmi... Uszczęśliwiona, że posiedzi w cieple po takiej uczcie, miała jednak kłopotu nie mało z „Józusiem", który nie mógł usnąć i ~~[illegible]~~ wrzeszczał co chwila, że mu „wilija siedzi w brzuszku i gniecie"!.....

Wł. [illegible]

d. 27/[illegible]

1.

W i l j a .

W chałupie Błażeja Szczypty przedświązeczny panował nastrój Wprawdzie nic się tu nie zmieniło od wczoraj; tesame czarne, odymione ściany, tesame sprzęty w izbie, nawet może więcej śmiecia leży na glinianej podłodze, ale widać z powszechnej " uwijacki" z radosnego oczekiwania, malującego się na wynędzniałych twarzach dzieci, że ma nastąpić ważna chwila, jakieś wielkie święto... I te widoczne, zapowiednie znaki robią ten dzień niepowszednim, różnym od szarych dni całego roku. To dzień wilji Bożego Narodzenia ...

Wiedzą już o tem i dzieci, bo im o tem wczoraj matka zapowiedziała wyraźnie :

- Pamiętajcie se dobrze, żeby mi jutro żadne na karę nie zasłużyło !... Bo jak na wilję dostanie bicie, to je bez calutenki rok tosamo czeka...

A ojciec przebaczył im jeszcze dziś rano napomnienie matki, gdy wychodząc z ciupagą uciąć podłaźniczkę 1/ popatrzał na nie z napoł surowym uśmiechem i rzekł od progu :

- Nie dokazujcie, ino słuchajcie mamy, bo " na wiliją - dzieci biją " ...

Tereska nie potrzebowała napomnienia ; miała już piętnaście lat i właśnie pomagała matusi w zarabianiu ciasta z jęczmiennej mąki, ale średni Wojtuś, a zwłaszcza najmłodszy Józuś, który w izbie robił hałas za dziesięciu - ci dwaj zbereźnicy , gdyby nie zapowiedź całorocznej kary, nie siedzieliby tak spokojnie w kącie...

- Tereś! - zwróciła się matka do dziewczyny, która z zagiętymi po łokcie rękawami mięszała ciasto na nieckach - umyj se ręce i zabierz się do innej roboty. Ja tu już sama skończę. Przynieś karpiele z piwnicy, obier je, a potem przygotuj grzyby i kapustę...

- Dyć jeszcze czas... - zauważyła Teresia ,nie chcąc przerywać miłej roboty. Lubiła patrzeć, jak się jej ciasto wymykało z-pod drobnych paluszków.

- Nie czas, nie, bo wieczór na ramieniu. Kież się uwarzy?

Tereska, rada nierada, musiała słuchać. Wyjęła leniwie ręce, opłukała w ciepłej wodzie, odwinęła rękawy i przeszła z koszykiem do piwnicy.-

Matka tymczasem wymięsiła do reszty ciasto, zarobiła drożdże i ~~stssxxxxxx~~ ustawiła niecki na piecu.

- W cieple się może prędziej ruszy... - szepnęła do siebie i zabrała się do gniecenia bryndzy na szerokiej misie, lejąc mleko słodkie i bijąc pół kopy jaj.

Dwaj chłopcy przybliżyli się ku niej.

- Mamusiu, co to będzie ? - zapytał nieśmiało młodszy.

- Kołacze będą...

- Dziś ? ...-spytał starszy

- Dziś póst... nie wiesz o tem ? wilija ...

- To nic nie będziemy jeść, bo mama powiedziała Teresie, że dopiero na wieczór ugotuje...

- Na wilją ... oświadczyła matka.

- To dopiero wieczór wilja ?... pytał żałośnie młodszy.

- Cały dzień wilija, ale się dopiero na wieczór je ...

- Na wieczór ! - szepnęli smutno obydwaj i spojrzeli ku garnkom.

Niezdaługo wrócila Tereska i jęła się łupienia kartofli.Matka pokończyła swoje, zapaliła w piecu i szła robota po robocie, raźno, wartko ... W dymnej izbie wisiało oczekiwanie rok nie widzianej wilji...

Niebawem i Błażej wrócił ~~////~~ z podłaźniczką. Zmarzł jak sęk, bił kierpcami o ziemię i pchał się ku piecowi...

8

- Mrózjak sto djabł ...

- Cit ! ... - pogroziła mu żona - wilija dzień święty ... Nie obrażaj Boga i ku piecowi się nie pchaj, boś nie piecuch ! ... Jeszcze mi do ciasta naprószysz , W izbie nie umarzniesz...

Błażej, zbity z tropu, jeszcze raz kierpcem jęknął o ziemię i pognał do stajni, wrzucić wołom garść siana. O woł-y dbał, jak każdy chłop, który im ma co dawać...

- Tereska ! - zbaczyła se matka ~~rr~~ lećno za ojcem, niech zrzuci drobnego siana...

- Na stół ! Prawda ! - klasnęło w dłonie dziewczę i pobiegło za ojcem na boisko.

Matka przykładała drew do pieca. Dym walił się na izbę i sięgał ,prawie do samej ziemi. Dusiła się kobiecina, raz poraz wycierała oczy fartuchem i uparcie nie ostępowała od nalepy...

- Mamo ! szczypie ! dym ! ... wołał Józuś.

- To idź do izdebki... czemu tu siedzisz ?

Wojtuś pociągnął braciszka, rzucił się strzałą przez sień , drzwi tylko do izdebki zaskrzypiały... Dym pchał się otwartemi naoścież drzwiami, ale z izby nie ustępował. Wszędzie go było ,pełno.

- Niech będzie pochwalony ! ... - rozległo się w sieni.

- Na wieki wieków ! ... - wypadło od nalepy. Błażejowa przetarła lepiej oczy, nachylając się, by dojrzeć, kto tam taki...

Na progu zarysowała się ciemno , jak we mgle, chuda postać.

- A, to ty, Jagnieś ! ... Pójdźże dalej, ale tu dym ...

!- A tam mróz, sto razy gorszy od dymu... - odpowiedzaała zgrzytliwie i przypadła do nóg gospodyni.- O moja gosposiczku !...

- Nie schylaj się, nie... Skądże idziesz ?

- Pytajcie się ka idę,.. bo sama nie wiem. U ludzi wilija - a u mnie zawdy post ...

- No, siądźno, siądź, nie narzekaj - mówiła łagodnie gospodyni.- Zostaniesz na wilię u nas, Nie dużo nas, to się zmieścisz...

- O moja gospsiczko !.. - Drugi raz przypadła do nóg Błażejowej. Nie miała słów podzięki . Ona biedna komornica, raz będzie na porządnej "wilji" w cieple, przy pełnych miskach... Zdumiona nieoczekiwanem szczęściem, siadła nieśmiało na ławie.

- Cóż ta u ludzi słychać ? - spytała po małej chwili gospodyni.

Jagnieszka nie odpowiadała, rozbierając w myśli zaprosiny, nie dowierzając jeszcze ... Gospodyni powtórzyła zapytanie.

- U ludzi ? U ludzi, pytacie ? .. jak zwyczajnie, na wiliję - każdy ciągnie do chałupy i znosi, co może.

- Rusza się ... rusza ! - wołał wesoło mały Józuś, który już wpadł z izdebki i wskazywał rozwartemi palcami na niecki. Jagnieszka podniosła się z ławy -

- Bez uroku ! Piękne ciasto, bedą sie kołacze darzyć ...

- O, już czas !..a ja się zagadałam ... - karciła się gospodyni. Zdjęła z pieca niecki i przyklaskiwała dłonią ciasto, które wypychały na boki żywe drożdże.

Błażej wszedł do izby, a za nim wbiegła Tereska, niosąc na narączku drobne siano.

- Cóż tak siedzicie ? - zburczała ich gospodyni - Tereś ! bój się Boga , to już dawno z połednia, a jeszcze ci nic nie wre... Kładź-że drewna na ogień i gotuj co tchu ! Siano podścielisz na dość czasu.

Komornica schyliła się z bojaźnią do kolan gazdy, pytając nieśmiało, czy mu nie będzie markotną, że ją gaździna zatrzymała na wiliją... Chłop się rozśmiał dobrodusznie . Więc, bardzo rada, pozwijała się w kłębek i siedziała odtąd cicho w kącie, pragnąc jak jamniej miejsca zajmować...

Tereska ~~//~~ uwinęła się koło nalepy, podniecila ogień. Z garnków buchała para na izbę, z której już dym ustępił ~~////~~ drzwiami i okiennicą na górę... Matka rozplaskiwała placki, kładła na nie bryndzę i sadzała do pieca, żegnając je krzyżem, by się lepiej darzyły... Kołacze rumieniły się w piecowym warze , rosły, a dzieci miały z tego okrutną uciechę, tylko że o mało im się bicia nie dostało, bo podlazły matce pod łopatę.

Mroczyło się powoli... Nadchodził wiljowy wieczór. Czuć już go było w podnieconej gorączce oczekiwania, malującego się na zgłodniałych twarzach. Nie dziwota - od rana nic nie jedli, żeby na wiliję móc więcej przełknąć i bardziej się ucieszyć ....

Matka już powsadzała placki, zatkała piec i zajęła się przystrojeniem wieczerzy...

Cztery duże miski stały na skrzyni. Rozmaite "warzywo" z garnków wypełniło je po brzegi.

Podczas gdy się jedzenie chłodziło, zaścielono w izbie stół drobnem sianem i przykryto białą płachtą.

Wszyscy przeszli do izdebki i poklękali na ziemi...

- " Pobłogosław Panie te dary "... - mówił z przejęciem Błażej a inni powtarzali za nim...

Tylko mały Józuś nie odczuwał tego nastrojz religijnego, pierwszy wygramolił się za stół na ławę i wybrał swoją łyżkę, a w czasie modlitwy zjadł dwa opłatki, rozważnie pominąwszy leżący przed sobą, bo wiedział, że ten mu ~~//~~ i tak nie ucieknie...

Z przejęciem tej ważnej chwili obsiedli stół, a gdy gospodyni pownosiła miski i zajęła swe miejsce, poczęli się łamać opłatkiem... Łamali się naprzemian wszyscy, po dwa, po trzy razy. Dzieci chichotały głośno, komornica łzy miała w oczach; powaga chwili rysowała się w twarzy Błażeja i żony jego... Ręka mu drżała, gdy jej podawał ~~xxxx~~ opłatek ...

11

- Niech Pan Bóg dobry pozwoli dożyć... doczekać drugiej wiliji w szczęściu, zgodzie - pocałował krucze włosy żony. Komornica się nażyczyć nie mogła obojgu, że ją tak przygarnęli.

Wesołość powróciła, gdy matka podała pierwszą miskę. Rzucili się zgłodniali i wyławiali drewnianemi łyżkami okrągły groch w brunatnej wodzie ... Potem szła kapusta z grochem i suszonemi grzybami, polewka śliwowa z ziemniakami, na ostatku kałpiele ze słodkiem mlekiem...

Najedli się do syta, jak w żadnym dniu całego roku - i to była ich„wilija" ...

Matka pozlewała resztę jadła bydłu na polanie.

- Przecie i ono czuje, że dziś o północy zjawi się Zbawiciel świata - mówił Błażej.- Niech zje, niech i ono ma wiliję.

Po wieczerzy ojciec wniósł podłaźniczkę do izdebki. Siadł przy stole i począł wycinać nożyczkami kółka z opłatków kolorowych. Dzieci przysunęły się ku niemu, zapatrzone, szczęśliwe, jak nigdy.

Gdy gospodyni wyjęła upieczone kołacze i wyniosła na chłód, a Tereska skoczyła odbywać się z bydłem - wszyscy znaleźli się razem w ciepłej izbie,gwarząc wesoło i ubierając podłaźniczkę...

I wieczór prędko zleciał. Przed północkiem wpadł Wojtek z Doliny, zmarznięty jak kołek, nie mogąc nawet palców rozprościć, w których dzierżył zadymioną latarkę ...

- Idziecie na jutrznię ?

- Idziemy....

- To się zbierzcie .

Tańczył po izbie, by się rozgrzać , a tymczasem Błażejowa z Tereską zaodziewały się. Błażej się obuwał i pchał słomę do kierpców, bo mróz nie spasuje...

Wnetki się zebrali i poszli razem na jutrznię. W chałupie pozostała komornica z dwojgiem dzieci, uszczęśliwiona, że posiedzi w cieple po takiej uczcie; miała jednak nie mało kłopotu

z małym Józusiem, który nie mógł usnść i wrzeszczał co chwila, że mu " wilija siedzi w brzuchu i gniecie ".-

---

„Na godnie Święta!”

I.

Ludzie po sumie wysypali się z kościoła. I wbrew swemu zwyczajowi, nie zatrzymują się koło ~~[illegible]~~ sklepów, nie stają gromadkami na rynku, ale każdy leci ~~[illegible]~~ w swoją stronę. ~~Na~~ We wszystkie ~~którymi stronami~~ ich kierunkach od kościoła ~~[illegible]~~ rozsypują się po kamienicach ~~wartko~~, mijają jedni drugich, a ~~[illegible]~~ który, to szybciej zdąża ku swojej chałupie..... Pędzą ich różne powody, ~~a co~~ niemniej wszystkie nader ważne. — Raz, że to „godnie Święto”, Narodzenie Pańskie raz do roku, musi się różnić od zwykłej niedzieli... powtóre, większa część ludzi, który zdalsza przyszli, ~~już~~ nic nie miała w zębie od wczorajszej wilii... Szyndli na jutrznię, a tu rano ~~[illegible]~~ jedna msza po drugiej — więc żal im było odchodzić i zostali na sumę.... Za to w chałupie nieba ich suty obiad — żoi lecą na złamanie!

Przez pusty, biały dział, przecięty dwoma ~~[illegible]~~ potokami, a podnoszący się stromo ku wysokim gromion, sypią się ludzie ściśnięci wężykiem, długim czarnym sznurem... Idą jedni za drugimi, dyszą ciężko, a nie ustają...

Tam w górze, przy sinych lasach, śląca ~~poprzyczepiane~~ ich chałupy, jak szare gniazda pod strzechą... Do nich sterują się pod górę wygłodniałe od rana ludziska, ~~ciągnąc za sobą~~ nawet stary ciągnąc za sobą ~~[illegible]~~ zmordowane nogi, robiąc piersiami, jak miechem, a nie ustają.... Gdyby tak zajrzeć skrycie w myśli każdego (jeżeli je ma), toby można znaleźć między jednakowo nieokreślone pojęcia, przyjemnie mieszczące w sobie ciepłą izbę, miskę pierogów ze skwarkami, i coś jeszcze... może rosół ze ziemniakami, albo sztukę mięsa!... To ostatnie ~~jednak~~ niepewne, bo nie takiż było, nie ~~[illegible]~~ myśli ~~[illegible]~~ uroją sobie pozwolić.... ~~W każdym razie~~ To jednak pewna, że kazanie już się zatarło, a ksiądz w ornacie zbladł „przy ołtarzu” i mniej waży w ich obecnych myślach (jeśli je mają) niż pełne ~~miski~~ pierogów miłośnie „skwarkami” chwytające za serce..., „Ciek żyje, żeby jadł — i Panu Bogu się podobał” — bo, często spotykane przysłowie, ~~a one~~ ~~się więcej ludów. mądrością ludów.~~ ~~Jakie nie więcej, kiedy~~ a „przysłowia są mądrością ludów!”

— O, ka haw to już Jędrek!.. — mówili ludzie, idący na samym ostatku, wskazując przytem ~~[illegible]~~ przed siebie ~~[illegible]~~ gdzie rysowała się na działku ~~[illegible]~~ smukła figura „opiętego w „kurtkę” parobczaka — leci jak na złamanie karku...

— Chciałby jak najprędzej zaniść na wiesną, — temu ~~[illegible]~~ ozwał się z wiarą stary Szczepan.

— A wybyście to nie chcieli?.. — zażartowała idąca za nim kumoszka.

— Gdyby każdy rad. Ale cóż?.. Młodzieniu zawdy raźniej... Trudno wszyscy mają być pierwsi... — Rozsądny odpowiedzi zamknął gęby „śpasobliwej” kumoszce. Obróciła się do dziewczyny, idącej ~~na samym ostatku~~ w tyle.

— A ty Witkuś czemu ostajesz na zadku?...

— Nika mi nie śpiesno:.. — odpowiedziała hardo Witka, gniewne spojrzenie rzuciła na działek, gdzie się czerniła chustka Jędrka.

— Niech leci — pomyślała — myśli, że go będą gonić!... pojatro!.. ~~[illegible]~~!

— Witkuś!.. ciągła kobieta, niezrażona sutą odpowiedzią — rozsierdziła się porządnie tyż i ~~[illegible]~~ co będzie?.. Patrzaj, ka to już jadzie z Anielcią!.. Podsamych chałupami! A nie wiem to, że ~~[illegible]~~ chłopy powinny ~~[illegible]~~ dziś na wyścigi lecieć, coby w mięsopusty była o nie dobijacka...

~~— Czemu?... — spytała zaraz Witka~~

— Nika mi się nie śpieszy... — odrzekła sucho.

— Jaak?.. a na jadwicencie chciałaś wesela?.. ~~Może nie?..~~ ~~[illegible]~~ — ~~Krzyczała~~ ~~[illegible]~~ ~~Złośliwa sąsiadka~~. Nie śpieszno ci się? co?..

Głodny śmiech ostrych prześmiechów zawtórował słowom Kozłowej i sąsiadek.

Wikta zacisnęła zęby i stanęła, odwracając się na odbój, choć nie było kogo uderzyć, bo już wszyscy przeszli... Z wrzasku dźwięków oddalających się wpadały zgrzytem w jej uszy. Złość ściskała jej serce i wypierała łzy do oczu. Stawały się po zaczerwienionych oczach i spadały duże, jak paciorki, na gwoździsty, śnieżny puch —

Ludzie odeszli już i zostawili samą na białym drodze... Odwróciła się za nimi gorzko. Już dochodzili do gornia i tracili się po jednemu, po dwóch... Wreszcie ostatniego chałupa skryła za drzewkiem.

— Tera idź + szepnęła — nic nie wystoję. Ale przecie nie będę dogryzać...

— O, ja głupia, stokroć głupia! — mówiła sobie, idąc — Było mi nie wyjeżdżać obertelowi, jakby nas był ksiądz od ołtarza przeżegnał... A tak — pośmiewisko i nic więcej... Każdy na ciebie patrzy, jakbyś miała co w sercu... Co oni mają do mnie?! — rozognieła się coraz więcej — Niech siebie patrzą, co ja komu wadzę?... Co ino wyjdę, to cię musi ugryźć. Ani w kościele nie stanę, ani na drodze nic podchodzi, bo cię zaraz dojrzą i uszczypią... a to bez tego przeklętego Jędrka. Teraz to ciebie, to nie śmie spojrzeć w oczy... Kole go... A niech go kole!.. Ja se ta nic z tego nie robię...

Nie pomogło jednak „Tościemiałe!", wewnętrzne przeświadczenie, bo łzy gwałtem się cisnęły do oczu. Tak ich było pełno, że się ustanowić nie mogły.. Przekonaną była, że go nienawidzi. I w tej nienawiści musiała ciągle o nim myśleć...

Doszła powoli do chałupy. Nie czekali na nią z obiadem, bo już zmogli z drugiej miski, kiedy weszła do izdebki. Matka zaraz pociągnęła na nią „swarnym", czemu nie przyszła od razu po sumie..

— Dyć po sumie idę...

— Aha, po sumie.. kto wie, jaki?!..

— Dyć ociec z Tadasiem wyszła z kościoła...

— Tatuś już w chałupie od dawna... A tyś którędy szła, że cię nie widzę?..

— Prostą drogą.

— No, no... ino zawdy takiej prostej drogi chodź, to wychodzisz!..

— Co mam wychodzić?!

— Nie wiesz, co?! — zawrzała w gniewie matka — Tyś zawdy szła poprzednią ścieżką, ino nie tam, kaj ludzie chodzą!... Potrzebne ci było z Jędrkiem ostawić u kościoła?! Co ześ wygrała? To, że cię zabałamucił, niby to pocznie się żenić, i wszystko do jadrzeńcu!.. Z ambony wyszły, ode ludzie czekają.. a tu nic!..

— Przecie ja temu nie winna..

— Ino kto?!

— E, dałabyś pokój raz tym wykładaniom — ozwał się ojciec, obliwując łyżkę — Lepiej podjeść jeść, to se przy jadle powiedzie, co mam jedzieć. Że się Jędrek nie ożeni — to się dozrni. Na wesele zawdy czas...

— Zaś ta nie zawdy!.. — zaprzeczyła żona. — Zwleka się, zwleka, a potem się ze ślubem spóźni... i co będzie?.. Dość już obrazy boskiej i śmiechu ludzkiego...

— Toś mogła wprzód na boisko nie wyganiać?!... — rozsiadł się chłopina — Miała ta ot i sobie legać, a tyś matka od tego... Rozumiem?!..

Żona, zamiast wyprzód wzrusza, przeciągnęła się dwa razy

— Już ojciec i syn.. Jantuś!.. co se ty przy tym od głowy z...

To już może Jędrkowi radzi, kany Jędrek idzie co?.. może ja...

Eh, — machnął ręką — tu nie o to idzie. Młodemu nigdzie nie trza. Sam trafi... Ino trza było stwierdzić, rozumiesz!.. bo — drzwi, jak wszyscy nie drzwi — niedomykające...

ale wszyscy są wszyćkie niedorajdy! — dodał po chwili i jął się jeść.

Wikta tymczasem zdjęła garnki i siadła z matką obok miski: jedli jakiś czas w milczeniu, każde zajęte swojemi myślami, a może wszyscy jednemi, bo sięgali na jedną miskę..... O Jędrku już nie było mowy.

Po objedzie, gdy Ojciec „poodbywał się z bydłem”, a Wikta pozmywała miski, zwlekli się znów razem w ciepłej izdebce... W piekarni, izbie dymnej, skąd ciepło, zaraz po wypaleniu się w piecu ucieka, siedziała sama starsza z dzieckiem... To dziecko było kamieniem niezgody między Jantkiem i żoną. Przy każdym jedzeniu „musiała mu je zbaczyć”, a on wściekły, niedojadł, ale tylko prał o ziemię i odchodził z pogróżką, że się ten raz musi skończyć!” Ojcu, ten „skończenie” mówił — trudno było odciec.

„Ciągłe swarzenie” na ojca ustało, a poczęło się „męczenie” córki, kiedy się Jędrek nie ożenił... Odtąd stale, przed każdem jedzeniem, przypominała jej matka dobitnie, że „nic ci, co chce dzieje, skończyć musi i złapać Jędrka, zanim „niezsopnie” wyjdzie”; ta ostatni, najsilniejszy argument, że się łacno może ze ślubem spóźnić!!!..

Ojciec, pomimo „swoich męczeń” brał córkę w obronę, choć sam w duchu przyznawał racyę żonie... Bronił, chciał mieć „zawdy swoje zdanie”, by żonie ani na chwilkę „bez myśl nie przeniosł, że stoi pod jej władzą!”... Trzymał się więc stale opozycyi, nie podejrzewając się, że to broń słabszych...

~~Jednak~~ Przed rozumem żony miał „wielgi respekt.” I nieraz „pedział”, że baba jego, to „przemądrzenie”; co uradzi, to się musi stać, choćby się kto na głowie postawił... I jak powiadał „ożenił się z musu”, bo już „od maleńkości był się przemądrzonio”. Ale cóż? — mówił — jak cię ma trafić, to cię trafi, bo ono, za takiem Tatą, jak cień... I choćbyś do mysie dziury wlazł, to się najdzie...”

Wiarę w „przemądrzenie” złożył swój żywot i, pchał swe dzieje kolanami przed sobom!”..

„Godnie święta” nadeszły... I Jantek, wygrzewając plecy koło pieca, medytował, czemu to święta ino raz do roku?.. Musiał nie bardzo dbać o ludzi ten, kto je ustanawiał — myślał se cichutko, ale się bał głośno odezwać, bo mu „Wola Boska” zamykała gębę. Na „wolę Boską” zwalał wszystko złe „na świecie”... I z tem mu również było dobrze.

Grzejąc się przy piecu i medytując, patrzał ku żonie i córce, które „coś uradzały” w izdebie.. Ciekaw był bardzo, co one tam szepcą, ale „na złość żółwiem nie podszedł.

— Radzicie ~~[illegible]~~, to radźcie, a ja i tak muszę mieć swoje słowo na ostatku. Ono się to bezemnie nie obejdzie — myślał se, ażeby kończyć nie bez racyi, bo żona, nakładając rzeczy Wikcie, co się jeno zmieściło, odezwała się głośno:

— A ty Jantek pamiętaj ze dobrze, żebyś mi Jędrkowi krawdy

nie zadawał, jak tu jutro przyjdzie...
— No, no, ino ty trzymaj ozór na uwięzi... a o mnie się nie frasuj — żachnął się gniewnie Jantek — Ona bei będzie z góry dysponować, co mam robić... Splunął za piec i począł fajkę nakładać. Ale nie mógł wytrzymać długo. Drażniły go szepty po za jego plecami.
— A skądże ty to jutro jedną weźmiesz?.. Cały jadowiec się nie pokazał...
— To się pokaże na „Godnie Święta" — rzekła stanowczo żona. Jantek pokiwał głową...
— Hm... na jaki sposób...
— Na taki, że ludzie do ludzi chodzą!.. Rozumiesz?!..
Udawał, że rozumie, „coby go nie gwizdnęła o ciemną pałkę."
Matka z córką, nasze potakując się do syta, ~~[illegible]~~ podniosły się ze skrzyni, gdzie siedziały obok siebie. Musiały coś nieposłedniego uradzić, bo „matusia" przestała kręcić patrzeć na Witka, której się lica obeszły z łez, a oczy zabłyszczały śmiechem...
— Jantek, ruszże się od pieca, podź, ~~[illegible]~~ uszykiem ~~[illegible]~~ co...
~~[illegible]~~ Mówiła żona, wyjmując kołacz ze szafy i kładąc na stół. Zbliżyli się we troje, połamali i jedli... Harmonia panowała i ciepło w maleńkiej kółku. Niktby nie powiedział, że ci ludzie sprzeczają się ~~[illegible]~~ niekiedy...
Czas upłynął się powoli, jak zwyczajnie święto... Wiedzieli, że nikt, nawet z bliskich, do nich nie zajrzy... Dwa święta do roku: Godnie i Wielkanoc, w których każdy siedzi w chałupinie i je, co może, nie zaglądając do nikogo... Gdyby ~~[illegible]~~ o tym czasie wszystkie chałupy otworzyć — jeden przedstawiłby się obraz... Rodziny, skupione w kółka, zajęte sobą tylko, zajadające smacznie „dar Boski", ze jeśli które stać...
Wreszcie długie ~~[illegible]~~ popołudnie świąteczne przeszło leniwie. Wieczór nadciągał powoli.. Mrok ~~[illegible]~~ osiadał na ścianach, kładł się na sprzęty w izbie i ~~[illegible]~~ powlekał je ciemnością...
Jantek wyciągnął skrzypeczki ze stolika, wsparł je na stole i począł ~~[illegible]~~ wesołych kolęd! ~~[illegible]~~ Matka z córką zbliżyły się ku niemu. Trzy głowy pochyliły się nad skrzypkami, trzy odmienne głosy, nie do stroju, zaśpiewały głośno na zbawienną nutę:
„W Betleem przy drodze
Jest tam szopa w wodzie..."
I wesołość ~~[illegible]~~ z kolędą do małej izdebki. Zdawało się, że sprzęty poruszają się w tańcu. Smyk dudnił, jak dziki instrument, i za razem wybuchł ~~[illegible]~~ bas Jantka ponad cienkie, piskliwe głosy kobiet. Wtedy darła się głośno, jak ~~[illegible]~~ bydle, z radosną ochotą powtarzając każdą zwrotkę, zatarcie ~~[illegible]~~...
„~~Jeden~~ ~~[illegible]~~
Wyjdę w ~~[illegible]~~
~~[illegible]~~ Anieli strugali
Złotą wierzbę i lipkę
Dzieciątku na kolebkę"
Serce im się podnosiło. ~~Hastała~~ ~~[illegible]~~ kolebkę i Dzieciątko do tego Maleńkiego [illegible]. — Mrok ich owinął całkiem, noc zapadła, a one z ust nie ustawały... Można przysiąc, że w każdej chałupie taka kupka w mroku, przesiedziała z kolędami myśląc do betleemskiej szopy i cieszy się ~~[illegible]~~, jak „anieli strugają" albo też...
„Jeden kupił gruszkę,
a drugi się śmieje
Trzeci podarował sany
Każdy rad [illegible]"
Raz do roku kołysz [illegible] jedną myśl... [illegible] do [illegible] kiedy, rad starego [illegible] Maleńkiego... [illegible] do rodzaju [illegible]

II.

Nazajutrz rano, w dzień św. Szczepana, szła ~~od chałupy~~ [wiedzie] Jantkowe ~~wykrochmalone~~ "~~Witka~~" ścieżyną wąską nad potok," gdzie schodziły się drogi z Zrzyntku i od Wysokich groni. Widziała przed sobą sznur ludzi, idących za drożyną, za sobą nikogo... Przyspieszyła kroku, by się na sumę nie spóźnić... Wykrochmalone spódnice "szusiały" po śniegu, nie miała nawet czasu zagiąć ich do góry, by się nie obstrzępiły... Co jej tam spódnice, co jej cały świat obchodzi!... Ona tylko wie o tem, że musi Jędrka ściągnąć... Dlatego przeziérała się dziś pięć razy w zwierciadle, zanim wyszła z chałupy, próbowała oczy ~~swojego~~ ślepek, a w kościele spróbuje na nim... ~~Stanie~~

– Stanie se przy bocznym ołtarzu, naprzeciw chóru, kaj on stawa, i tak go oczy prześwidruje oczami, że nie ustoju, ino poleci za nią kaj będzie chcieć... Abo nie! – i dawniej przecie świdrowała, a zwiódł i zwiódł... Zrobi tak. Stanie se naprzeciw i spojrzy smutnie, tak jak „Bolesna Matka Boska”, co się z ołtarza ~~patrzy~~ Wtedy mu się sumienie ruszy i ~~[illegible]~~... ciesznie się zmieli, bo już po wszystkich lamentacych...

– Matulcia dobrze radziła – myślała se dalej – oni nie tacy źli, jak się wydaje... Chciałam go słowem przyciągnąć i nijak nie szło... Nie szło, bom miała z nim o czem chodzić! A matusia dobrze powiedziała, że się [illegible] wnet i nowie, i pospłyćkiemu... O nie po myślkiemu, dopiero [illegible]... ~~[illegible]~~ mówiła z sobą – Spróbujemy się, wtedy mówiłamy – ty, ny moje ślepki!... Spróbujemy... O Panienko Najświętsza dopomóż też!...

I powoli myśli przeszły w cichutką prośbę... o Jędrka

Zleciała ścieżką na dział i ku kościołowi... Wpadła pod dzwonnicę, ~~[illegible]~~ przepchnęła się dostać przed „boczny ołtarz”!

W kościele ciżba była wielka. Mały ~~[illegible]~~ drewniany kościół trząsł się w posadach od wybuchu parotysięcznego tłumu, ~~[illegible]~~ który kołysał się jak fala, parł na ściany i dusił się w ~~tej~~ w „świątyni pańskiej”!.. ~~[illegible]~~ do ~~[illegible]~~ kiej kościółek ~~[illegible]~~ silnym basem organów i jeszcze silniejszym chórem ~~[illegible]~~ parutysięcy gardzieli... A w przerwie, między zwrotkami kolędy, wylatywały z tłumu wrzaski, ~~przekleństwa~~ wyzwania przekleństwa i wyzwiska dosadne...

– Dyć nie pchaj!.. czyś wściekła?.. – krzyczy jakaś baba z pod chóru...
– A ty mnie nie szturkaj!...
– Nie napierajcie tam ze zadku, bo zleciemy na ołtarz!... – woła silny głos od balasków, który trzeszczy pod naciskiem ~~fali~~ ludzkiej fali...
– Cicho!.. – zapanował nad wszystkimi stentorowy głos kościelnego, ~~który nie~~ i zaczął: ~~Witobie~~, Pasterze bieżeli...
Gdy głos ustyneli. –

Organista zaraz ograł polkę z klepki i wyprostował zgodzili w potężnym chórze...

Kiedy w świątyni pańskiej „taki zaduch, kołtowanie, ciżba — w świątyni przyrody” spokój panował ogromny i wielka cisza jasna, pierwszą piersią oddychała ziemia ku słońcu, które ponad szczytami topoli biało koło, świetlane... Na wschodzie i na południu zieloność jasna siadła na widnokręgu niebieskim, rozpływając się ku sklepieniu w ciemny, zamglony błękit... Od zachodu chmurki pierzaste wybiegły... Zda się, że białe aniołki o złotawych kędziorkach pochwyciły się za ręce i lecą szeregiem ku zorzy tęczą po ramię.... Zda się, że gwiazdki strzepały na ziemię z rozpostartych skrzydełek, bo jedne spoczywają po śniegu, a drugie lecą powolutku leciuchno... mieniąc się w słońcu tysiącami odblasków:.....

Tam od kościoła przedziera się powietrzem zgrzytliwy głos organu i niezesrane głosy ostrym wylatują echem — a tu w „świątyni przyrody” spokój i cisza bezmierna......

x —— x —— x

Ledwo w Jankowej chałupie podnieśli się ludzie od objadu, już stary Szczepan z boku powlókł się wprost do izdebki...
— Aha, przyszliście, na zdrowie, na to Boże narodzenie, coby się darzyło w komorze, w oborze i na polu.. dej Boże!.. — wygłosił jednym tchem, ciskając zboże na dyle, jak siewca na zagonie.
— Dej Boże!.. — odpowiedzieli wesoło. Począł się witać po kolei, śmiać się i gadać głośno. „Gwary u niego zawdy dostanie!..” Postawiło przed nim miskę i musiał jeść, rad nierad, bo go zaczęli, każde na swoją rękę... Jeszcze niedojadł dobrze, a już cała izba napełniła się ludźmi. Zwalili się, jak wszyscy sąsiedzi... Był i Tomek od Kozery i Jakóbek od Kopandy i Marek od Kusia — nikogo z bliższych nie brakowało..... Wciąż poziérali ku drzwiom, czy jeszcze ktoś nie przyjdzie.. Ale tego ktosia jakoś nie widać!...
— Musi przyjść — szepnęła sobie — leciał za nimi od kościoła, jak opętany... Wczoraj się ludzie ze mnie śmiali, a dziś zaś z niego. Ja dziś na przodku... Aha!.. Tak się ludzi za nos wodzi, jak sami nie idą...
Urwała myśli, pełne wewnętrznej chluby, bo już stary Szczepan, którego co dopiero powiązali, wyciągnął z rękawa flaszkę wina, postawił na stole i począł zapraszać po kolei...
— Dyć jutro dopiero św. Jana, a wy dziś chcecie pić? — ozwał się Jantek.
— O, przędźcie, nie znaczcie się — ciągnął go Szczepan — My se ta poradzimy. Przekrzcimy świętego Jana na Szczepana i będzie. Oni się o to nie pokłócą.
Zebrani buchnęli śmiechem... Wnet kolejka przeszła i drugą zawróciła kołem.
— Jantoni! — woła Szczepan — ruszcie no się od pieca!...
— Bracie, bracie! mnie plecy ino bolą... Tak mnie w kościele wytłukli...
— Ja przecie starszy, a nic mi, chwała Bogu! — ozwał się Tomek.
— Boście musieli chyba na polu stać...
— Coby?.. na środku kościoła... Jakem wlazł, panie wam, to mnie zanieśli przed ołtarz, a podłogi nie dotknął.
— Mnie to ściskali niemało — podrzucił Jakóbek — zdziwuję się, że mnie już nie dyszę..... Jeszcze rozkłada na miłosierdzie Pańskie dopiero mnie trochę popuścili... Jeszcze to dworscy takiej ciżby nie zrobili..

— Bo ~~ludzi~~ było mniej. — odrzekł z przeświadczeniem Szczepan — Wy nie pamiętacie, boście młodzi... Dawniej było tak, że mógł po kościele tańcować swobodnie, a nikt nie utknął... ~~Dziś się~~
— Dziś się nie obertnie... — rzucił Błażej.
— Kaj ta?.. Jak cię ścisną ze wszystkich stron... — ciągnął Szczepan — Inaczej to było dawniej, inaczej... Myśleli my, że ten kościół potrwa Bóg wie, dokąd a tu dziś ludzi narosło, co nie miara, i stawiaj nowy, abo stój, jak pies na smętarzu...
— Bo ono tak — zamruczał Tomek — ludzie rosną, a nie ubywają...
— Dawniej, to nie tak było, nie — ciągnął ~~Szczepan~~ stary gazda — jak przyszło na święty Szczepan, to byś półkorcy owsa w kościele namiatał...
— Hej, nie ~~[illegible]~~ gadajcie. — zdziwiło się paru.
— A jakże!.. Ludzie siedzieli po pół ćwierci, bo tegoż ~~[illegible]~~ zwyczaj. Trza było bardzo biednego, coby w rękawie przyniósł... Księdza, to wam obsypali, że w samych włosach nosił z miarkę owsa. Toć to śmiatał palcami, jak mógł, ale on ta rad był temu — bo jak ludzie wyszli z kościoła, to on na stajnię krzyknął i zmargarnowali mu zboża po kościele, że bez cały ~~ty miesi~~ rok miała owsa ~~co~~ gadzina ~~[illegible]~~ żywności...
— No widzicie, wiecie!.. — dziwowali się gazdowie — a dziś by cię z kościoła wyprosił, jakbyś przypadkiem prasnął ~~[illegible]~~ niego owsem...
— Nie te to czasy, nie te... — pokiwał głową stary Szczepan. — Hej! nie te...
I zadumali się starzy — ~~zadumali~~ [illegible] młodzi... A Wikcia ku drzwiom pozierała ukradkiem, rychło się otworzą.... Otworzyły się, ale nie ten wszedł, którego miała na myśli...
— Haw, mróz na polu... — ozwał się przybyły i tupnął ~~[illegible]~~ nogą, strzepując z kożuchów zmarzły śnieg.
— Nic to, jak sam mróz — oświadczył Błażek...
— Gorzej wiater! — przyświadczył Szczepan — On ta ~~wiater~~ stuśnie, wie, wiater mrozowi gada... „Jakeś ty sam
To gdzieś padoj, Nic nie dbam
Jak jo z tobom
To chłop rusza sobom!..
— Wiater huncfot! — dorzucił Tomek — ani za grajcar nie ma łagodności —
— Ba! jakiebyście chcieli! — roześmiało się paru...
Pogwarka płynęła żywo, bez natężenia myśli, które im latały, „ku samej żywności chciały", z przedmiotu na przedmiot, równie, jak pliszki po kamieniu... ~~Wikcia~~ Marta wciąż pozierała ~~to~~ na ~~drzwi~~ [illegible], a te ze drzwi ~~[illegible]~~ zaś
— Nie rada się doczekać!.. — powtarzała sobie coraz gniewniej... Jakby nie przyszedł... dałaby mu drugi raz! No!...
Tą zapowiedzią stanowczą uspokajała się na ~~chwilę~~...
— Przyjdzie... coby nie — „łażymuciłże" potem — jakem ino raz spojrzała na niego, tom już wiedziała, że przyjdzie...
„Wte razy" zadudniło w sieni. Drzwi się otworzyły i „bez próg chybnęły" do izby tęgi parobczak.
— Niech będzie pochwalony!..
— Na wieki wieków! Witajże Jędruś! — zawołali się chórem z gromadzeniem.
Wikcia oczerwieniała nagle z radości. Jantek spojrzał na [illegible]
— Ma ~~na zórkę~~ [illegible] — pomyślał już tysięczny raz w życiu i stanęło mu w oczach „przeznaczenie".
— Markotno ci na mnie? — szepnął Jędrek, ~~[illegible]~~ przysiadając stół, do której spojrzała na niego... A miała chęć płakać!..
— Narowisty! — burknęła od ~~[illegible]~~...

~~Jędrek się roz~~

— Już drugie! — ~~ciągnął~~ obrzezał Szczepan — i to na mój dzień mego patrona.
To się zmierzy, że w pierwszą niedzielę mięsopustną wesele. — A nie zwlekaj, — zwrócił się do Jędrka — żeby cię post nie zastał, boby już było po niewczasie...

Jędrek się rozśmiał... Antałeczek postawił rozgrzany. —

— Pamiętaj, że się dziś go za ranną Błażej — ~~wszędzie nie ostoi się nieszczęście~~...
— Bo się zawdy ~~...~~ przyjdzie się srodze ~~...~~ zawodzili starzy...
— Nie zawdy ludzie dobrze radzą... — zwrócił się Jędrek
— Co tam! ludziom nie wierz.. ale i sobie ~~zanadto~~ nie ufaj!...
— Na zdrowie!.. — ~~wykrzyknął~~ Szymon i Jędrek, przechylając szklankę — Wiktus!
— No chwała Bogu — myślała Wiktusia podchodząc — już się zaczęło, to się i musi skończyć... ~~Musi~~

~~Matka~~ Wszyscy byli weseli, ino Jambroży się dziwował jeszcze, grzejąc się przy piecu. ~~Jak się nie trafi~~
— Jak się nie trafi, to się trafi...' — myślał o przeznaczeniu, a one były bardzo rade, że się dzieci ze ślubem nie spóźnią...
— Pierwsza niedziela mięsopustna... — rachowała w myśli — to jeszcze czas... nie spóźnią się, nie...

„Bazie."

W kotlinie podkarpackiej rozlewają się promienie słoneczne jasną białością wiosennego dnia... Cała natura świeża, rozrodzona z pobrzękami śnieżnej szaty, kąpie się w tych promieniach i szczęściu w lekkim podmuchu wietrznym, płynącym daleko płynącym od zimnych, białych szczytów...

Gdzieniegdzie w głębokich potokach wodnych leżą stare płaty niestającego śniegu, a jeszcze czerwienią się na wzgórkach słonecznych śród zorane zagony...

Cała ziemia wyciąga się rozkosznie do słońca, które w białej pełni kipi pomad szczytami. W stronie ubocznej skryte w pościeli śnieżnej wzgórza, a gdzieniegdzie czarne tuli się koło nich, jak potrącone stado owiec.

I rodzi się dalszy ... potok wszystkie życie ... odnosi ziemię ... skały ... Duch ... potrzeba...

Spokój we wsi i cisza... z poza ... natury jakieś ... spoczywanie...

Doliną spiętrzonej wstali rozsiedliły się ... całe ... Spojrzeć na nie ze szczytów, to zdaje się, że gniazda mnogie i wybiegają otoczone sadami, potracone jak słowo wroneczne ... gniazda na ugorze... rozsiadłszy się koło wody...

Spokój we wsi i cisza... Ospałych natury ... Tylko w naturze widać wszędzie ciekawe oczy, ... pilne oczy chłopięce, które po długim, zimowym śnie budzą się nagle w nieznanej okolicy... kiedy ... zdaje się, że Chrystus z ... przeciera oczy po spaniu zimowem i naprzód chce się do ... ubożyć... Zimno od szczytów rzadko powiewa od ... wiewu z każdej łodygi, podmuch zacho dnu pusty kołysze i usypia... Dowali dymy ziemia omdlała pieści i lenistwo poziewa... A kiedy oddech mgłą się unosi, a kiedy poziew ciepłymi oparami – tu niebu...

Leci światło idące od słońca i gorące, całe bez ustanku... Błękitne oślepia natury i ... promieniami, i ostre obrazy ile z najskrytszych zakątków... Ogień piecze i budzi i ożywia: to trawy, to kwiaty, to drzewa... Ożywia wszystko. A co kwiatek, to wdzięcznie strzeli do słońca i uśmiechnie się słońku miłośnie, a co trawka – to drugą siostrzyczkę zagarnie i o ... nad ziemią wyrośnie...

Co na pniu – to w słonku na życie sny wróży
I w błękity spogląda radośnie
A co we śnie – to oczka rozkosznie przymruży
I ... szczęśliwy, o wiośnie...

Niedziela Kwietna – boży dzień... Pieśnią [illegible] wiosny w [illegible] skalistych step i pustych ugorów... Toż wesele w sobie ogarnia z kolebki zagrodą, wioskę, [illegible], dawny [illegible] ludzi, w radości ubiela twarze, [illegible] dłużej [illegible] i zasmucone [illegible] postaci... Po chatach srodze jak polne norniki... tylko dym, [illegible] pnący się z dachów strugami rozczochranymi w górę, zwraca że [illegible] śniadaniu, [illegible] żywnie chce, [illegible] nabożeństwem [illegible] się przy świecie w Cudny boży dzień!

Na polach ptactwo [illegible] rozkłada gospodarstwo swoje i bystrość słoneczna chodzi po rydwanach skalistych, zwraca [illegible] spokojnie i cicho...

Słońce stanęło już nad szczytem wysokiego [illegible] kiedy wyszła z najdalszego zakątka wioski [illegible] sypać się ludzie... Najpierw jeden postać [illegible], [illegible] obok [illegible], [illegible] po [illegible] Kamienistej drodze, [illegible] idącej, [illegible] koło wody, w dół... [illegible] Kościoła, jak [illegible] „To boże [illegible]" – jak [illegible] – nigdy nie [illegible] [illegible] postaci po drodze, [illegible] na [illegible] drogę... [illegible] z [illegible] na [illegible] [illegible] Kamienistej [illegible] w [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] ciemnych [illegible] [illegible] [illegible] się [illegible] [illegible] parobczaki, w [illegible] [illegible] na [illegible], [illegible] czapki [illegible] [illegible] [illegible] [illegible]. Gromadzi [illegible] i [illegible] [illegible] się, schodzą i [illegible] [illegible] pogodnych [illegible], by wypłynąć na [illegible], póki je ich [illegible] drzewa [illegible] nie zakryją. Na [illegible] [illegible] [illegible] się ciemny, w [illegible] [illegible] przybrane [illegible], gęsto [illegible] w [illegible], srebrzyste [illegible] z każdej [illegible] gęsto [illegible] srebrzyste bazie –

W świętym [illegible] rozgwarzył się wesoło idący lud... [illegible] smutków i utrapień [illegible] [illegible], a jeśli nie [illegible], to skryją się gdzieś głęboko [illegible] serca. Nie pomni, że wczoraj był tym samym ludem... [illegible] [illegible] młodzi, [illegible] się [illegible] starzy, jakby ich wszystkich owładnęło szczęśliwe zapomnienie życia...

– W [illegible] to przydzie [illegible] [illegible]... – zaśmiał się jeden z parobków [illegible] [illegible] dziewczynę, wspomniawszy [illegible]
– Nie dziwota – mówił jeden ze starszych – Będzie z [illegible] [illegible] Chciałaby się przed ołtarz dostać... A [illegible]
– Coby jej [illegible] podrzucali!...
– Juści!... [illegible] Bo to tam na nią [illegible] z [illegible] święconą wodą...

[illegible] do [illegible] jej [illegible]...

– Tatusiu! będziecie koniki robić z poświęcanej pszeni? – zagadnął jakiś parobczak przedtem chłopczyk, co zawżdy kiedy dłubał na ramieniu cały pęk bazi... Chłopczyna uśmiechnął się nie wiedzieć, jak...

– Czy-ści to ino...

Wyśmiane słowa zginęły w chłopskim śmiechu.

– Bazie, bazie, mee!... – krzyczał z chłopaków, naśladując jagnię i niesiony, jakby go kto napadł, przeskakując drobne kamienie.

– Ja gdowiec, wyście gdowa – tłumaczył jakiś chłop kobiecie obok idącej – pobierzemy się na wolę Boską i pójdziemy przebić jako te bydło kolanami przed sobą...

– A co się ma stać, to się stanie – wypadło z gwarliwej gromadki...

– Pamiętacie mój Kasiu!... – woła rosły chłopak, śmiejąc się w powietrzu [illegible].

Trzy kurze naraz obejrzały się, co wywołało z gromadki śmiechy... A „ta lebiorka” ani spojrzała chociaż dobrze wie, że na nią wołał. Zaśmiechem wargi przygryzła i puściły przed... – Ta go utrzyma!...

– Cicho! sygnują!... – doleciało z przedniej gromady.

Naraz ustały śmiechy. Zdala dolatywało cienkie, metaliczne brzmienie sygnaturki... Ludzie przyspieszyli kroku... Lekka pogwarka zmieniała się w urywane, gorączkowe szepty... Wszystkim brzmiał w uszach żywy głos wołającej sygnaturki.

Wnet zeszli na tarły i pod kościół, gdzie już tłumy pchały się szerokie i zalewały kołem cmentarz otoczony murem. Korytarzem zalegli [illegible] pomieścić niezliczoną część gromadzonego ludu.

Powstały tłum szeroko tarcz obległ kościół dookoła, i stoi, rozmodlony, słońca [illegible] pełności.

i wszechmocnej [illegible] stoi cicho, w skupieniu, [illegible] jasny bezbrzeż wiosny [illegible]

Gdy przedrzwiami drewnianemi dobiegnie dźwięk od ołtarza, tłum chyli się i klęka, a z nim porusza się las zbóż [illegible]...

Wszystko patrzy. Niech [illegible] wychyli się ku sobie [illegible] spojrzeniem... wszędzie [illegible] gdzie spojrzysz – oczy, same oczy...

I.

B a z i e .

W kotlinie pod Gorcami rozlewają się promienie jasno białością wiosennego dnia. Cała natura świeża, z pobrukanej szaty śnieżnej rozodziana, kąpie się w tych pro mieniach i suszy w lekkim podmuchu wietrznym falisto płynącym od białych ,zimnych szczytów.

Gdzie niegdzie w głębokich potokach widnieją szare płaty niestajanego śniegu, lecz gęściej czerwienią się na wzgórkach słonecznych świeżo zorane zagony.

Cała ziemia wygrzewa się rozkosznie do słońca, które w białej pełni płynie ponad szczytami... W stromej uboczy skrył się w półcieniu szary wrąb, a przylaski czarne i jałowce tulą się koło niego, jak potracone stada owiec...

Doliną spływającej roztoki rozścieliła się cała wioska, osiedla 1/ mniejsze i większe, otoczone sadami, a potracono rzadko, jak gniazda skowrończe na ugórze. Spokój we wsi i cisza... Tylko w naturze widać wszędzie ciekawe oczy, niby oczy chłopięcia, które po długim, ciężkim śnie budzi się nagle w nieznanej okolicy. Wszystko patrzy... Każda trawka wychyla się ku tobie ciekawem spojrzeniem ... Gdzie zajdziesz - wszędzy jesteś na jasnym widoku rozbudzonej natury ... Gdzie spojrzysz - oczy .... same oczy.

Chwilami zda się, że zleniwiała natura przeciera je po długiem spaniu zimowem i naporót chce się do snu ułożyć...

Powoli dysze ziemia omdlałą piersią i leniwie poziewa... A każdy oddech mgłą się unosi, a każdy poziew ciepłymi oparami - ku niebu...

Światło idzie od słońca i błaskiem oślepia naturę, promieniami szczypie i ostre strzały śle w najskrytsze zakątki. Wywołuje, budzi i ożywia; to trawy, to kwiaty, to drzewa...

- A co kwiatek - to oczkiem strzeli dokoła.

I uśmiechnie się słonku miłośnie.

II.

A co trawka - to drugą siostrzyczkę wywoła.

I o igłę nad ziemię wyrośnie.

Kwietnia niedziela - boży dzień ... pierwsza niedziela wiosny w krainie skalnych kęp i pustych ugorów. ~~To wesele wielkie~~ Toż wesele wielkie ogarnia zapadłą w kotlinie wioszczynę, i słońce, dawny sprzymierzeniec ludzi, w radość ubiera twarze, sposępniałe długą zimą i zasuszone postem.

Słońce stanęło już nad szczytem Turbacza 1/ , kiedy z najdalszego zakątka wioski poczęli sypać się ludzie. Najpierw jedna postać, skulona, owinięta białą " łoktuską" , utyka po kamiennej drodze, wiodącej zygzakowato koło wody na dół, sunie schylona, biała, koścista, jak"śmierzć" ... za nią po dwoje, troje i więcej postaci wyłazi z poza opłotków na drogę. Niezadługo kamienisty zjazd zaroił się różnokolorowym tłumem. Gromadki większe i mniejsze mijają się, schodzą i giną wśród zabudowań przydrożnych, by wypłynąć za chwilę na czas niedługi , póki ich drzewa osiedla najbliższego nie zakryją.

Na ramieniu każdego kołysze się cienka, w czerwone wstążeczki przybrana habina : Z każdej wykwitają gęsto miękuchne, srebrzyste bazie...

W świątecznem usposobieniu rozgwarzył się wesoło idący lud. Powszedniość smutków i utrapień znikła z jego twarzy, a jeżeli nie uleciała, to skryła się gdzieś głęboko, na dno serca.

Chichocą hałaśliwie młodzi, śmieją się cicho, dobrodusznie starzy, jakby ich wszystkich owładnęło szczęśliwe zapomnienie życia ...

- W jakie to pędy Józka leci ! - zaśmiał się jeden z parobczaków, wskazując habiną na dziewczynę wyprzedzającą inne. -

- Nie dziwota. Będzie w kościele ścisk, bo wielkie święto. Chciałaby się przed ołtarz dostać...

- Coby jej naprzód poświęcili !

III.

- Juści ! Bo tam ino na nią czekają z kropidłem...

- Tatusiu ! Bedziecie koszyki robić z poświęcanych pręci, czy co ? - zagadnął jakiś parobczak, przedrwiwając chłopinę mizernego, który dźwigał na ramieniu cały pęk bazi.

Chłopina uśmiechnął się , nie wiedząc jak....

- Czy, czy to inno

Wyjąkane słowa zginęły w chórze śmiechu.

- Baziu, baziu meee -...krzyczy jeden z chłopaków, naśladując jagnię, i ucieszony, jakby go kto samym miodem napasł, przeskakuje drobne kamienie.

- Pomało-że, moja Kasiu ! woła rosły chłopak, śmigając w powietrzu habiną.

Trzy Kasie naraz obejrzały się, co wywołało w gromadzie i nowe śmiechy. A " ta czwarta" ani spojrzała okiem, choć dobrze wie, że na nią wołał.

- Cicho ! Sygnują...

Naraz ustały śmiechy. Zdala dolatuje cienkie , monotonne brzmienie sygnaturki...

Ludzie przyśpieszyli kroku. Lekka pogwarka zmieniła się w urywane zdania. Wszystkie dzwoni w uszach głos wołający sygnaturki.-

Wnet zeszli na ławy i pod kościół, gdzie już tłumy pchały się wąską bramą i zalewały kolisty cmentarz kościelny, otoczony murem. Mały kościółek pomieścił zaledwie część zgromadzonego ludu.

Pozostały tłum szeroką ławą obległ kościół dookoła i stoi, rozmodlony, w słońcu... Stoi cicho, w skupieniu, skąpany jasną białością wiosennych promieni.

Gdy przez drewniane ściany wypadnie stłumiony głos dzwonka od ołtarza, tłum chyli się i klęka, A znim porusza się falą gęsty las wierzbowych bazi.-

---

Wesoły dzień.

Ścieżyną wąską, idącą krzywymi tłumami z góry, wśród rozściełających się przed nią dookoła ugorów, wspinają się osłabieni ludziska, zmizerowani, wychudli, nędzni... Idą po parze lub pojedynku, potraceni; z wyjątkiem nielicznych kolumną po ciężarem tórb i tobołków różnych wielkości, przewiązanych szarą płachtą przez ramiona i opadających ciężko na plecy. Każdy z nich pierś całą i wyciąga naprzód z wysiłkiem szyję, którą gniecie węzeł zawiązanych końców grubej płachty. Wola każdego walczy ostatkiem sił z przewieszonemi ciężarami, które siłą odciągają wstecz... Idą starcy, kobiety i niedorostki. Tych ostatnich prowadzi jakaś siła, zrodzona z niezrozumiałej konieczności. [illegible] to ciężar, obciążający aż do połowy chudych dziecinnych postaci, kiwa niemi i wodzi na wszystkie strony. Zdaje się, że między padnie lada chwila, jak to chwieje się, to stania, to staje, chłypie powietrze i dalej rusza za innemi. Nie zliczyć [illegible] wynędzniałych wyprostów, które stwarzają dziwną siłę w tych dziecięcych starcach. Jeszcze to od ziemi nie odrosło, a już je ciężar do ziemi przyciągnął... I nie uwierzą, że to własna karm ich przygniata... Że mowie w myśli już naprzód widzą wypieczony chleb, dodaje im sił do dźwigania ciężkiego ziarna, którego brak w chałupie. „Życie roślinę pędzi w górę — człeka do ziemi przygniata. Bo taka opatrzność boska i nic więcej" — mówią starzy, a młodzi od starych uczą się rozumu. — Nic inaczej! — potakują — inaczej nie będzie!"..

I idą schylone, nikłe postacie, na wyrobku gromadą. Idą, jak kurtowate, pokutnicze potomstwo Syzyfa, które toczy przed sobą konieczność kamienną — życie... Wszystkie ich twarze zapamiętałość straceńca zasłoniła, w zmierzchu niedoli rozchylonych warg, niejedne oczy błyszczą łzą lub stają skamieniałe rozpaczą przed życiem, jak przed otwartym grobem, niejedna nawet twarz uśmiechem okoli się gorzkim od łez, uśmiechem nędzarza filozofa — ale wszystkie oblicza mają skamieniałość nieruchomych czaszek i szarą skórę przyschniętą na kości, i ze wszystkich wyziera jeden i ten sam wieczny, utajony ból...

Idą ugorami, ścieżyną, znikają w głębokich potokach, przecinających w poprzek stronę drogi, wychodzą znów po jednemu i dalej pną się ku górze, gdzie już poczynają czernieć jałowce i smreki...

(Cmentarz choleryczny — potem... chłop orze w polu.)

Wyszli na równe wzgórze, gdzie wśród zagonów stoi samotnie kwadratowy lasek. W nim tulą się gęste jałowce i świerczki wzbu- nane rozrastają się swobodnie. Po cieniach gęszczowych chowa się ciche osamotnienie i tło podziwem wychyla z powikłań swych gałęzi - puste oczy.... Wyżej, ponad wierzchołki drzew wznosi ~~się~~ się czarny, drewniany krzyż...

W nabożnej ciszy poruszają się postacie stojące koło krzyża i szepczą pacierze ~~cyzelowane~~ ~~[illegible]~~ z wezgłowiem, mijają cmentarz choleryczny.

Wszyscy ~~mają w pamięci te czarne lata, kiedy to~~ chowają w myślach te ~~[illegible]~~ ~~lat~~ lata pamiętnych, kiedy to nędza na ludzi spadła ~~[illegible]~~ i czarne chmury nędzoli ukryły lu- dziom słońce. Chodzili nędzni, zgłodniali, a gorzej od ~~[illegible]~~ wszystkich zwierząt żywili się padliną. Ziemia rodzić przestała. ~~Parobcie poszli~~ Chwasty zbierali ~~[illegible]~~ na ugorach i mleczu, jadu pełne. Parobcie powdzierali od grzebania ~~[illegible]~~ dłonie, korzeni..... ~~[illegible]~~ Za nędzą i głodem przyszła śmierć i poczęła kosić zawzięcie. Pokosami padali gęsto ludzie. Całe wsie pełne trupów. ~~Okropne to czasy~~ Nastał „sąd boży" na biedny lud. Kto żyw, zamykał się w chałupie na wrzeciądze drewniany. Bywało, że chłop ~~[illegible]~~ z dalekiej drogi dowlókł się do chaty i ~~[illegible]~~ i zastał zamknięte drzwi ~~[illegible]~~. Żona ~~[illegible]~~ bała się wpuścić śmierci. ~~[illegible]~~ Wszystek obolały, skulił się na progu własnej chałupy. Nazajutrz - znaleziono dwa trupy: żony na łożu i męża na progu. ~~[illegible]~~ Tak ~~[illegible]~~ otwarcie śmierć i gospodarowała nędza...

Brakło wreszcie rąk, żeby grzebać umarłych. ~~[illegible]~~ Wtedy poczęto wozić trupy i rzucać w doły wapienne... Rosły mogiły, i zdało się, że ziemi braknie na cmentarzu... ~~[illegible]~~ Z umarłymi zakopywano żywcem ludzi chorych. Strach ~~[illegible]~~ szedł naprzód i wyprzedzał śmierć...

Czasy te pamiętają starzy. Patrzeli na nie 20-letnimi oczyma, ~~jak dziś patrzą na świat~~ Samo wspomnienie przerażeniem wyziera dziś z oczu. A dzieci nasłuchały się tyle o „głodnych latach" i „Cholerze", że dziś się zdaje, jakoby same przechodziły to wszystko. Takie już pamięci starzy...

„Wieczne odpoczywanie" - szepcą przechodzący ~~mimo cmentarza~~ a myśl każdego do lat ~~[illegible]~~ tych czarnych ucieka i bezwiednie żegna je z przymówką... „Kto wie daleko ona" z krzyż- kie boże się jej. „Bo śmierci nijako nie umkniesz, dogoni cię na krańcu świata..." ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ Jedno tylko proszą ich - żeby jako ta nędza obeszła, co się przewała przybłon. Żeby nie wróciły te „czarne roki"...

*

Pod Groniami do słonka orze chłop wilgotne ~~zagony~~ pole. Jego schylona, chuda postać robi wrażenie ~~przyczepionego do do pługa~~ automatu, ~~który~~ przyczepionego do żywej machiny, którą stanowi: ~~pług~~, żelazny pług, idący ostrem ~~[illegible]~~ i dwa kurczące się z wysiłku stworzenia, dyszące pianą woły. ~~[illegible]~~ Pachołek jedną ręką naciska pług, by głębiej ~~[illegible]~~ pruł kamienistą powłokę, a drugą ~~[illegible]~~ okręconą postronkami, których końce około rogów bydląt owinięte, podnosi lub ściąga ku sobie, jak wyuczony uczeń-woźnica... Znać, że ojciec niejeden już [illegible] zabrał z pomocą pachołczęcia. „Niech się wprawi!" — mówi na prośby żony — „~~[illegible]~~ ja najemników opłacać nie będę. A jak mnie nie stanie, to co? ~~Kto go nauczy~~ Jory, jak bieda nauczy po niewczasie..!" Takim dosadnem rozumowaniem zamknął żonie gębę i brał chłopca ku pomocy w pole... I dziś — od rana chodzą po zagonie, tam i napowrót, bez ustanku, wciąż. Tysiące [illegible] uszli stóp i nogi ~~same~~ rozchodziły się i zdrętwiały jak drewno... Od rana nic w ustach nie mieli, a przy sporym kawałek z południa. ~~Bydlęta~~ * Kiedy nadeszło „przypołudnie" ojciec wyprzągł woły z jarzma i dał im po wiązce słomy, mieszanej z połamanem sianem. Sam zaś wyciągnął się na rozścielonym płaszczu i począł (?) 24 promowę do ~~chłop~~ syna, który żałośnie ~~raz~~ poziera ku chatynie...

— Nie patrz, nie, Jasiu. Nic nie wypatrzysz... Ano, mama poszła rano do Marka pod Kościół, nie przyjdzie, aż ku wieczorowi. Na wytrzymaniu zależy — moje dziecko... Dziś Post, ~~wielki~~ dzień święty, ~~to~~ wielki Piątek... nie wiesz to?

— ~~Dzień~~ święty, a my robimy!.. — Chłopię wymówił odpowiedź.

— Toż zato święty, że da robić! Bo jakby tako, to się nie ruszą z chałupy i święty zmarnieje. Dziś ludzie ~~nie~~ na robotę (?) nie jadą — starał się wmawiać ~~chłopcu~~ wytłumaczyć (?) — Nie korzyść se, bo nie mam o co. Wiesz, bydlęta jeść muszą, toby uschły.

— I ja ustanę! — ze łzami wyjąkał się chłopak.

— Ho! ho! ho! — zaśmiał się chłop, a ~~[illegible]~~ żal tęskny zagadał mu, co ustał — Czyś to nie chłop?! Jasiek! Dy by się śmieli z ciebie ..ci tacy szczygielina!.. — starał się wywołać w chłopcu ambicyą, którą ~~od~~ głód wygnał pod ostatnią skórną podszewkę.

— Zaraz — dodał na uspokojenie — jak przyjedziemy ~~do~~ do chałupy, to se upieczem okrawków i będzie. ~~To~~ Pojesz na [illegible] a teraz ~~do~~ zaprzęgaj!.." I zaprzęgli na nowo i dalej łazili, ~~płużyli~~, stawiając chwiejnie stopy. Bo i ojca wnętrzności gryzły. „Zaczynał" synowi, a sam poziera od czasu do czasu na wzgórze się w dole ścieżki, „czy żyć by nie zrobocy, bo się cnie — tak od ~~[illegible]~~ [illegible] bez niczego..." „Jonta — niewoszy chwiej do siebie — chustami — i nie wdać je i nie.. O! O!.." drapie się po głowie ~~[illegible]~~ i nawraca po drugi ~~[illegible]~~ ~~i tak dalej~~ —

A ten czas powoli się wlecze, i słońce jakoś dłużej świeci, jakby chciało przewlekać ten utrapiony „post".

Już był śródwieczerz, kiedy ojciec dojrzał idących [illegible] ludzi...
Zatrzymał woły i przysłoniwszy dłonią ~~oczy~~ skwapliwie oczy patrzył ~~[illegible]~~ na ścieżkę, ~~[illegible]~~ przechodzącą obok zgodnickiego płotu wszystkie postacie.
— Nie idzie mama! — szepnął chłopak.
— A nie! — potwierdził ojciec — ona zawdy musi na ostatku! —
~~Dorzucił~~ gniewnie, popchnął w łapy i krzyknął na woły...
Już się nie oglądał ani razu. „Jak przyjdzie — to będzie jeszcze bydła wcześniej trącił na poprzeczny” — myślał w duchu i stąpał po roli, a za nim wraz ~~[illegible]~~ kroczył, mrużąc oko filozoficznie z wyższością, że samo nie pozwoli chodzić se za pługiem.”
Już przeszło obok paru ludzi, a chłop uczuł się i nie zapytał o babę. Pochwalili boga, dali odpowiedź i przeszli dalej... Paru ~~zatrzymało~~ się przy nim. Mieli chęć pogwarzyć i odpocząć choć na jeden moment.
— Do łąk się wam orze?
— E tak tu. Skała i skała, więcej nic.
— A wasza kumy?
— Tosz kusioła. — już nie mogła wytrzymać, żeby się nie spytać.
— I dzie ta?.. nie wdzieliście?
— A dyć idzie za nami... koło potoka
Chłop spojrzał.
— W samej rzeczy!... — rozweseliła mu się twarz. Szybko się uspokoił.
— Coście to dźwigacie?..
— Kukurydzę
— a wy?
— Ja wziął ~~[illegible]~~ pół ćwierci pszenice i pół jęczmienia. Zmieszam się i baba to skutwasi co na szyta, jaką placyję...—
— To niewiele?
— O, dyć drogo, bo na bórg. Żyd nie ~~[illegible]~~ opuści. A płacić ni ma czem.
Wszyscy kiwnęli głowami.
— Ni ma czem...
— Dużo ta ludu u Nosidła?
— O dyć nie mało. ~~Każdy [illegible], co [illegible]~~ każdy Żyd nie wytrzyma, przyjdzie pokłonić się Panienusowi i ~~[illegible]~~ ale najwięcej jest u Marka. Dostanie się tam Brzęz, kukurydzy, pszenicy, owsa, a mąki to ~~już~~ już nie ma worków posiało.
— A to wszystko na borg?
— Ba! jeszcze! O centa we wsi trudno, a każdy chciałby Żyd na szyta coś kupić, bo się wymiarył bez cały „post”, że brzucha nie dopatrzy...
Mimowoli ojciec spojrzał na dół i kiwnął głową.
— Nie dopatrzy — powtórzył.
— Ale ta może bukę wyorzem — podjął chłopina, zarzucił torbę, którą złożył na ziemi... Ostańcie z bogiem!..
— Z panem bogiem ~~idźcie~~!..
I przechodzili tak po jednemu, po dwóch i znikali ~~[illegible]~~ razem ze ścieżką w jałowcach, stadem przysiadłych na stromej uboczy... Chłopu się oraz odechciało. Usiadł na pługu.

211

Chłopiec pobiegł przed matkę, która już była niedaleko.

— Jasiu, nie leć tak! — wołała z dala ku rozpędzonemu synkowi.

— Przecie wam cosik mamusiu!.. To poniesę za was choć chwilę —

Nadbiegł, dobiegając zdyszany i gwałtem chce odjąć tłomok z ramienia matki.

Ojciec siedzi na progu i patrzy. Dziś łzy, jak schludny groch, stoczyły się po zoranej brudami twarzy.

— Biedactwo — szepnął — ledwo żyje, i pomyśl nam co dopomoże...

Przez łzy patrzył ku nim, jak szli pod górę... Za ich nadejściem otarł łzy rękawem.

— Szczęść Boże!.. — ozwała się kobieta, wypromieniając uśmiechem młodą, ale zbiedniałą i wybladłą twarz. — Jakże Ci się tu ocze? Bartuś!

— Dyć widzisz — wyjąkał sucho, usiłując zakryć popędnie wzruszenie. Zmęczona usiadła przy nim i pogłaskała go po szorstkiej twarzy.

Chwilkę zabłysły oczy jego tkliwością, i przechodzą zwolna w powszednie zobojętnienie...

Już począł „wajdować" kosz zawiniętka, z jednem przeświadczeniem, że przecie „coś" znajdzie, że żyd musiał „coś" przyrzucić do ziarna. I nie zawiodło go przypuszczenie. Aż mu się oczy zaś skrzyły, skoro dojrzał w odwijaniu tym trochę placka, kawałek rogu plecionej chałki. Ułamał i bez pytania począł łakomie targać zębami.

Matka tymczasem rozpowiadała ojcu o całem podkościelu, o wielkiej procesyi ludzi, którzy zwodzili żywność skąd może i jak może... Potem o sobie mówiła, jak się wypłakała przed obrazem Ukrzyżowanego, jak targowała ziarno, wiele jej żyd zrzucił, a wiele ona obrzeszała i tak dalej.

— Wzięłam trochę pszenicy, bo z jęczmienia suchy placek nie wiecie jak cięży ono nała..." — podwinęło się po tłomak dziecięcy z plecami. Chłopiec odskoczył przestraszony i ręce mu opadły a z zębach trzymał, nie mogąc przełknąć, ostatni kawałek świętego rożka. Zaczerwienił się po uszy. Kobieta spojrzała nań z boleścią i łzy zmierzły się jej do oczu.

— Jasiu! Dyć się nie bój! Przecie to la ciebie, nie la kogo...

Zawstydził się chłopiec i ucałował rękę matczyną, która głaskała go łagodnie po zaczerwienionem licu. Rozłamała kukiełkę i podała chłopu.

— Ukąś-że, boś głodny!

— A coż będziesz święcić?

— Nie frasuj się Bartuś! Upiekę placek, zaniesę i będzie...

Siedzieli w milczeniu jakiś czas, a słońce spadało zwolna na zachód, nad ziemne doliny.

— Słonko poczyna się kryć...

— Żałoba idzie od Jerozolimy...

— Idzie na cały świat...

— Smutek na ludzi...

Przydrożnym głosem wyrywały się nabożne słowa, płynne melodyą na wiosenności w opustoszałą dal... Nastrój dziwny ogarnął skupioną w rolę gromadkę.

– Nie będziesz orał? – odezwała się znów z prostą wzgardą
~~Czemu?~~ ~~Chłop odkładał rękę.~~
– Jeszcze choć zagon urwę, ~~tak, po~~ tak, po kępy. – wtrącił z lękiem
– Nie, ~~..~~ Bartuś! Panjezus by się gniewał, że ty orzesz, kiedy on za nas na krzyżu umiera. Nie orz, nie!.. Muszę ano przecie umyć i ogarnąć jako, do kościoła. Czas ~~pr~~ wnetki zleci.
Chłop podumał chwilę.
– Ha no, moc boska. Niech idzie – to jutro...
Wyprzągł woły z pomocą Jasia, który je popędził (uradowany) ścieżyną przed sobą. Pług został na zagonie, do jutra. Bartek koły zaraz zarzucił – i poszli razem ~~wszyscy~~ milczącą gromadką pod wysokie górnie. Wnet schowały ich zawrotki za potokiem i gęstwiną obsiadłe jałowce.........

* * *

*

Marysia z rana uwijała się ~~powolna~~ Bartkowa baba, żeby jak najprędzej ~~posprzątać~~ izbę posprzątać, ~~bo czas nie ustaje, ino leci~~ i zejść ze święconem ~~pod~~ ~~do~~ do kościołowi, bo „ta księdz nie będzie na nią czekał." ~~ze święconem. Czas nie~~

– Jasiu! przygotuj chrzan! – ~~wołała~~ wołała. Jaś szybko począł oskrobywać ze skóry wyrgotne korzenie i złożył je w rzeszoto. Koszyk, w którym na dnie spoczywał „połeć" słoniny, wzdłuż kiełbasa porozcinana od wieprzowiny i dwie sztuki wypieczone u „świętej" matki, prócz tego spory kromek soli i garnuszek ~~masła~~ białego masła.

Wnet uwinęła się robotami, przetarła świadomie jednym tchem i poczęła zawdziewać gorsecik w Tacky.
– A głowienki przygotowałeś?
– Są!...
~~Chłopak~~ skoczył do sieni i przyniósł wiązkę głogowych patyków.
– No, to wszystko! – szepnęła do siebie, zawiązała chustkę, wzięła do ręki koszyk...
– Pilnuj tu, Jasiu! A drzwi zamknij, jak pożenisz woły, żeby cygan, albo jakie wszystkowie nie ukradł!..

Napowiadała mu dokładnie, co ma robić i ~~przeżegnawszy~~ przeżegnawszy się córką święconem z kropidłem, wyszła na odrzwiach, wyszła... Przed ocierniem kręcił się Bartek.

– Ostań z Bogiem! – szepnęła.
– Nie siedź tu długo! – rzucił za nią i poszedł do obory ~~zapr~~ wywodzić woły, bo „słonko wysoko, a pług sam nie ~~orze~~.. orze ani dziwy."..
– Jajka, jajka! – rozległo się po ogrodzie. Jaś wypadł przed sień, chłop wyjrzał z obory.
– Co za jajka!
– Nie święciłaś! – wołała zdyszana ~~baba~~, ~~przy~~ zapomniałam se do malin! Ten od miedzy musiałam się wrócić. Jasiu! tam w garnku – wyjmij ~~..~~ włóż do konewki i podaj!.. O! jaże mi serce bije...

– To nie lec tak! – ozwał się Bartek, wychodząc.
– Nie lec! nie lec! i ksiądz nie zaczeka!...

Powkładała do koszyka gotowane jajka, które wyniósł chłopiec i poszła po za izbę, którymś chodnikiem.

– A nie prawdę gadała! – szepnęła sobie, dochodząc furtki na kościelny cmentarz – już święcą!..

I poczęła się ~~wśród ścisku przeciskać~~ [illegible] wytargała wszystko niemal z koszyka, żeby go tyż nie omyśla święconą wodą z kropidła, boby święcone było nieważne!...

Wielki, różnobarwny tłum ludzi rozłożył się cichem obozem na ~~cmentarzu~~ cmentarnym trawniku...
Stojące, schylone i klęczące postacie robią wrażenie niezwykłe przeklęte na słońcu jaskrawym ... jarmar ...
Na rozścielonych płachtach i w odkrytych koszykach pełno rozmaitych poświęconych przedmiotów – ~~chleba~~ [illegible] Snadno nabrał
Przez 100 lat [illegible] choćby [illegible] [illegible]
Stoją rzędami garnuszki masła, [illegible] [illegible] [illegible] Jakieś białe chłopcy przynieśli na plecach pełne konewki mleka, gdzieniegdzie ~~[illegible]~~ [illegible] długie maślniczki....

Co ma kto najlepszego we wsi, to wszystko przywlókł na cmentarz. Niech się święci! A ksiądz powinien chodzi wśród tłumu i macha kropidłem. Przed nim pochylają się głowy i wargi machinalnie szepczą wyuczone pacierzki.
Na cmentarzu, od strony zakrystyi pali się ogniska. Otoczyli je kołem niedorostki, popychając się nawzajem i [illegible]. Każdy trzyma w ręku węzły ~~[illegible]~~ odmiennych gałęzi, każdy pcha się do ognia, co [illegible], by je choć po końcach opalić w ~~płomieniu~~ płomieniu świętym. Tak święcą ludzie głownie, tak zapewne święcili ich przodkowie, przed wiekami.

Bartkowa baba dosunęła się do samego księdza. Pokropił jej zawartość koszyka, jak się patrzy. Zadowolona z tego wielce, poszła się, przed ołtarz „pomodlić". Ale, ino na chwilkę wpadła, na klęczek, bo ci musi śpieszyć, co prędzej, do chałupy. Panie Jezus i Matko Najświętsza niech przebaczą, bo tyż tu nie ma kto co zrobić. Ojciec z parobkiem w polu, a tu tele mycia, ~~a tu~~ sprzątania, ~~[illegible]~~ że łeb boli na samo wspomnienie. Upiec tyż trzeba co z mąki i bryndzy, bo przecię święta nie z czego!.."

Zakończywszy w ten sposób pacierze, poszła za ludźmi, którzy już z wolna wychodzili z kościoła...

. - . - . - * - . - . - .

~~Nazajutrz~~ rano, we Wielkanoc [illegible] panowała w Bartkowej chałupie. Jedli święcony chleb ze słoniną i z masłem ~~[illegible]~~ i święcony chrzan ze solą. A potem wypili ~~każdy~~ po dwa okopiste garczki kawy. Każdy wypoczął się dobrze przy jedzeniu i wszystkie twarze powesełały naraz – po takim długim poście!..
Z [illegible] Wszystkim domu rodzinnej gromadki, ozwała się jednogłośnym chórem:

„Wesoły nam dziś dzień nastał,
Którego z nas każdy żądał..."

I przenosząc każdy śpiewał z odczuciem i uczuciem.....

Piekiełko.

– Z życia rodzinnego na wsi. –

Słońce (wytaczające się powoli z poza [illegible]) padło na zadymione szyby w Błażkowej izbie. Rozwidniło się nagle w zakopconej, niskiej piekarni.

– Wstawać! Kaśka, Maryna, Józek! – krzyknął Błażek, zrywając się z pościeli.

– Do roboty! – szturchnął babę pod żebro – Nie czujesz, kiej to dzień?!

– Cy cię wściorności! – zaklęła po cichu, przeżegnała się i wyskoczyła z łóżka. Poszła do kotła po wodę, a słońce wtoczyło się za nią, pobiegło po spódnicy, której po drodze „oparowało"! – Błażek zaś podszedł ku wyrkowi i szarpnął za [illegible], przykrywającą dwie chrapiące głowy, a zwinięte czarne postacie.

– Do południa będziecie się wylegować, czy co?.. Nie widzicie, że już kury od wody, a dzień z trzeciej wsi?!..

Maryna leżąca z kraju, zesunęła się na ziemię i poczęła wycierać zaspane, błędne oczy. Józek mruknął parę słów niezrozumiałych i odwrócił się ku ścianie. Rozczochrany ojciec zaniepokoił się jeszcze.

– Wstawaj, ty głuchy psie! Bo jak cię poleję!

Chłopak wytrzeszczył szeroko zaspane oczy.

– Nie czujesz, co ci godom?!

– Przeklęty Tysopol! – wypadło od nalepy, gdzie baba rozdmuchiwała węgle.

– Takie ci i takie, jak przeszedł dziadków [illegible] jesz od samego świtu!.. – poczęła Maryna dziadać [illegible].

– No, nie wściekajcie baby! – Błażek ucichł i klęknął przy skrzyni do pacierza. Czuł wtedy nad tym głową cichą [illegible] bab ni cudy dzień i dał spokój Józkowi, chcąc zaskarbić sobie jego pomoc. „Tyn zawdy posłuży w ojcem" – uczył go od mała, by mieć na starość oparcie.

– Tako pono pokuta! – mruknęła baba, [illegible] dmuchając na ogień.

Maryna zatknęła za pas onuckę, siadła pod oknem, przysunęła konys ze ziemniakami i poczęła obierać!

Józek zwlókł się pomału z wyrka, przeciągnął kości przy nogi, aż zazgrzypiały w stawach, ziewnął szeroko, jak „od Palenicy do Starmacha"! i począł iść ku nalepie z zamkniętemi oczy, po omacku. Usunął się na dzwonek, leżący przy nalepie.

– Sciekli na! – zaklął nie widząc konia.

o/sto osiemi (przystawa)

– Nie umiesz chodzić, zdechlino? – wrzasła mu nad uchem matka zamierzając się ocedzarką. – jeszcze mi tu wpadniesz do garnka... Uważaj na się!..
– A kto drwa nakładzi przy szkapie? – obruszył się „głupy" Józek.
Może ~~z~~ ~~oczy~~ wędrowne!.. – zwrócił się do Maryna.
„Wędrowne oczy" drzemały nad skrobaniem. Skoczyła, jak oparzona.
– Co ty chcesz odemnie, ty psie oblazły!..
– Cicho! – przerwała jej matka – skrob wartko, bo nie uskrobiesz na śródpołudnie!
Przysunęła cebrzyczek, siadła ~~przy~~ z drugiej strony korytka (ściągła nóż) i poczęła skrobać, rzucając oskrobiny do środka, zamąconej wody.
– Tako psie pokusa! – mruczała sobie od czasu do czasu, a chwilami szeptała „Zdrowaśki."
– W Imię Ojca i Syna!.. – żegnał się Bartek, wstając od ~~pacierza~~ skrzyni. Dzieci by tak zmówili przy was pacierz! Trzeszczycie, jak stare cierlice!
Posunął się ku drzwiom.
– Stul pysk! Nie obrażaj Boga! ~~Rozumiesz~~
– Kto obraża?! – obrócił się do żony.
Wyszedł na chwilę. Stary wyszedł ~~do~~ na podwórko, ~~Józek~~ „głupy" Józek oprawiał sierpie, a baby uwijały się ze skrobaniem, żeby jak najprędzej uwarzyć śniadanie, bo już „za ramieniem południe!"
Zanim jednak ziemniaki uwarzyły, zanim je ~~ojciec~~ matka [illegible], ~~musiały~~ ~~oc~~ musieli wyżej zjeść po ~~pół~~ pół kopy „dziabłów", „~~wilków~~ ~~wściekłych~~", „głupkowatych psów", „psiej wiary" „psie siercie", „zdechlin" i tympodobnych delikatesów. Że psa nie zostawili ani pomocnika, tak go obrobili doszczętnie.
– Będzie to śniadanie, czy nie?! – krzyknął Bartek już z sieni, idąc z podwórka.
– Ledwo wszedł za próg do izby, „wsunęła mu baba między oczy porywczo garnek, „Kmieciu, co się tu zmieściło." – Zrobili w izbie taki „tołer", jakby się sto ludzi zeszło.
Matka z córką wsiadły na ojca, że się nie miał gdzie podziać. Przypierało wszystko na niego, jak na psie. Szczęściem „głupy" Józek wmieszał się pomiędzy nich i na niego ~~skrócała~~ wylała się cała werbowy ~~złość~~ matki ~~się~~ i siostry. ~~Ztąd bowiem~~ Nie stanął za ~~stojąc~~ ojcem, jak ~~sobie~~ ~~ten~~ ~~ob~~ się stary spodziewał, ~~lecz~~ wyplunął prześwietką ~~krystalnie~~ ~~oczy~~ zazdrośnie. ~~Ojciec~~ stary zemknął ~~[illegible]~~ Na pacierz z. pośpiechu
czuł się na Tarowie ~~jak~~ ~~żeby~~ nędzny, że Boga duchem wzniecił, nic więcej – a ~~Józka~~ takiego przysądzy baby, że dał się kędyś zdołał

wypuszczę!"

Odetchnęli na chwilę, gryząc w cichości gorzką żółć, obiedkę na sercu. Niechby kto teraz obcy, „palec między nochy wetknął" wszyscy rzuciliby się na niego, jak podrażnione osy; a ktoś patrzący z zewnątrz, wydziwićby się nie mógł ich „rodzinnej miłości", jak solidarnie napadają, jak jeden za drugiego nadstawi głowy do rozbicia.

Pomyślałby nieroztropny, co to „rozsadzić się w rodzinie rzeczy", gdyby przypadkiem podstawił głowę pod „niewylany upust żółci": Opadliby go rozjuszonym gniazdem szerszeni.

Nareszcie Maryna powstawiała ławki na środku izby i dwie miski postawiła na jednej z nich; Żywiła usiąść z „głuchym", żeby podał Tyski z za Tyszki) Zyzia nie podała, żeby mieć sposób rozpoczęcia nowej kłótni z „głuchym". Zacietrzewiony odwarknął jej parę razy, wreszcie zaczął „pluć po swojemu".

— Ino bez obrazy boskiej! — krzyknęła ich matka.

Turdu pomerocka [illegible] i kłótnia wreszcie na siebie, zamiast siedli, „bez obrazy boskiej" przy misce. Stary „z mlekiem" przysunął się ku niemu, i sięgnął, siadł na skórze ławki i sięgnął po najwyższy „ozdobny" Tyski. Przeżegnał się porządkiem i chciał przy nabożnie pacierz „pół szeptem"...

— Błogosław ojcze niebieski te dary!..

— Poświęć się wilczy Kostusiu! — zwróciła mu „delikatnie" uwagę matka, siadając obok z garnkiem maślanki w lewej ręce, którą przylewała do ziemniaków...

Umknął się — począł jeść w milczeniu, sięgając z dala na miskę, i połykając całe a jak drobniejsze dwa naraz ziemniaki. Nie długo wytrzymała matka, żeby się nie odezwać:

— Józek! nie wychlipuj mleka!...

— To dolejcie!..

— Jo ci doleję, ty psie pokraczko!.. Przyjdzie czas, żebyś zgodził ze chleba, teni liczgo ziemniaka, jeszcze byś łapy oblizał.

Stary zapatrzył się w okno, po odsunął Tyszkę. Mleko z niej wylało się na ziemię.

— E jakże ty jes wesoło? — szturchnęła go „stylisko" beba.

Nie „odpędniał" jej jeszcze, kiedy coś zadudniło w sieni, a potem drzwi zaskrzypiały na zawiasach. Obejrzeli się wszyscy. Na progu stanął chuderlawy chłopczyna.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków! Siadajże kumotrze!..

— Siedźcie dalej! zaprzyjcie się!

— Kielecko Kielecko...!

Przybył „kumoter” rzekł, jakby ukradziony, po izbie i uśmiechnął się złośliwie.

– Gdyć wy se tu jecie, jecie ... a nic nie wiecie co się stało.

– Coż takiego?!... – wrzeli naraz wszyscy.

– ~~Może kto nogę zabił, odrodził, abo co?~~

– No, coż takiego! – cedził powoli, uśmiechający się ciągle – nic ta, tylko, ino nasze sąsiadowe bydło wlazło do kapusty...

– Kaśka, Marysia, Józek! – wrzasnął stary. Wyskoczyli na raz „prosto ~~tyłkami~~ o ziemię” tyłkami, tak, czyli do drzwi, i zrobili taki ścisk we drzwiach, żeby pałka nawet nich nie wsunął; porozbijali ~~o~~ głowy i stopy i wypadli w pole. Ziemia jęczała po-przed nimi, jak leciała kupą.

Chuderlawy chłopina wysunął się ~~d~~ za nimi, wyszedł drugiemi drzwiami, a idzie ~~chodnikiem~~ [illegible] na dół, ~~[illegible]~~ trzęsąc głową i dusząc w sobie cichy złośliwy śmiech...

– Nie mają! – szepnął – niech se ta tły powyrywają!..

Nad miedzą stanął, obejrzał się za siebie. Wszyscy czworo chodzili po grzędach, z oczami wbitemi ~~d~~ w ziemię ~~[illegible]~~ od czasu do czasu podnosili [illegible] i „przez pokurcz” [illegible] na stojącego, którego wargi drgały tłumionym śmiechem.

– Jak to chodzą – ~~po [illegible]~~ milczenie po kapuście – Bydło – to spółka! Nie uźrą. Alboż ich wywiódł!.. ~~ha! ha~~ Że nie dojedzie!.. ha! ha..

I poszedł ~~na~~ dół ścieżyną w stronę kościoła. Oglądał się jeszcze parę razy za nimi.

– Cygańskie pokolenie – mruczał, śmiejąc się cicho, złośliwie...

A „oni” wszystkie grzędy przeszli i nie ~~mogli~~ zdołali znaleźć śladu racic bydlęcych, z których mogliby zacząć kłótnię ze sąsiadem. Źli, powrócili do izby i poczęli się na nowo „żreć między sobą” i „sypać” sobie w oczy po kopie djabłów i więcej. Tak było dziś! ~~Tak co dzień~~ i każdego dnia. Tak się [illegible] objawia „miłość rodzinna” i „zgoda chrześcijańska” w tem małem państewku. ~~A do kościoła ch~~

– A do kościoła chodzą?..

– ~~Co by tam~~ Bajka jakaś! ~~Gdyż by ci oczy wydrapali, jakbyś im pedział, że nie żyją po bożemu. Tak Tak.~~ chodzą i będą chodzić!...

—

~~Póki było~~ Błażkowa a Łysina.

Błażkowej babie nigdy się ~~przytrafiło~~ nie często. Zawsze miała coś do mówienia, gadała też wiele i bezustanku, bojąc się, by się jej suchoty nie zastały. Byłaby to największa bieda! Lękała się tego bardzo, najbardziej ze wszystkiego. Wolałaby oślepnąć, wolałaby nie wiem co, żeby tylko mowy nie utraciła, broń Boże. ~~To musi być straszne – wygląda – chodzić, jak ten pień~~ A raz już w chorobie wielkiej, pamięta, o mało, że się jej to nie przytrafiło. Obudziła się rano, patrzy i widzi, że zaspana Marysia wsypuje oskrobane ziemniaki do garnka, w którym się zwykle świniom jadło gotuje, – chce zawołać na nią po imieniu, a nie może... Szczęki się zacisły mocno, jak drzwi na mrozie i ani rusz otworzyć. – Bedrenta! – pomyślała – to już, widać, koniec. Amen już, amen – powtórzyła wszeteczna kilka razy głośno, ale się sama nie słyszała i nikt jej nie słyszał. Ziemniaki będą się warzyć w świńskim garnku – nic nie pomoże. Wszystkich dyabli nadzieść Marysia. Wrzeszczy i spojrzała na wypiek, czy przebudzona dnia, czy śpi... Zobaczy oczy wytrzeszczone ku garnkom i zęby ściśnięte w jeden rząd... „Wieczne odpoczywanie!" – szepnie ~~wyjmij ze skrzyni~~ „wyjmij gromnicę z półki i zaświeć" – zwróci się do Marysi. W tej razy baba zerwała się na siedzenie dziwną jakąś mocą, a zęby też same odskoczyły i wypadło jedno słowo, które się na nich zatrzymało było: „Pościadusna!" Strach zmartwiał z radości, że baba ożyła, Marysia musiała zjeść niemało dyabłów, a Błażkowa już odtąd nie zamykała gęby, lękając się z strachu zamorzenia szczęk. Słychać ją było wszędzie, i na osiedlu i w izbie, poza osiedlem ~~a najbardziej~~ i w całej wsi.

Jak nie miała z kim gadać – gadała ze sobą, ale najbardziej lubiała gwarzyć ze starą Łysiną, bo ta już rozumiała wszystko, co jej kto powiedział, a sama nie gadała nic, jak zwyczajnie krowina dobrze wychowana, co na cudzej koniczynie i na chudobie Bożej. Swojego nie tknęła nigdy, co jej się chwaliło przy każdym podoju, ~~umiało to ocenić przeczytać, tym którko~~, a nawet ozięby, po każdym powrocie do obory.

– Napasła się Łysinka? – mówiła do niej Błażkowa zdrobniale, a ~~przez to~~ zawsze z pewnem zatroskaniem, przez trzeci zarobek. – Napasła się, teraz będzie wypoczywać... o co Łysinka ryczy? O wodę może, o wodę!.. Zaraz, zaraz, my cię tu napoimy... ino trza poczekać chwilę maluteńką, chudziątko... Marysia! – ~~zawołała z obory~~ wychyliła się z obory do sieni – Czemuś ty tyle wody nie przyniesła? To ja ci codzień będę przypominać? Nie widzisz, że Łysinka cierpi, pić jej się chce... A mleko-byś jadła, ty zgubianu dziadowski! Bierz konewki zaraz, bo jak przydę...

Marysia, mrucząc po cichu, brała konewki obie i szła po wodę dla Łysiny. Łysina piła, obracając wielkie, załzawione oczy dokoła po oborze. Te oczy zdawały się pytać i odpowiadać, rozumne oczy. Błażkowa też nieraz patrzyła w nie, ~~pytała się~~ gdy się jej zdawały smutne, pytała się: „Co ci to braknie?" i zaraz znajdowała sama za nie odpowiedź, która trafiała zawsze do krowiego serca, i do krowiej chęci. W tych chęciach odbijała się bowiem cała jej dusza zwierzęca, ~~tak co kto chce~~ wszystkie jej myśli. A myśleć musiały, skoro się tak z Błażkową dobrze rozumiały. Ktoby jej tego wypsie zarzucił brak duszy? Wszak oczy za nią mówiły zawsze: „chcę"

Gdy nie dość silnie wyraziły jej wolę, pragnienie, wówczas prosiła, jak umiała, rycząc. Mowy tej używała w ostateczności, gdy już w chałupie Bździchowej nie było, bo przy niej to niczego chcieć jej nie zbrakło. Miała wszystkiego (po uszy – trudno powiedzieć, ale) po kolana. Sypiała na ogrzebinach, wypadłych ze żłobu. Mięciutko jej było. Jeden dzień odróżniała w tygodniu – piątek, kiedy Bździchowa pościła do kolacji, a o Maryceńka się wtedy po próżnicy, aż ją z niebowy boleśnie. Ale to popołudnie tego dnia było dla niej świętem. Bździchowa, chcąc jej wynagrodzić postne dopołudnie, pasła ją podwórzem i poiła osobną wodą, głaskała dłonią popadaną jej miękką sierść. Żywina znosiła głaskanie to gwoli jadła, skóra tylko na niej drżała, bo była cliwa.

– Nie dali mojej Żywince, nie dali – żałowała Bździchowa – umorzyliby chcieli moją Żywinkę, wściekłe Katy!.. Czekajcie tylko, dam ja wam na wieczerzę suchą miskę oblizać, będziecie wiedzieć, jak to dobrze mieć próżnisteńki żłób.

Nadszczypała jej do nieba, wynosząc przytem chłopa i Marysię i Żywina była rada. Tak się przynajmniej Bździchowej zdawało. Doiła ją zawdy sama, nie mogąc się na nikogo spuścić. Bo też doiła ją kunsztownie, jak nikt. Tajemnice przytem miała swoje, zdradzić ich nie wolno. A pochlebstwami więcej mleka wyciągała, niż krowa mogła dać.

– Widzisz – mówiła do niej – jakaś ty cacana... Insza by już dawno przestała dawać, a Żywinka też doi i nie ustaje... Za to będziesz mieć drobniutkie sianko za drabiną, jak przyjdzie z pola... Nasza Żywinka, nasza... No, jeszcze kapeczkę! po wypiciu obroczki... Tak.

Miewali nasamprzód i dwie krowy, jak się Bździch na łące wspomniał, ale do żadnej nie przywiązała się tak Bździkowa, jak do tej. Bo też od małeńkości ją chowała. Pamiętała ją małą cielinką, zabeczaną, potem jałówką wątłą, strasznie chytką, a wreszcie krową już od siedmiu lat. Tamte były i pierwsze, prędzej je musieli ku zimie, bo chować nie zawdy było czem, a ta się jakoś dzierżyła chałupie jak ta komornica, która się przyjmie do rodziny i trudno ją oddalić, kiedy już „swoja". Z kimżeby zresztą Bździchowa gadała? Zaczęłoby się jej na piekle, jak by Żywiny, czego Boże nie daj, zbrakło w chałupie. Tak jest przecie oszywka i jest do kogo nieraz słowo przemówić, na ten przykład. Bo z ludźmi nie porady nie – Bździchowała dawno z nimi już zerwała. Nawet widzianego rodzonego chłopa „diabłami" codzień pasła. To też szkodę, jak ten święty w ołtarzu, co tam stoi od niepamiętnych czasów. Żywina za to była tłusta.

Pasała ją sama Bździchowa i wodziła poza płoty pomiędzy zboża – gdzie i którędy, nie sam Bóg, na którego się odwoływała, gdy jej kto niechcący zarzucił szkodę.

– On ta widzi, On patrzy, choć On ta wysoko...

Trudno było gruntowni szkodę, skoro samo oko boskie chodziło za Żywiną. Z Bździchową jeszcze nikt nigdy „nie doszedł. Niech ta sądzi sam Bóg – powiadali.

Białkowa Łysina

Złość wielga na Białkową i na jej Łysinę ustępowała miejsca niemałej uciesze, gdy je słyszano gadające ze sobą, jak dwie kumoszki.

— Patrz-cie no się — wołano w osiedlu — Białkowa krowę ćwiczy bez ustanku!

(Dokończenie) Na to każdy, choćby najpilniejszą robotę miał, przypadał do okna i widać było przez zadeptane szyby z stron gdów(?), [illegible] młodszych i starszych, pokładzionych na sobie i w skupieniu siedzące, rozśmiane twarze.

A ona gnała prosto na ugory, nic widzieć nie chcąc; tak była sobie zamyślona i zagadana z krową: Tak..

(Dokończenie) Bolą cię nożenki, bolą... Hej, mocny Boże! co ja ci poradzę?.. I mnie kaj nie bardzo lekko iść, a muszę... Nic nie pomożesz! Dawno tak już trzeba tę biedę nosić po tej ziemi na wielki wstyd(?). Łysince lepiej, niż mnie, bo przecie obuta... Racice się nie zedrą... a mnie się kierpce zdarły dawno i nima za co kupić.. Tak.. Trzeba by soli nie kupować bez dwa jarmarki. Musiałaby się Łysinka obejść nie jedną wodą... To lepiej, niech już ja boskiem chodzę... na wielki wstyd — rzucała na bok, gdy kto idący przed nią pochwalił Boga i gnała dalej, na ugory — Kaj-że ty idziesz? — pytała się Łysiny — Tam trawy nima, szkoda nawet zębów... Wróć-no się, wróć...

I Łysina się wróciła, chętnie i szła powoli przed nią, na popas. Wiedziała, że ją Białkowa na łąk nie zawiedzie, gdzie ino osty same i skały(?). Ona też codzień coś nowego wynajdzie, kiedy jeno nie bywały dawniej. Nie omyliły się już przecie krowie i tą razą.

— Pójdziemy se na miedzę — mówiła Białkowa — do jednostronki... Tam jeszcze nikt nie wypasł... Trawa mięciuteńka... Będzie Łysina mieć uciechy — ino trza słuchać, i tędy iść, którędy ja powiem, bo tam czasem nie wiem, jak się obydwie zmieścimy... Pamiętasz?.. Hale, toś nie ty była, ino nie ty, ino ta Krasula(?), co my ją przedali Gołdkiego roku na jadwencie... Uwodziła mię też po tej miedzy, uwodziła!.. Że mię kiedy bez całeteńką zimę(?) kołatała... To był smok, nie krowa... Judasz cygański! Przedali my ją za to na mięso. Niech ma! Tybyś mnie tak nie ukrzywdziła... Co to przytykać! No, no, nie markoć, niech cię poszczędzi... Na prawo, tu, koło płotu! Kaj-że tam idziesz? Ozgniewała się więcej na pieska... moja Łysinko! Udobruchała się przecie — no, pochwalić Bogu...

Zaszły obie do jednostronki, przelazły przez płot, naprzód Łysina, za nią Białkowa, pogępiawszy(?).

— Paś-że się, paś... Ino zboża nie skub, skoro trawy masz dość... Ustuchnij, bo ci na złe nie chcę...

Ale Łysina słuchała jednym uchem, przyskubując zboże dla omasty... i nic dziw! Samą trawą nie wyżyje, choćby i słodką, bo się przeje. Przy jednej sperce i kot zdechnie, każdy wie o tem.

— Ludzie patrzą, bój się Boga — mówiła Białkowa — Uważaj na się.. I na mnie uważaj przecie, bo jak dojrzą, to będzie piekło. Co ja już „dyabłów" skróny(?) ciebie zjada, to ani, ani... Czemuś taka się gan... ozorem, kie to nie twoje? Zawiedłam cię do najsłodszej trawy, jeszcze ci mało? Daj kurze grzędę... Ono zawdy tak, nie inaczej bywa i między ludźmi... Ale się trza hamować, nie [illegible]

co oczy widzą. Bo kiedyby się uczciwość podziała? Tak moja Łysinko, tak.. Jak się ma dość wszystkiego i można być uczciwym na świecie, to czemu nie być? ~~Jak~~ Tacze, jak bieda zmusza. ~~Wtedy~~ [illegible] ... Mocny Boże! ~~i z nami~~, jak ono też będzie z nami na tamtym świecie? Paś-że się, paś...
~~ni~~ Darmo nie ~~patrz~~ poziéraj ku chałupie, bo jeszcze daleko do południa. Widzisz, kany to słoneczko na niebie,.. ~~Paś-że się, paś.~~ Kany to cień... Daremno z tobą gadać, boś nie wyrozumiała...
~~Paś-że się paś~~

Gadała jednak wciąż. Łysina jadła trawę, raz [illegible] zboże i schodził czas, cień się [illegible] co godzinę, aż nareszcie i południe nadeszło.

— Trzeba gnać... Kto wie, czy Marysia uskrobała ziemniaków na obiad, ale ba! zabaczyłach ostawić klucza, a mleko jest w skrzyni w komorze. No, może się [illegible] przeposcić. Nie zawadzi. Nie będą im tak dogadzać. Zwąchaliby się na przebieg... Paś-że się, paś... O rzetelności! Jak oni to skosili to zboże. Ale niech ta, kiedy nie nasze. Może już pudzimy do chałupy.. Jeszcze ci mało? ~~Tno~~ To jedz, ino mleka nie żałuj! Bo już tak skrupulatnie udzielam, jak pasierbicy. Wstydziłabyś się przecie! Na takiej paszy, jaką ty masz, insza by na ten przykład dała ze dwa skopce... Ale na ten przykład, mówią, że to się ~~nie~~ ~~masz~~ nimasz o co złościć. Paś-że się, paś...

Łysinie oczy już boki zaokrągliły. Z [illegible] jednak ~~[illegible]~~ skubała trawę, przegryzioną w pół. Bo kto wie, co jutro może wypaść? Zawdy się przygodzi [illegible] względ.—

Daleko słońce przechyliło się od południa, kiedy Błażkowa gnała krowę na dół, w osiedle. Rada była bardzo, że ~~tyż~~ się Łysina tak napasła, aż jej się oczy śmiały z daleka. Zbaczyła sobie wreszcie, że ~~jest~~ sama jest bez obiadu. — A niech ta! Łysina się za to napasła. W chałupie ~~nie mają nic~~ [illegible] pewnie i zgłodniali porozczerali [illegible] zakima, czy [illegible]. — Będą widzieć na własne ~~swoje~~ oczy, jaka Łysina objedzona. Łysinka nasza poczciwuchna... Czemu tak leciesz? Ja cię nie dogonię, bo widzisz skóra się poodbijała na piętach... ~~Nu leć-że~~, leć. Pomału-że, pomału, zaczekaj mnie ... Chce ci się pić? Kto wie, czy ta „suka" przysposobiła wody?.. No leć-że, leć!

Łysina się pospieszyła, widząc oborę, a Błażkowa szła za nią ~~[illegible]~~ przez osiedle, kulejąc na obie nogi, na palcach szła.
~~[illegible]~~
— I gadała sobie dalej, co Łysinie miała powiedzieć. Wcześnie gadała, Błażkową była od ślubu, Łysina od urodzenia Błażkowa była. ~~[illegible]~~ Zdały się ku sobie [illegible] i nie chybło im się [illegible] nigdy przenigdy.—

Kraków 17/XII 99.

Władysław Orkan.

Błażkowa Łysina.

Błażkowej babie nigdy się nie cnyło.
Zawdy miała cosi do mówienia i gadała też
wciąż i bezustanku, bojąc się, by się jej zmowy
nie zastały. Byłaby to najgorsza bieda! Łę-
kała się tego bardzo, najbardziej ze wszystkie-
go. Wolałaby oślepnąć, wolałaby nie wiem co,
żeby jej tylko mowy nie zabrakło, broń Boże.
A raz już w chorobie wielgiej, pamięta, o ma-
ło się jej to nie przytrafiło. Obudziła się rano,
patrzy i widzi: zaspana Maryna wsypuje
oskrobane ziemniaki do garnka, w którym
się zwykle świniom jadło gotuje — chce zawołać
na nią po imieniu, nie może... „Bedziesz ta!"
pomyślała — to już widać koniec. Amen
już, amen" — poczęła w sercu lamentować
głośno, ale się sama nie słyszała i nikt jej
nie słyszał. Ziemniaki będą się warzyć
w świńskim garnku — nic nie pomoże.
Szczęściem dyabli nadnieśli Błażka. Wszedł
i spojrzał na wyrek boczawo, czy „piekło"
drzemie, czy śpi... Zobaczył oczy [illegible] pio-
nem ku garnkom i zęby ściśnięte w [illegible]em rzędzie.
„Wieczne odpoczywanie" szeptał — „Wyjmij
z półki gromnicę i zaświeć!" — zwrócił się

Przegląd Tyg. [illegible] od Skal [illegible] 1)

Władysław Orkan.

odb. Ślepy Śpiewak Jedlina. odpowiedź

[illegible] 31

Niedowiarek.

Smutno i ciężko w kotlinie podkarpackiej. Słota już dwa tygodnie trwa... Zewsząd, z południa i z zachodu, z dalekich lądów i od morza zleciały się mgły i ~~[illegible]~~ przysiadły tę ziemię nieszczęsną, tę krainę łez, kęp i wiecznej nędzy; rozścieliły się po mokrych ziemniaczyskach, porosłych wcześnie łopuchem i mleczem trującym i przeganiają się po ugorach i łąkach, gdzie czerwienią się rdzawo, rozorane, niczem nie posiane zagony.

– Dawno już nie było takiej wiosny – mówią strapieni ludzie między sobą – Ani to ziemniaków okopać, ani to dosiać poczciwie, jak się patrzy, bo jakże? Deszcze i słoty bez ustanku... o Boże lutościwy, drogi, cóż się to stało, żeś się tak uwziął na ten naród nieszczęsny?

– Dajcie-no spokój! – powiadają starzy – Nie bądźcie tacy nagli. I ~~Bóg się~~ Ponjezus się zlutuje, skoro go złość opuści... ~~[illegible]~~!

– Dyć niejak! ale...
– Najgorzy pierwszą biedę przeczekać, to się już do następnych człowiek wzwyczai...
– Bo musi!
– Nie bluźnijcie żeno moi mili i nic nie gadajcie naprzeciw wyroków boskich, a miejcie se to na uwadze, że Opatrzność boska zawdy wisi nad nami, ino że je my nie widzimy, bo my je niegodni...

Na to już nie ma nikt nic do powiedzenia, jeden tylko Cyrek, co przy samym kościele siedzi, zdaje się powątpiewać, bo chłopie niezrozumiałe oczami... ale ktoby się ta obzierał na takiego niedowiarka! Nie wierzy – to zmierzy i sam się przekona.

W kościele nabożeństwa się odprawiają na uproszenie pogody u Pana Boga; falami lud zalewa kościół drewniany, ciżba w świątyni, duszenie, płacz, przekleństwa i krzyki – po sumie: suplikacye przejmujące, organy i jęki. Cały lud płacze zmiłowania bożego. Z dalekich roztok spłynął do ołtarza i pada krzyżem przed wystawioną monstrancyą.

Po nabożeństwie wylewa się potok głów odkrytych z kościelnego cmentarza i rozpływa się po kamienistym rynku. Widać gromadki, powiększające się z każdą chwilą, gwarzące cicho, trwożliwie, bez krzyku i hałasu. Na długich ławach, przed ratuszem, usiedli rzędem gazdowie starzy i wiekowi. Siedzą z pochylonemi głowami; strączki białych włosów osłoniły im spalone szyje. W siwych chazukach z owczej wełny, zdają się być rzędem ~~ja-łowców~~ skarłowaciałych jałowców, ~~który prz~~-y-osendziałych śniegiem.

I u wójta, w urzędzie gminnym, nie tak gwarno i hałaśliwie, jak zwykle. Poschodzili się, co prawda, wszyscy radni; nie brak i Jędrka z nad miedze i Józka od Chlipały i Tomka Nieboraka ze Skalistnego; jest i pisarz, „jedna głowa na cztery wsie dookoła, jeden rozum i jedno orendzie." Siedzą, bo siedzą, bo ławek nie brakuje; piją, bo piją, bo co mają robić na te ciężkie czasy – ale u wszystkich widać zasępienie i utrapienie wieczne, co młyńskim kamieniem sparło się na sumieniu i ani rusz.

– Tak moiściewy – porzekł Tomek, podając szklankę kumotrowi – Nie dość jednie biedy na świecie, ba zawdy musi ich być więcej. Człek się ogania, wicie, ciepie na wszystkie strony, a tu darmo, bo jak cię ścisną, to ani dychniesz człeku nieboraczku... w ręce!
– Daj Boże!
– Na tę naszą biedę...
– Biedkę kochaną!

I kolejka przeszła rzędem, nie omijając nikogo. Wójt Okpisiny szynkuje raźno, sprawiedliwie, przymruguje każdemu z osobna, wszystkim potakuje i ręce zaciera; rad widocznie sobie i całemu światu.
– Pamiętacie wy kiedy wójcie taką wiesnę?
– Jakie chcecie? Cobych nie pamiętał?
– O, o, cóż się to dzieje moiściewy, kochani, drodzy – jęczał Tomek – Ani ziemniaków ogrześ nieporada, ani nic... Doznaku wszystko skapie i zmarnieje... Matko Najświętsza! Dajże też te pogody jakie, uproś przecie u Pana Jezusa, u synaczka swojego najmilszego... Królowo niebios, Pani moja... w ręce!
– Daj Boże!
– Na tę naszą biedę...

– Biedkę kochaną!

W milczeniu podawali ~~sobie~~ dalej szklankę okopistą, uważając przytem, żeby nie ~~po~~rozlać, nie sponiewierać daru bożego. Gdy przyszła kolej na pisarza, ten ujął misternie szklankę ~~między~~ dwoma palcami, przejrzał się w niej do światła i wypił; potem nalał drugą i tę już bez namysłu wychylił, podając stróbowanemu sąsiadowi, ktobędź nim był, próżne, zielone szkło. Tak czynił zawdy, odkąd go poznali, więc nikt się temu nie dziwił.
„Musiał się już z tem urodzić" – powiadali – albo „kto wie...

– Ho! ho! nasz pisarz ma głowę i łeb, mościewy... nie na wszy! Kazanie wam powtórzy całutkie, ani słóweczka nie wypuści... Taki pamiętny, wicie, już od urodzenia...

– Bóg mu dał talant...

– Hej! By miał z czego żyć... Jedni, wicie, żyją z gruntu, a drudzy letko, z talantu. Na jednych Ponjezus więcej łaskawy, na drugich mniej...

– Ni mało i w niebie sprawiedliwości...

– Nie bluźnijcie! padam wam, bo...

– Kto bluźni?!

I wnetby przyszło do bitki, bo kilku ujęło się gorliwie za sprawiedliwością niebieską, kiedy powstał pisarz z za stołu i chrząknął trzy razy, co znaczyło, że pragnie zabrać głos...
Ucichli się wszyscy. On zaś, oparłszy pięście o stół, przemówił w te słowa:
– Nie powiem wam nic inszego, jak ino to, co gadał ksiądz pleban na kazaniu...
– Dyć my już słyszeli...
– Cit! To usłyszycie drugi raz... Niezawadzi.
– Słowo boże – rozpoczął pisarz – jest jako święty chleb, który się nigdy nie przeje...
– Oj, nie przeje, nie...
– Cicho tam!
– Tak samo, jak manna niebieska...
– ~~Abo~~ A kiej jak placek owsiany...
– Cit.
– Słuchajcie!..
– A kto je będzie słuchał niespiący – ciągnął pisarz – tego uszy staną się otwarte na wszelkie słowo mówione i pisane. I stanie mu się we łbie jasno, mówił ksiądz pleban...
– To już wiemy!
– ... i pozna wszelkie arkana wiary naszej przenajświętszej i będzie* jako on filozofus, który okiełznał emanacyę*...

– To się rozumie stało przez się..

– O czem-że wy gadacie? – szarpnął go Jędrek za rękaw.

Pisarz, zbity z tropu tak niesłychaną uwagą, chrząknął raz, chrząknął drugi raz, wreszcie wychylił stojącą przed nim szklankę.

– Bieda jest, bo jest! – począł, ocierając usta.

– Tak mówcie! – rzekło paru – Co tam filozofy!

– Hej! niczego jeszcze nie wymyślili...

– Choć myślą od stworzenia świata...

– Więc bieda jest...

– To wiemy!

– A wiecie skąd się bierze?

– Ba! Kaduk by ta odgadł... Przyszła i jest psia para...

– A co gadał ksiądz pleban? ha?

Wszyscy się zastanowili.

– No, co gadał? powiedzcie! – szepnął Tomek nieśmiało.

Pisarz potoczył dokoła okiem filozofa, „który okiełznał emanację”.

– Grzech jest w narodzie! – huknął – Grzech jest i nic więcej...

– A bieda kamy się podziała? – wtrącił Jędrek żałośnie z końca stołu.

Pisarz ku niemu oczy gniewne obrócił.

– Bieda jest w grzechu, a grzech w biedzie! Rozumiesz teraz?

A gdy wszyscy milczeli, podniósł głos i tak prawił:

— Ksiądz pleban wyraźnie pedział, o co się rozchodzi. Nie idzie o tych, co się ta zabawią w karczmie, abo w „kółku." Bo co biedny ociec ma robić w niedzielę?

— Hej!

— Ino o tych idzie, co pod dzwonnicę nie zajrzą, a dom Boży obchodzą z daleka!.. Ci to heretycy, niedowiarki, co niedzielę święcą w chałupie, ~~o~~ wymijają uczciwych ludzi, do spowiedzi nie idą, jak rok długi, ba ino grzeszą, grzeszą i grzeszą... Oni to rozumu uczą się z pism dyabelskich i bezbożnych książek, oni to dyabłu zaprzedali swą duszę na wieczne zatracenie...

Tu odsapnął pan pisarz i wychylił szklankę. Potem otarł pot z czoła, na którem żyłami wypisane, stało kaznodziejstwo.

— Jest tu między wami kto taki, co widział te bezbożne pisma?

Milczenie.

— Chwała Bogu! Sprawiedliwość nie odeszła a narodu...

- Was to Bóg karze za tych zaprzedanych, cała wieś cierpi za jednego...
- Za Cyrka! - szepnął Tomek.
- Za Cyrka - powtórzył pisarz i zaraz dodał: Dwa tygodnie słonka nie widać; Panjezus zasłonił swoje oblicze przed nami...
- Bo my niegodni...
- Kto niegodny?!

Powstał hałas. Z hałasu nic nie można było zrozumieć, tylko jedno słowo: Cyrek.
- Ta psiakrew! Ta nas gubi...
- dyabłu duszę zaprzedał...
- Ksiądz pleban... - począł pisarz.

Nie słuchali go. Zajadłość na Cyrka rosła; dopowiadali o nim coraz to nowe historye, co ino kto wiedział.
- Idę se - mówił Tomek - wyjrzeć na pastewy, a ten wiecie robi w samiutką sumę? wiecie?..
- ?
- Kwiczole chyta. Zjadłeś ty dyabła, ajeś ty zgadł! - powiadam mu - Tośtu? A któż za ciebie na sumie? - Kościelny! odpowiada i śmieje się - Poczekaj hycju! mówię mu - dyabli ci będą dzwonić

po śmierci...
– ~~Ju~~ Siedem roków, jak nie był do spowiedzi.
– A przed Kościołem mieszka...
– Luter krotny! heretyk!
Wójt się wmieszał.
– Nie pije, pada, ani ~~…~~ do karczmy nie chodzi...
– Bo mu dyabli wódkę noszą do chałupy! Co się ma fatygować?
– Dyć niejak!
– Powiesić psią krew, to się upamięta... nauczyć hycla rozumu!

Wszyscy się porwali od stołu, w oczach każdego zaiskrzył się groźny, ponury fanatyzm.

Wtem... drzwi się otwarły i do izby wszedł Cyrek.

Dwadzieścia ~~y~~ nóg posunęło się ku niemu, dwadzieścia pięści wzrzał nad swą głową.
– Zaczekajcie – rzekł spokojnie – O co wam idzie?

Połowa pięści opadło.
– Ty niedowiarku ściągasz na nas karę! bez ciebie deszcz leje!..

– Dejcie mi usiąść! – ozwał się Cyrek i zwrócił się do wójta. – Cztery flaszki!

Wszyscy ~~z~~ zdziwieni, odstąpili go, patrząc po sobie, a wójt skoczył do szafki i postawił na stole cztery litry.

Cyrek podsiadł zwolna i nalał.

– Kto nie pije?

Nikt nie odpowiedział, więc przypił do pierwszego ~~z~~ kraja. Poprzypijali się w milczeniu i nieśmiało. Żaden nie chciał być ostatnim. ~~x~~ Pisarz ~~za~~ jeno zapomniał sobie o zwyczaju i wypił tylko jedną szklankę.

– To pijecie? – spytał zdziwiony ~~Tomek~~ Jędrek.

– A piję.. dy widzicie! – odparł Cyrek.

– No... no... Ktoby się to spodziewał?

– Niczemu się, mościewy, dziwować nie trza... – rzekł ostentatyjnie pisarz.

Rozmowa się powiązała i z drugą kolejką ~~wzrosła~~ urosła w hałaśliwą gwarę. Każdy się do Cyrka zwracał, każdy chciał z nim mówić.

– E kazeście sie zabrali? – pytali go.

– Do folusza...

– We święto?

– Dyć kiedyż pudę? W robotnej dzień czasu nima, a tu porterzy ta ladaco... – wyciągnął nogę.

– Słusznie macie, kumie – ~~dodał~~ ozwał się polowy – ale też uważujcie na niedzielę, uważujcie... bo to grzech.

Cyrek się rozśmiał.

– Jak by wam ciele zdechło w niedzielę... nie ratowalibyście?

– A i pacierzy nie mówicie – dodał Jędrek – a pacierz od Boga nakazany...

– Ba, i ja się bez pacierza nikany nie ruszam, bobych się wurzyć nie zdołał... Zawdy go noszę na garbiecie...

Na to powstał śmiech.

– Oj kumie, kumie! Byście przecie choć do Kościoła zajrzeli raz kiela czas... Naród się modli o pogodę... dyć i wam potrzebna!

– Ja tak uważuję – pociągł Cyrek – Ludzie się modlą, to chwała Bogu, to się ta bez jednego w Kościele obejdzie... Pan Bóg ta nie wie nawet, mościewy, czy żyje na świecie jaki Cyrek...

– Nie bajcież!

— A ~~ta~~ do nieba się nie napieram, bo mie i tam posadzą na pośledním miejscu... tak moiściewy!

Kolejka przeszła rzędem.

— A potem tak uważuję — ciągnął Cyrek — Jak się wszyscy modlą, jak się modli cała wieś, to honor Panu Bogu większy, niźli odemnie... ~~Bo to tak naprzykład~~ Zresztą i nigdybych się nie dokołatał. Bo to tak naprzykład: Ja wnoszę do starosty supli, klacyą i wójt wnosi. To wójta pierwej przyjmą, posadzą na stołku, a ja muszę stać w sieni, burzyć się i czekać...

— Sprawiedliwie! — mruknął wójt.

— Bo i to — kończył Cyrek — prędzej wy upro, sicie u Pana Boga pogodę, niżeli ja, mizerny człek...

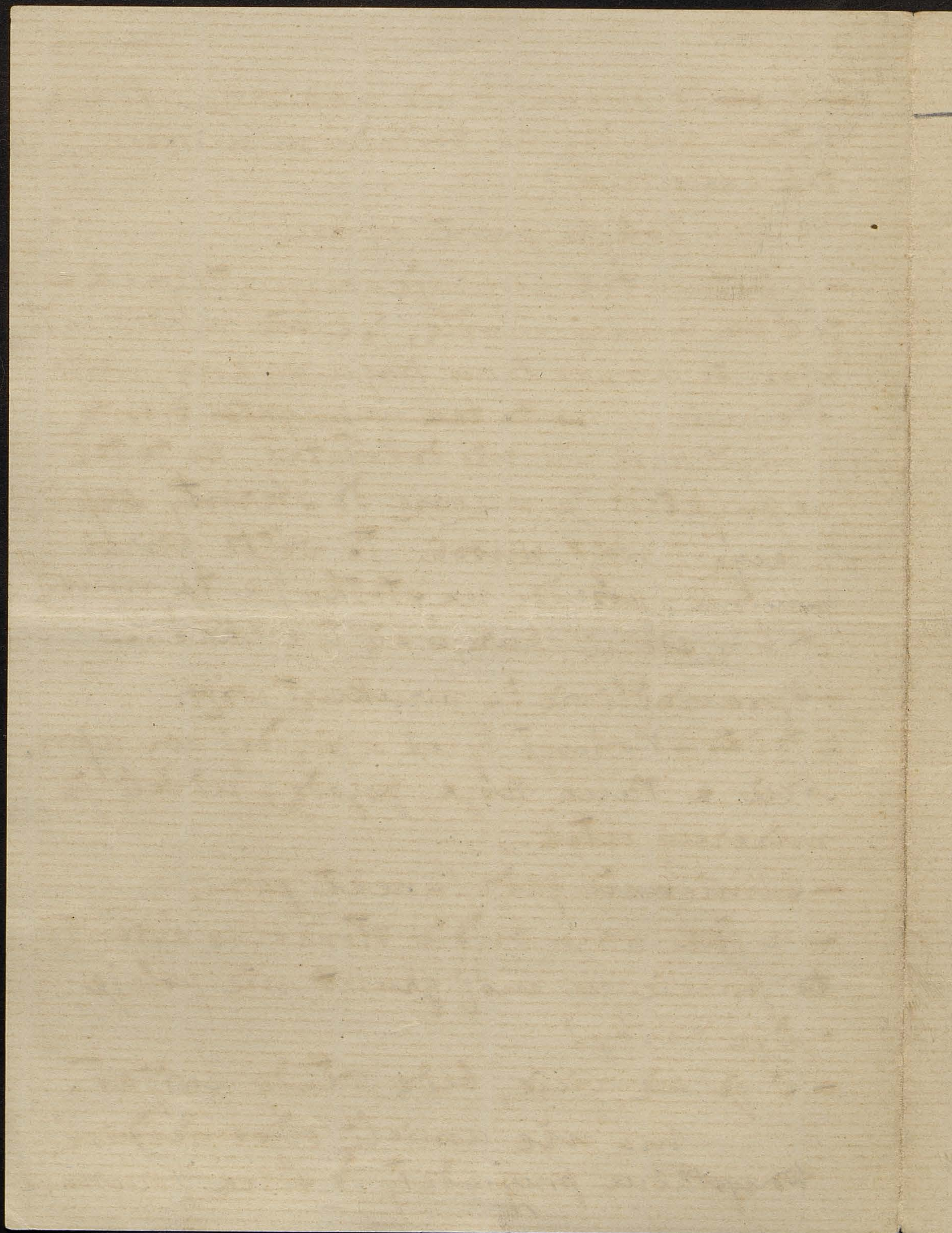
— Sumiennie gada! — rzekło paru.

— A jak wam będzie słoneczko świeciło, to przecie na mój grunt nie poleje...

— Dyć karby!

— I ja się, wicie, będę wtedy uwijał.

Nic nie umieli odpowiedzieć. ~~Wszystkim~~ przypadały do serca rozumne



słowa.

– To ci łeb! – mówili między sobą.

– Harakiu! – krzyknął pisarz i spojrzał dumnie po obecnych. ~~[illegible]~~ W mig zjawiła się flaszka.

– O, tu mnie już nie upytacie – szepnął Cyrek i powstał.

– Kaj uciekacie?

– Muszę!

– Kajże wam tak pilno?

– Czas nie stoi, ba idzie... Zawdy trza go gonić, coby nie uciekł...

– Dyć mądrze gadacie, bo mądrze, ale... napijcie się z nami!

– Darmo!

– E ~~po~~ siądźcież!

Rzucili się ku niemu i poczęli go ciągnąć gwałtem, jeden za chałatkę, drugi za serdak. Ale on zaparł się nogami i ani rusz. Zeszamotali się i pomęczyli przy nim.

– Twarde macie sumienie – mówili, dysząc.

– Cobych robił na świecie bez niego? Ziemia twarda, jak skała, ani je ugryźć,

to trza twarde uwziątki, coby wyżyć...
Kumie! – zwrócił się do wójta – mam do was
niedużny interesik... ale to jutro – dodał
po namyśle... – Wyciągnijcie no jeszcze
flaszczynę!.. – szepnął i począł szukać w
zanadrzu okrąglaków.

Radni myśleli, że sobie Cyrek
flaszkę do rękawa wsadzi, więc niemałe
było zdziwienie i radość, skoro ją Cyrek
na stole ~~posadził~~ postawił.

– Ostajecie?

– Nie, ino chcę wypić za wasze zdrowie,
a potem już do reszty wy moje po-
krzepcie... W ręce!

– Dej Boże!..

Cyrek się pożegnał ze wszystkimi.
Wójt, bełkocząc niezrozumiale, wypro-
wadził go aż za próg i nie dojrzał już
uśmiechu złośliwego na ustach Cyrka,
~~bo~~ bo ten szybko sprachybnął próg, splunął
potem przed sienią, poprawił kape-
lusz i poszedł.

W izbie zawrzało po jego odejściu.

– To mi ćwiek!

— Na mój duszu!
— Takich więcej!
— Wójcie...
— Chrześcijan, jak się patrzy!.. Nasze wiary, święte wiary!
— Wójcie, dajcie jeszcze kapkę... Niech już będzie do równości...
— Pamiętasz, jak my se razem pasali?.. owce!..
— Daj Boże!
— Na tę naszą biedę...
— Biedkę kochaną!

Koniec.

20x16

 Wójcina wnuk się nawiązała.

Niedowiarek.

Wyszły i stoła siadły na ziemi... Drugi tydzień mija... Ziemniaki nieobkopane, pole niedoorane... W kościele po sumie śpiewają suplikacye "Święty Boże" – cały lud w trwodze... gdzie spotkać gromadkę ludzi, to zaraz można powiedzieć o czem mówią...

I u wójta, po sumie zebrała się spora gromadka; otoczyli długi stół, posiadali na ławach wokół, kany kto mógł... Każdego coś trapi, skarżą się nawzajem przed sobą – po kolei skarżą idzie kolejka wódki... Rozczulony pisarz przypomina kazanie księdza (do ławki) (o racji) gorliwość religijna wzrasta, przypominają kolejno wyjątki z kazań podczas misyi... wójcina się miesza oburzenie wzrasta na wszystkich heretyków a zwłaszcza na jednego (który do wójta) "Bo kościoła nie chodzi!" "Bóg przez niego karze wszystkich" – fanatyzm groźny... Jeden wójt śmieje się po cichu (potakuje) i dolewa i szynkuje wino...

Opowiada o nim ciekawe "wypadki niedowiarstwa oczywistego" (suma, kwiczoł – Bogu nie pochwali – że je dobre – pracowity – ale cóż z tego? – do kościoła nie chodzi, ani do spowiedzi... heretyk, luter! prawie z bydła, bo się upomniała... Naucz psią krew rozumu, kiedy go ni ma... Niech wierzy, albo zdycha marnie!... Chłop Cyrek. i wójt Okopny.

Po drodze. (sonety)

I Bogińka
II. Cyganka.
III. Moja Pani!

(Chuderlawy staruszek – zdarł się drzwiami. [illegible]).

Wtem wsuwa się Cyprek... Wszyscy kiwną na niego,
on stoi przy drzwiach spokojny – „dejcież mi wódkę"
nowe..;. Widzę „próżnota u was" – zwraca się do wójta
po ~~[illegible]~~ flaszkę i wszyscy zdziwieni pomilkli.
„Do picia?" – a piją..." – Krzesełnie jakby smoły
padają... Rozum już otwórzył oczy, by przemówić
ale właśnie przyszło do niego... „Mój Boże!" – szeptał
i wychylił szklankę...
Kapucyński... Cyprek idzie ~~[illegible]~~ do jolusia... „Coś
święto?" – pytają... i wyjaśnij mu wszystko.
„To wiesz tak" – zaczął po paru kolejkach – „i po-
wiadam!.." Co chwila wybuchy śmiechu, a początkowo
cicho, potem coraz to głośniejsze... Biorą
go w ramiona, całują... Wójt są zupełnie
nieporządne – (pewnie który który winna!).
Idzie... Ta mnie już nie upytanie?" mówi
Cyprek – i ~~[illegible]~~ wstaje, wszyscy go trzymają i całują.
„Mam do was wyjść interes, ale widzę, że dziś
już nie załatwimy..." – wójt bełkoce...
chce go trzymać – Cyprek stawia im pełną flaszkę
na stole – i wymknął się......
– To mi człek!" – wrzasnął jeden – Karczmarz, jak
się patrzy!.. Nasze wiary, święte ~~[illegible]~~, tyle!
Zaczyna się orgia...
A Cyprek idzie polem wśród nocy – do jolusia.

Przegląd tygodniowy

117

Nad urwiskiem...

Z wąskiego okienka w niskiej chałupinie podleśnej wychyliła
się kosmata, czarna głowa chłopa... Oczy, głęboko zapadłe, jak
ślepia ziemnego kreta patrzą ciekawie dookoła i przenikliwie,
z dziwną upartością. — Jest jakaś stłumiona siła w tej duszy,
która oczami wyziera, jest jakiś wieczny utajony ból,
który zastygł na suchej pomarszczonej twarzy, a krogulczy i ostro
zakrzywiony nos zdradza nieukrytą drapieżność, łagodzoną
przez czoło wysokie i bruzdami zorane, na które spada
grzywa szczeciniastych włosów... Pozbawić z "wydzierczych" brwi i zuchwałego czoła pierwotnego myśliciela, którego dręczy wszystko,
co nieznane, którego boli nieświadomość własna, i który,
czując małość swoją wobec wielkich potęg, gryzie się tajoną
złością i gniewem, skurczami występującymi na czoło...

Wschodzące słońce ukośnymi promieniami rzuciło
na prawą stronę potężnej twarzy chłopa — i wystąpiły
ostrzej wyrzeźbione rysy, surowe i kamiennie zastygłe...
Maleńkie oczy tylko błyszczały zielonawem światłem, jak
tajemne, żadnych ślepia wężów ślepia utajone w kępie...

(Jak muzułmanin rozmodlony do wschodzącego
słońca, skamieniały i cichy — tak przechylony w okniе patrzał
chłop ku stronie południowej)

Spokojnym muzułmaninie, modlącego się ranikiem do słońca, stoi
w oknie skamieniały chłop... Żaden muskuł nie zadrga,
tylko oczy iskrami świecą i myśl pracuje uparcie... On może
nie wyrzec słońca, odrzucił je przed obrazem na ścianie, ale
myśl po roli lata, nieoranej, odychającej szarą mgłą
i lekkiemi oparami po długiej zimowej leży...

Lata spokojna przed nim... w dolinie... On patrzy z góry i widzi rozrzucone osiedla, gdzieniegdzie stoją samotnie potracone chaty,
a dookoła nich klinami rozchodzące się zagony, wąskie,
jak długie szyje żórawich wyciągające się z dołu ku pustym
widzi zygzakiem wśród pól szerzącą się roztokę,
ubocznej, spadającą, niedawno jeszcze
zieleniejącej lasem, a dziś pustka, wyręby szare, które obsiadły stada
ptaków, bielejących w słońcu...

"Jak się to wszystko dziwnie zmienia — a przecie nie na lepsze" —
rozżalił się chłop w myślach swoich idąc za wzrokiem,
który błądzi po zagonach i sięga aż między domiszcze żywa klamica.
"Niedawny czas, jak się złociły łany zboża hań na rozdole
długie i szerokie... Wyszedłeś na szczyt, to ci się zdawało, że się
zorza oderwała od słońca, i spadła na ziemię,
że się błękity zmieszały i siadły — bo tak łąkami bławatków...

Ty byś ~~z okola czerwonej~~ koniczyny... Schodziłeś na dół ~~ze szczytu~~ z tych wierchów, ~~tobyś~~ ci ptaki śpiewały po lesie i gradoby ci echo nieskończone, a po [illegible] ~~[illegible]~~ wesołe wszystkich wypominały ~~by ci~~ [illegible] zabawne psoty... Zeszedłeś na dół ~~w ugorowanie~~, ~~tobyś~~ cię ogarniało wysokie żyto, ~~[illegible]~~ barwne łąki dookoła, ~~[illegible]~~ nie [illegible] końca nie widać, — ~~[illegible]~~ bielały [illegible] w oddal (gdzie jeszcze z oddali promieniami). Tam raz w ubocz (jak to niedawno!) — szły mrowiem owce na paszę, kerdelami szłyże białe i czarne, a za każdą dwoje bielutkich jagniąt... ~~Niedaw~~ A dziś — niedawny czas... hej Boże! Jak się to pozmieniało wszystko... Huń z wierchów dojrzyn ino [illegible] skrzypy; trawość na nie spadła odrzawym płaszczem — i pokryła do ziemi... Z lasa ci drzewo nie odpowie, ni żadne ptactwo. Zdzień wyrębami, ~~jak~~ pomiędzy opaleniskami, gdzie [illegible] pniaki sterczą ku tobie, jak nagie piszczele na smentarzu... Wejrzysz w ugory to pustka cię ogarnie niezmierzona... nikany owcy białej, żywego bydlęcia, chyba zgłodzone koniszko, jak chude ramię, od młaki zarzy żałośnie, abo ci z łąpy żmija zasyczy, i jedzie [illegible] i za nogę polecie... Zejrzysz w doliny rozłożną — to ino potrzę [illegible] za miedzami, które ci spod nóg wylatują na różne strony. Porwikały z zboża — i wszystko... Taki czas... coraz gorszy..."

W ~~dolinie~~ zielone zadumę popadł chłop ~~przetrwały~~ i dziwujący, w okolice... Słonko wytoczyło się nad wierchy idąc nad wyrębami w błękitne stropy a na ziemi jasność była wielka, wielka pogoda wiosennego ranka... ~~Na polach~~ W dolinie życie, ruch... Ludzie, jak krety, w ziemię się wkopali, jeden i drugi — i dzieciska na [illegible] rusza się w ~~ziemi~~ roli wilgotnej... Błyśnie do słońca [illegible] niemoc, to w chodzie [illegible] do ~~roli~~ [illegible], a za niemi, ~~jak~~ rodzące ogony rozłażą, długie skiby... Wyciągają się koniska chude [illegible] ~~się kaszcze~~, ciągnące z wysiłkiem [illegible] pługi, a [illegible] portać [illegible] roboty pan... Pracuje bez ustanku bydło i ludzie, tyrsze razy przędą [illegible] morowy, krowiny, drogą ~~a każdy stopą~~ tysiące zrobią stóp, a każdy [illegible] pod trawy i boleśny — i to wszystko dla paru ~~korcy~~ mizerych kłos, jeśli je Pan Bóg i pogoda pozwoli zebrać szczęśliwie...

Widzi te mrówcze wysiłki ludzkie stojący w okolice chłop i patrzy na nie [illegible] dziś ~~[illegible] patrzy~~... Ale mu się zdaje, że robotnicy wszystkie, praca [illegible] przygrała — a owce karleją ~~do [illegible]~~ [illegible] — dawniej — ono dziś... nie inaczej!.. Alić jak z jedna w [illegible] przed wschodem, to wyjechał z niego po zachodzie. Było się gdzie podziać [illegible] nie grodziły płoty, ni miedza, nie grodziły... ~~chłop~~ ziemię obsiał — ona go żywiła — i — ~~Coby to było? — Dzisiaj chłop~~ żył ze sobą w zgodzie, wedle bożego przykazania: „Kochaj ziemię, — ona cię przyodzieje i nakarmi!.. Dziś drogo [illegible] ziemię ~~[illegible]~~ pielęgnuje, co dawniej — a musi ją przeklęć, boć go nie obżywi, ~~[illegible]~~ [illegible] przyodzieje, ~~jak~~ [illegible] leżycz na smentarzu... Nic inaczej!..

Myśli, pełne [illegible] niewesołych wlatują mu [illegible] do mózgu i odchodzą, pozostawiając ~~ciche~~ zarazne [illegible] i cichych zastan nowszą.

A jedna myśl, wyprzedzając, jak osa brzęczy mu w uszach i umysł podrażnia srogiem powracającem pytaniem: „Co to będzie? co to będzie?”
Ten ciężki niezrozumiały szept nie opuszcza go nigdy... Czasem zdaje mu się, jakby w pytaniu tym słyszał wyrzuty całej swojej duszy.
Czasem znów, ile razy okiem zwróci na jutro i na dalszy ciąg, zdaje mu się, że węże jakieś jadowite wężów splotami wpijają się w serce, a gdy go opuszczą, długo jeszcze czuje jad w sercu jej przeklętych pazurów. Najczęściej idzie ku niemu od północy czarna zasłona i zakrywa mu wszystko ciemnością. Wtedy wpatruje się w tę czarną tablicę, którą chce odgadnąć, coś wyczytać – i wpada w coraz to wyższą noc....

– Co to będzie? Co to będzie?.. – [illegible] w uszach i w umyśle. – „Niepokoju się ogarnąć” [illegible] idzie znów tę czarną zasłonę, [illegible]
Idzie nagle od północy prosto ku niemu, siada na dole, szerokim płaszczem osłania wieś, osadę, łąki, pole, [illegible]... nic, nic nie widać – Nagle gęsta ciemna... Żeby choć wieżę dojrzeć na kościele!.. Nic..

Całą mocą wytęża wzrok, przygarnia wolą myśli i gna jedną po drugiej bez ustanku w ciemność nocy... Umysł pracuje w gorączce, wyrywa się z ciasnego koła pęt, kroplisty spływa mu po czole... Jeszcze chwila – i zapadnie w ciemną noc.. Nagle w oczach światło błysło jedno – drugie... Z tajemnej ciemni, z za nocy wystąpił obraz coraz to jaśniej swoim światłem... Przed oczy się [illegible] szachownica zagonów [illegible].
[illegible], jak nitki rozbiegają się miedze na wszystkie strony... Powoli w oczach maleją szare płaty, zwężą się niezmiernie... Miedze zbliżają się ku sobie niepostrzeżenie, jak wskazówki zegara, szare płaty już niknąć, a miedze [illegible], jak skiby [illegible] jedno szare pasmo. I jak okiem dojrzeć miedze i miedze bez końca [illegible] się rdzawo, jak gęsto rżysko skropione krwią...

W okamgnieniu cała [illegible] szarość zalała krwawe pole i wszystko się to robiło, [illegible] dusi i [illegible] i [illegible] o krew [illegible] czarnej pożodze.
Ciepłe opary unoszą się w powietrzu – a gdy opadły – [illegible] słońce złote może krwią [illegible] w złoto [illegible] który z umierających w boju [illegible] i błyśnie, jak w obliczu śmierci.
Umrzeć, że stoi nad [illegible]... – i [illegible] dalej, przeczuciem zgłębić Otchłanie [illegible] serce –, a on stał nad [illegible], bo serce [illegible] otwiera...

Tymczasem słońce wyszło wysoko. [illegible] wracali się [illegible] do pokoju, a [illegible] nie dojrzał w [illegible] komnaty [illegible] w okienku [illegible] chłopskiej podłogi [illegible] nie dojrzał [illegible]

„Nie wiem czemu!"

Taki mię smutek okala zamieniem
I taka ~~ta~~ żałość w sercu mi kołacze,
Żem się stał cichem dla siebie zwątpieniem....
Nie wiem, czy mi jest lepiej, kiedy płaczę,
Lub gdy się tają z nieznanem cierpieniem
I obojętnem kryję je milczeniem....

—

Wiem, że za sobą mam ciche cmentarze
Pamiątek drogich, wygasłych popiołów –
Wiem, że przy sobie mam przyjazne twarze
Szlachetne dusze i serca aniołów –
Ale i to wiem, że wdali przede mną
Mam też mgławicę i noc ~~bólów~~ smutków ciemną..

—

~~Nie mam~~ Już mi nie wrócić minionej przeszłości –
Któż z prochu grobów wytapia popiołów?
Szlachetne serca – pełne anielskości!
Te ledwo w myślach kochać się odważę...
Jedne mi tylko nieznienione drogi
Zostają: ciernie, manowce, i głogi...

—

Pójdę ja po nich, gdzie mię poprowadzą –
Na bez krainę pójdę, na cierpienia...
Choć nieobdarzon nadczłowieczą władzą,
Która zbolałe dusze opromienia –
Pójdę ja przecież, ~~choć~~ w świat – póki bez siły
Nie padnę trupem u zimnej mogiły...

—

Ale mi smutno, że nie mam nikogo,
Z kimbym się memi marzeniami dzielił,
Z jakąś siostrzaną istotą i drogą,
Z którąbym płakał, śmiał się i weselił –
Smutno mi czasem... jednak nie narzekam –
I w ciemną przyszłość od smutków uciekam...

Jest mi istota serdeczna...

~~mych oczu, zapłakanych w sfinksa... Nikt – nawet ci sami ludzie,~~
~~Który i tak, nie myślę, stoję nad urwiskiem...~~

~~[illegible]~~

Nad urwiskiem...

II.

Z wąskiego okienka w niskiej chału- pinie podleśnej wychyliła się kosmata, czarna głowa chłopa... Oczy głęboko zapa- dłe, jak ślepia ziemnego nornika, patrzą ciekawie dookoła i przenikliwie, z dziwną upartością... Jest jakaś siła stłumiona w tej duszy, która oczami na świat wyziera; jest jakiś wieczny, utajony ból, który zastygł na suchej, pomarszczonej twarzy, a krogulczy i ostro zakrzywiony nos zdradza nieukrywaną drapieżność, łagodzoną przez czoło wysokie i bruzdami zorane, na które spadają grzywą szczecinowate włosy... Poznać z wędrownych brwi i ruchliwego czoła pierwotnego myśli- ciela, którego boli nieświadomość własna, i który, czując małość swoją wobec wielkich potęg, gryzie się i trapi tajoną złością ~~i gniewem~~, skurczami występującą na czoło...

Wschodzące słońce ukośnymi promie- niami rzuciło na prawą stronę zwróconej ku północy twarzy chłopa – i wystąpiły ostrzej wyrzeźbione rysy, surowe i kamiennie zastygłe...

Maleńkie oczy ~~tylko~~ błyszczą zielon~~awem~~emi świat~~[illegible]~~ jak pełne tajonego jadu, wężowe ślepia w skalnej kępie...

Spokojem muzułmanina, modlącego się rankiem do słońca, stoi w oknie skamie-niały chłop. Żaden muskuł nie zadrga, tyl-ko oczy iskrami świecą i myśl pracuje u-parcie... On modłów nie wysyła słońcu (odszeptał je przed obrazem na ścianie), ale myślą po roli lata nieczoranej, oddycha-jącej szarą mgłą i lekkiemi oparami po długiej leży zimowej...

Lata, spokojna wieś dysze przed nim w kotlinie... On patrzy z góry i widzi roz-rzucone osiedla, gdzieniegdzie samotnie potracone chaty, a dokoła nich klinami rozchodzące się zagony, wąskie, ~~jak długie~~ wyciągające się dłużącemi ~~szyjcami wyciągające się z dołu~~ ku pustym tło-kom i ugorom... Widzi zygzakiem wśród pól wijącą się roztokę, spadającą z uboczy leśnej, niedawno jeszcze zieleniącej lasem-dziś szarzejącej pustką., nagim wyrębem, który obsiadły stada ptaków, bielejących w słońcu...

– Jak się to wszystko dziwnie zmienia, a przecie nie na lepsze... – roztrząsa w my-ślach chłop, idąc za wzrokiem uparcie, któ-ry błądzi po zagonach i ślizga się od

miedzy do miedzy, jak żywa, zwinna „śklnica."
– Nie dawny czas, jak się złociły łany zboża hań na rozdole, długie i szerokie... Wyszedłeś ~~byś~~ na wierch – tobyś rzekł, że się zorza oderwała od słonka i spadła na ziemię, że się błękity zniżyły i siadły, bo tak łąkami błękitniały lny w czerwonem okolu koniczyny... Schodził~~by~~ś na dół z tych wierchów, to ~~by~~ ci ptaki śpiewały po lesie, i ~~grało~~ dzwoniło ~~by~~ ci echo nieskończone, a po gałęziach wesołe wiewiórki wyprawiały ~~by~~ ci zabawne psoty.... Zeszedł~~byś~~ na dół ugorami, to ~~by~~ cię ogarnęło wysokie żyto i barwne łąki dookoła, gdzie miedzy nie zobaczysz – tak się rozlatują szeroko...
– Tam zaś w uboczy – jak to nie dawno! – szły mrowiem owce na paszę, kerdelami szły białe i czarne, a za każdą dwoje bieluśkich bliźniąt... A dziś – niedawny czas... hej Boże! Jak się to pozmieniało wszystko...
– Hań z wierchów dojrzysz ino zagony pokrajane w strzępy; szarość na nie spadła rdzawym płaszczem i ~~p~~okryła doznaku... Z lasu ci dzięcioł nie odpowie, ni żadne ptactwo. Idziesz wyrębami, ~~niby~~ ponurem spaleniskiem, ~~gdzie~~ białe pniaki sterczą ku tobie, jak nagie piszczele na cmentarzu.... Wejdziesz w ugory, to pustka cię

Ogarnie niezmierzona – nikamy owcy białej, żywego bydlęcia... nikany nie ~~Chyba~~ zgłodzone konisko, jak ~~chude~~ rama, rozchwierutane wiatrem ~~od mlaki zarży~~, żałośnie, abo ~~i z kępy~~ żmija syknie ~~zasyczy~~ ~~pod~~ no gę i zemknie ~~potem~~...

z kępy- Zejdziesz w dolinę roztoką – to oczy potracisz za miedzami, które ci z pod nóg wylatują na ~~w~~ różne strony... Poznikały zboża – i wszystko... Taki czas, taki coraz to gorszy...

W ciężkie ~~dziwną~~ zadumę popadł chłop i długo stał, przechylony w oknie...

Słonko wytoczyło się nad wierchy, idąc nad wyrębami w błękitny strop – a na ziemi jasność była wielka, wielka pogoda wiosennego ranka...

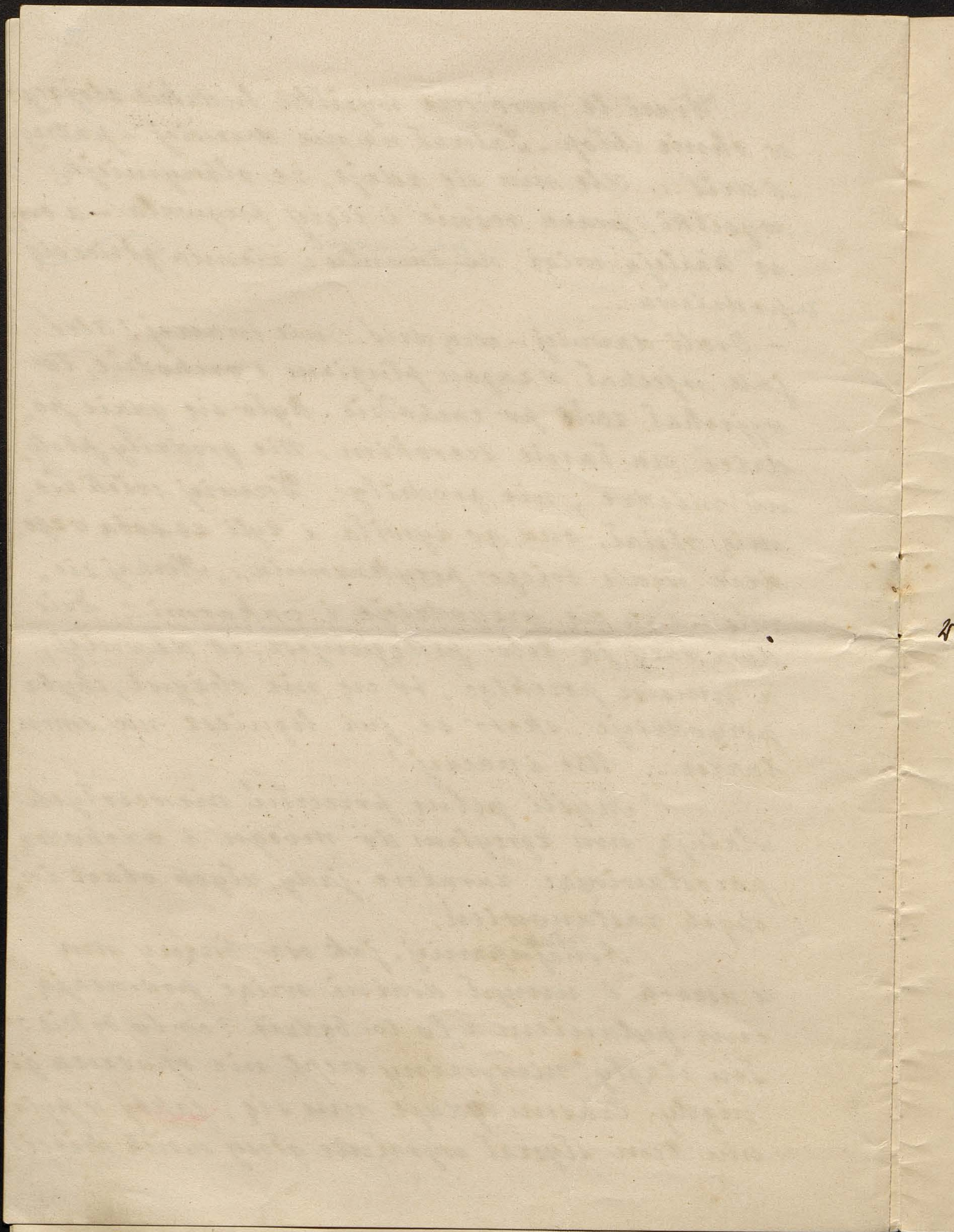
W dolinie – życie, ruch... Ludzie, jak krety w ziemię się worali: jeden i drugi i dziesiąty, na wąskich zagonach rusza się w roli ~~ziemi~~ wilgotnej... Błyszczą do słońca lemiesze, to wchodzą żądłem do ziemi, a za niemi zdra, we ogony zostają: długie skiby... Wyciągają się koniska chude, to kurczą się leniwe woły, ciągnąc z wysiłkiem ociężały pług, za ~~a~~ którym ~~nim~~ ~~włóczą~~ włóczy się schylona, nędzna postać: roliy pan... Pracują bez ustanku bydlęta i ludzie; tysiąc razy przejdą po zagonie mozolną, krwawą drogą, tysiące zrobią stóp, a każdą zwilży pot łzawy, bolesny – i to wszystko dla paru suchych stogów, jeśli je ~~Pan Bóg i pogoda~~ czas pozwoli zebrać szczęśliwie.

Widzi te mrówcze wysiłki ludzkie stojący w oknie chłop. Patrzał na nie drzewiej – patrzy i dziś... Ale mu się zdaje, że olbrzymieją wysiłki, praca rośnie i cięży przywala – a owce karleją wciąż, ~~do imentu~~ na imentu i ziemia gdzieś się zapodziewa...

– Orali dawniej – orzą dziś... nie inaczej! Alić jak wjechał w zagon pługiem o wschodzie, to wyjechał zeń po zachodzie. Było się gdzie podzieć na łanie szerokim. Nie grodziły płoty, ni miedze, nie grodziły... Drzewiej człek ziemię obsiał, ona go żywiła i żyli ze sobą w zgodzie wedle bożego przykazania: „Kochaj ziemię – ona cię przyodzieje i nakarmi". Dziś dwa razy ją telo pielęgnujesz, co dawniej, a musisz przekląć, bo cię nie obżywi, chyba przyodzieje, skoro se już legniesz na smentarzu... Nie inaczej!

Myśli pełne przeczuć niewesołych wlatują mu zgrzytem do mózgu i odchodzą, pozostawiając zaraźne jady złych obaw i cichych zastanowień.

A jedna najuparciej, jak osa, brzęczy mu w uszach i umysł drażni wciąż powracającem pytaniem: „Co to będzie? co to będzie?" Ten ciągły, niewyraźny szept nie opuszcza go nigdy. Czasem zdaje mu się, jakoby w pytaniu tem słyszał wyraźnie głosy swoich dzieci.



Czasem znów, ~~gdy~~ ile razy oko ~~zabróci~~ na jutro i na dalszy czas – bojaźń jakaś ~~wielka~~ smocza ~~węża~~ szponami wbija mu się w serce, a ~~gdy~~ skoro go opuści, ~~długo jeszcze~~ czuje w sercu jad jej ~~piekielnych~~ zgrabnych pazurów. Najczęściej idzie ku niemu od północy mgława zasłona i zakrywa mu wszystko ciemnią... Wtedy wpatruje się w tę czarną tablicę, sili się odgadnąć coś, wyczytać – i wpada w coraz to większą noc....

– Co to będzie? co ~~to~~ będzie? – szeleszczą osy ~~w uszach i wszystkie w mózgu~~ dookoła...

– ~~Nie porada się ognać! – szepcze z bólem~~...

~~I widzi znowu tę czarną zasłonę.~~ Widzi, jak

Idzie ~~mgła~~ od północy – prosto ku niemu... siada na dole, szarym płaszczem osłania wieś, osiedla, łąki, pola... nic, nic już nie widać. Mgła gęsta i ciemna... Żeby choć wieżę dojrzeć na kościele!.. nic....

Całą mocą wytęża wzrok, wolą my~~śli przygarnia~~ i gna jedną po drugiej bez ustanku w ciemną mgłę... Umysł pracuje w gorączce, ~~wyrywa się z ciasnego koła~~, pot kroplisty spływa mu po czole...

~~Chwila – i znów zapadnie w ciemną noc~~...

~~Nagle~~ Gdzieniegdzie ~~w~~ W oczach światełko błyska – jedno – drugie...

Z tajemnej ciemni, z~~za~~ po za mgły, występu-ją obrazy, coraz to jaśniej rozwidniałe… prze dziera się gęsta, ruchliwa siatka zagonów. Jak wązziuteńkie nitki, rozbiegają się miedze na wszystkie strony… Powoli w oczach maleją szare płaty, zwężają się nieznacznie… Miedze zbliżają się ku sobie niepostrzeżenie, jak wska-zówki czasu; skibami łączą się i zwierają… Na~~reszcie~~ Koniec zwarły się w jedno zbite pasmo. Jak okiem dojrzeć – miedze ~~i~~ miedze… i miedze ~~bez końca~~… ~~i bez granic…~~ czerwienią ~~się rdzawo~~, ~~jak gęsto ścię-ta, skrzepła krew~~… bez met, bez końca, i bez granic…

W okamgnieniu milijonowa sza-rańcza zalała krwawe pole – i widać, jak się to robactwo kłębi, dusi i spycha i wal-czy zajadle o każdą skibę… Powilgotniała ziemia od czarnej posoki, a ciepłe opary ze krwi unoszą się w powietrzu…

Chłop zamknął oczy i zadygotał cały, jak w obliczu śmierci… Ujrzał, że stoi nad urwiskiem – i bał się spojrzeć dalej…

– Co to będzie? – dzwoniły przerażeniem zęby.

– Otchłań!.. – zatętniło serce. A on stał nad urwiskiem, bojąc się oczu otwo-rzyć… . . . .

. . . .

~~Tymczasem~~ Słonko ~~wyszło wysoko~~ ^stanęło na południu^.
Ludzie worali się się już daleko w zagony — a nikt nie dojrzał kosmatej głowy w okienku niskiej chałupiny podleśnej, nikt nie dojrzał szklanych oczu, zapatrzonych w ~~[illegible]~~ ^przyrodę^... Nikt. —

Juzyna

z Orawy.

Śródwieczerz. Słonko za górę się już skryło, nie widać go. Cień tylko na przeciwległy las padający mówi, że nie zaszło... i nie wnet jeszcze zajdzie, bo cień dopiero za potokiem, a na całej ubocy białość wielka siedzi od ~~promieni słonecznych~~ na ziemi i nie myśli ustąpić i nie i nie!...

— Tak pomaluśku idzie ten cień! — skarży się cicho pastuszek mały, pasący owce na tej stronie gdzie słonko nie świeci. — Tak pomaluśku się podnosi... a tu się ćmi... czy mi też wyniesą juzynę, czy nie? Obiecali mi pewnie, skoro przyjdzie śródwieczerz. A tu śródwieczerz przyszedł i nic...

Poziera ku wierchowi, na chłodnik wydeptany, którędy się owce na odwieczerz wyganiają. Wie, że tamtędy musi iść, kto idzie — wie, że od chałupy indziej nie chadzają... Ale nie widać i nie i nie!...

Niejeden raz, gdy się uporczywie wpatruje uporczywie, długo, zdaje mu się, że widzi wychylającą się zpoza wierchu głowę — serce poczyna mu z uciechy skakać radośnie — ale cóż? Przebudzają się przetarłszy oczy, że to jałowiec! Kto mu kazał róść na samym wierchu, żeby ludzi zwodził darem-nie? Jak słońce go oświetli z tamtej strony, kiedy się z dołu w niego patrzy, to nic-inno gazda i gazda... Te same, po-nad uszami włosy, ten sam kapelusz na kudłatej głowie... Gazda i gazda...

— Obiecali mi juzynę... Choć pewnie, że oni by mi [illegible] nie wyślą... Kazaliby Zośce, albo Marynie... choć, kto wie! Chadzają tędy do wsi, do lasa — mogliby zawrócić... Nie zdziwiliby się kawałkiem placka... A upiekli! Wiem, że upiekli... Nie pozostarli wczoraj na młynku! Musieli piec...

Ażeby skrócić czas oczekiwania, i przymusić niejako to, co ma przyjść, ażeby nadeszło w czasie, ograniczonym jego wolą — począł rachować najpierw do dziesięciu, potem do pięćdziesięciu i stu...

A skoro widział ~~próżność rachowania~~ daremność rachowania cyfr w pamięci swojej, począł rachować kroki, chodząc po ugorze, pośród jałowców oddalonych.

— Jak dojdę — myślał — do tego jałowca, nie do tamtego, to już przyjdzie ktoś!...

Ale doszedł do niego i wrócił napowrót, a tu nikogo nie widać i nic...

Ażeby się już nie zawieść ostatni raz, pomyślał sobie położenie swoje, jak mógł najgorzej — to znaczy: że gospodyni wyjęła dopiero placki z pieca i pouktadała na ławie. Jeszcze są ciepłe. Tak, Tak. I odtąd trzeba dopiero rachować czas powolusieńku. A samo przyjdzie, bez czekania... Mój placek, już wiem, który — ten na samym końcu ławy, postkrobek. Teraz gospodyni obraca się do gazdy, mówiąc: „Trzeba by Józkowi posłać juzynę, bo on tam ćmi..." Gazda poziera w okno: „O, dyć jeszcze czas... Do wieczora daleko." A w duchu sobie myśli: „Dałby ja ci juzynę, łychu, za to zboże, coś mi kiedyś tak owcami spasł!..." A gospodyni, nie wiedząc, co on se po cichu myśli, bierze mój placek, ociera [illegible],

i wyniesie do sieni, na chłód, ~~żeby się prędzej~~ ostudził. „Zosiu, Zosiu!" — powiada, wracając do izby — „abo ty Marysiu! Weź-no ~~chustkę~~ łoktusę, zaodziej ~~się~~ się, bo trza mu zanieść tę juzynę. Niech ma, niech se nie krzywdzi..." Garda coś mruknął, ~~przesz~~ usiadł na osiedle, ~~widocznie~~ boi się widać gospodyni, choć tak umie klnąć głośno, jak wójt... Marysia zaodziewa chustkę, ale jej nieskoro, ~~na ugory~~ ~~daleko~~: „Kto wie, kany on ta pasie?" — „Ty go ta najdziesz, ino idź!" — mówi gospodyni — „a wracaj się wartko, nie siedź, nie oglądaj się po ugorach... Juzynę mu weź..." Marysia poszła... idzie, idzie... już jest nad chałupą... ~~teraz~~ ~~na~~ już na ugorach... jak pomaluśku idzie ten czas!

Poszedł za owcami, żeby je pozganiać, ~~zanim~~ w jeden kierdel, zanim Marysia przyniesie juzynę. Ujrzy ~~jak~~ na własne oczy, jak mu się owce pasą, opowie potem w chałupie i będą z niego strasznie radzi, że umie dobrze paść...

Pozganiał je wszyściuteńkie w dolinę i czeka. Teraz już powinna dochodzić do wierchu. Za chwilę ~~niedługo~~ ~~już~~ będzie tu...

Ta chwila przeszła i druga i trzecia, — a nikogo nie widać...

Patrzy na cień. Cień ~~się~~ już wyszedł ~~przesunął~~ do połowy lasu i sunie zwolna po wierzchołkach drzew.

— Jak dojdzie do tej jodły ~~wysokiej~~ starej, co się hań od wiatru zchwierutana — to ona już będzie tu... Abo nie!.. Jak cień dogoni tego świerka przy samej polanie — to ona wtedy przyjdzie... abo jeszcze nie! Jak cień doleci do tych pniaków, co się ~~na wyrębie~~ hań po wyrębie czerwienią...

— To już będzie wieczór! — szepnęła mu ~~cicho~~ obawa.

O mało, że się nie rozpłakał. Poczęły mu już kółka latać przed oczy~~ma~~, lecz chlipnął parę łez i połknął je. ~~Gorąca mu woda opłynęła serce~~ A reszta mu gorkości osiadła na sercu i zaczęło mu być duszno, ~~jak~~ ~~mi~~ i ciężko.

Pocieszył się tem, że może zawczasu ~~wyp~~ upiekły się mu w myślach jego placki. Może jeszcze nie wyjęli z pieca. Abo się chłodzą... Marysia jeszcze nie wyszła z chałupy — to jakże miała przyjść?..

Począł się modlić. Najprzód o to, żeby stróż Anioł dopilnował placków, coby się jaknajprędzej upiekły... Potem o to, żeby Duch Święty natchnął gospodynię, coby se nie zabaczyła o nim i poskrobek wyniosła na chłód, zanim się insze ostudzą. Na~~końcu~~ ~~prosił~~ o to, żeby też Matka Najświętsza przyczyniła się za nim i uprosiła u Pana Jezusa, coby mu wynieśli tę juzynę... Bo się ćmi. Oj ćmi się! A w niebie ~~o tem~~ ani o tem nie wiedzą, jak się ćmi.

Obchodził owce dookoła, zganiał je w dolinę i modlił się tak szczerze, jak na świecie nikt...

Zmówił wszystkie pacierze, jakie umiał na pamięć — a tu nie widać ~~nik~~ nic ~~ni~~ i nic... Nikogusieńko! Żywej duszy! Pustka i pustka, więcej nic.

~~Stoi~~ Chodzi pośród jałowców, — a owce się pasą, a dzwonki drobne turlikają wciąż....

Cień ponad las już przemknął i ~~wyszedł~~ wyszedł do wyrębu i ku wierchowi zwolna się posuwa. Z~~achwiało się słońce~~ Niedługo dojdzie na sam szczyt...

— I amen! — szepnął sobie. — ~~Daremne~~ czekanie. ~~Już jej nie nie przystoi~~... ~~A to się ćmi.~~ ~~Daremne czekanie~~ O Jezus! Jezus!

Począł cicho łkać. Lecz wnet otarł łzy rękawem ~~koszuli~~ ~~...~~. Przypomniał sobie, że ~~tu~~ niedaleko stąd

przy tamtych ugorach jest posadzony czyjś zagon ziemniaków... Może by iść — pomyślał — i wygrzebać parę?... Ciekawy był zresztą, dużo podrosły od tego czasu, kiedy ostatni raz do nich zazierał. Wtedy jeszcze wodne były, nie do jedzenia. Możeby się już dziś piec?... Ale zbaczył sobie w tej minucie, że pośród rzędków był i groch. Ten już musiał urość na pewne; dojrzał, ino go nima kto oberwać... Trzaby iść, przecie, konać się na miejscu...

Postąpił naprzód parę kroków, ale uczuł zaraz, że go coś wstrzymuje i coś go szarpie za rękaw podściemny, szeptając bez ustanku: „Nie chodź!" Co się ruszy, to [illegible] po nim powiada: „Nie chodź!" Józek powiada mu ci... Zastanowił się i przypomniał sobie, jak mu tosamo raz mówił: „Nie chodź!" — a on nie usłuchnął, ino poszedł i natargał strączków samych do kapelusza. Miał już odchodzić, kiedy wypadł chłop z mienacka (musiał się już na niego oddawna przystrzegać!), puścił się za nim — on w ucieki — dogonił go na łoku i wycyndybrzył za uszy. Jedno go jeszcze do dziśdnia boli, bo mu je w złości poderwał. O uszy mniejsza, ino o kapelusz! Kapelusz zabrał chłop i nie chciał oddać, choć go z daleka o to pięknie prosił. Przygnał owce do chałupy i płaczący na wieczór — pytają się: „Kajże podział kapelusz!" A gazda już i nie czekał na jego opowieść, ale mu dodał parę pięści, które kaw do dziśdnia za łopatką czuje. Siedzą mu tak, jakiby dwa ostre kamienie przyłożył i czasami nawet kolą, jak się za owcami ulata.

To mu wszystko stanęło nagle przed oczami, a to wszystko z powodu tego, że nie posłuchał wtedy głosu, co mu powiadał: „Nie chodź!" Nie posłuchał i poszedł i tyle miał z tego. Nawet i strączka grochu nie zjadł... małego strączusia!... Tyle miał z tego.

Możebyć, że teraz nie spotkałoby go to nieszczęście. Może i chłop zabaczył o nim do znaku. Trudno miałby się codziennie przystrzegać. Roboty jest dość — pewnie przy chałupie siedzi, nie wyjrzy...

Ale, jak mu tymczasem jurgus wyniesą? Co wtedy będzie? Owce się porozchodzą... i pasterza nima... zobaczą, jak on pasie, powiedzą w chałupie... Dostałby on wtedy jurgus! Jezu Chryste! ratuj! Kto jaki święty... Jeszcze mu nie wywietrzał z pamięci ten wieczór, kiedy z płaczem przygnał parę owiec, powiadając, że reszty nima... straciły się kajsi, poszły pomiędzy jałowce, a tu wieczór i odnaleźć bieda, bo nie widzieć po ciemku, co tam stoi: owca, czy jałowiec... Tak opowiadał prosto w niebie i rzewnie płakał. Wtedy mu kazali iść i szukać, a jak nie najdzie, to nima po co wracać do chałupy... Tak mu jedzieli — więcej nic... Wieczerzę jedli sami, a on u proga stał... I poszedł potem na ugory, bez czucia, w strachu wielkim, bo wszędy czarna była noc... Chodził i płakał i wołał tych owiec... wołał na każdą po imieniu głośno, ale żadna się nie odezwała... Jeno sowa odpowiadała mu z lasu, podrzeźniając, i śmiała się tak z niego, że się aż bał...

Wzdrygnął się na samo przypomnienie tej chwili, i pobiegł za owcami, które go odeszły; nic myślał już o grochu ani o ziemniakach.

— Może jeszcze jurgus wyniesą...

Nie tracił nadziei. Pasł owce, naliczał je i starał się na razie o niczem nie myśleć, nic nie przypominać, bo wszystko było złe, strasznie smutne, co dotąd przeżył.

A życie swoje zachował [illegible] gdy go matka zaodziała parcianką Fatkusą i powiedziała: „Pódź, pudziemy na służbę..." Nie rozumiał wtedy, co te słowa znaczą, a potem... ho! co on już przeżył od tego czasu, mój Boże! Mógłby się niejednemu pochwalić... Powiadają, że długo trzeba żyć na świecie, nim człowiek przywyknie... On przywyknął odrazu, ino mu się cnie... Żeby tak ludzie pamiętali o nim, jak on ~~o nich~~ o ich bydle pamiętał, ~~bez tyle, tyle roków~~! Toby mu na świecie niczego nie trza było. Nawet by mu się nie cnuło tak bardzo, a może i nic... Ale oni są strasznie niepamiętni, jak przyjdzie komu co dać... Zasługę nieraz już mu ukrócili, wytrącając szkody przerozmaite... A nafto żadnej nie było uwagi, że on świtaniem, kiedy jeszcze spali, bydło wypuszczał i na pasze gnał... Nieraz, bywało, zabaczyli o nim, nikt mu śniadania nie wyniósł — on pasł... Potem przygarniał dobrze napasione... Ale oni są strasznie niepamiętni na cudze dobro. ~~nigdy nie~~ I nie miarkują nigdy, jak się to cnie... Musiało im się nigdy w życiu nie cnić, abo... ~~Pamiętam chyba lepiej~~ Już sam nie wiedział, co ma o tem myśleć, że z tą jarzyną nie widać i nic...

— Musieli se o mnie zabaczyć, musieli!... — począł cicho lamentować — Nie wiedzą pewnie, czy jest na świecie jaki Józek ~~abo co~~...

Żal mu się zrobiło samego siebie. On musi ~~za owcami~~ boso za owcami chodzić, skórę już poodbijał do znaku na piętach... Nikt nie pomyśli, żeby kierpce kupić... Choć przed każdem jarmarkiem przypomina gazdzie — ni nic! daremno! Obiecują tylko, jak zawdy... żeby choć nie obiecowali, jak nie mają chęci kupić! Toby już było lżej... bo człek nie wyzierałby z takiem utęsknieniem — naprożno. Jak i dziś — Potrzebno im to było mówić, że mi wyniosą jarzynę, kie nie mieli chęci? Mogliby ino jedno: „Paś, nie puszczaj na zboże, bo to twoja psia powinność, łyczku!" — i nic więcej... Ale oni mi powiadają: „Paś-że, paś! A jak dobrze będziesz pasł, nie puścisz na zboże, to ci tam ktoś wyniesie jarzynę..." Dyć dobrze pasę, bo ani kłoseczka nie urwała owca bez całe calutenki odwieczerz... A jarzyny nima i nima... Nikt nie wyniesie... ani pies!

Goryczą kroplami padała na serce i tak jej dużo spłynęło, że aż [illegible].

— Cygaństwo świata! — myślał — i nic więcej... Naobiecują, nachlebiają, ~~a potem a ty człek~~ a potem — nic...

Ale cóż złość poradzi przeciwko niemocy? Poczuł to sam, gdy puścił się za owcą siwą, chcąc ją dogonić i ukarać za to, że na zboże poszła, kiedy on dumał.

— Ja cię te pracie raz... cygańskie ścierwo...

Biegł, co miał sił, ale owca jeszcze prędzej. Nie mógł jej dogonić — ustał i padł na trawnik i ~~począł dyszeć ciężko... Ale to nic!~~ ~~Najgorzej~~ i począł ciężko dyszeć... Daremna złość! Nic nie poradzi przeciwko niemocy... Uczuł to sam.

Owce się rozbuchały; ta przodownica siwa pobuntowała insze tak, że poczęły gonić po ugorach, jakby djabeł ~~do każdej~~ w każdą wstąpił i opętał ją.

Nie czuł już w sobie siły zganiać je w dolinę. Złość go osłabiła do reszty. Wodził tylko za niemi oczyma, leżąc, by widział, jak się zbierają ze ziemi, kamy którędy poszła ~~zboże~~, by następnie widziały, że on patrzy na nie i nie ważyły się obce tego na cudze szkody iść...

I widział, jak się [illegible] mowały na chusty i podzielone gromadkami ~~roz~~ ~~po~~ rozchodziły się ~~wśród jałowców~~ i traciły między jałowcami.
[illegible] czerwone koło wierzchu ~~zgo~~ zgasiły. Cień ~~już doszedł~~ się posunął do za... lego szczytu, potem się oparł ~~na~~ na niebie i zniknął...
— Słonko już pewnie zaszło... Trza by gnać...

Ale w nim, gdy tak leżał, zastało się wszystko. To, że musiałby się podźwignąć, już mu sprawiało ból...
— Niech ta! — pomyślał — niech zaszło!.. Ja tyle czasy czekał, zanim zajdzie. Musiało przecie zajść... Teraz już daremno! czekać nima co... Jurgny nikt nie wyniesie... Ktoby po nocy niósł?

~~Nadzieja zaniknie~~ Ostatnia już nadzieja mrokiem się rozwiała — i wszystko naraz w oczach pociemniało.
— Amen i koniec...

Podniósł się na ręku, ale nie powstał, jeno siadł. Przysunął się do jałowca, nogi skurczył, palce porośnie zaplótł i oparł brodę na kolanach.
— Niech się, co chce, dzieje — nie pudę... Nie ruszę się i co mi kto zrobi? Na despet nie pójdę do chałupy. Niech się frasują. Niech się łza boją, że mi owce zajśmi, abo je wilk prozjadał... Niech się ta boją.

Zgaunał myśli oporne i zaciął się w sercu swojem, — a żal go zwolna ogarniał całego, coraz to cięższy żal... Opór, zalany łzami, gęsto podnosiło się łkanie głośne i tonęło mu serce oskarżeniem, żałośnie na cały ~~świat~~ boży świat...
— Nie wynieśli jurgny! nie wynieśli!..

I nie wyniesą. Wiedział o tem, że już ~~nie tą~~ nie wyniesą.

Począł go coś dławić w gardle, cały potok słonej, ~~nie~~ gryzącej ~~[illegible]~~ serce goryczy parmił się i podnosił ~~oczy~~ do ócz, aż naraz przeprzał się i ~~[illegible]~~ trysnął w górę jak to źródło na ~~[illegible]~~ w skale bijące w górę białą strugą, która się rozpryskuje w krople i spadając wciąż i nieustannie spadający deszcz... Ni mógł nijakim światem ustanowić łez. ~~Wytryskiwały~~ Sączyły się ~~białe~~ ~~[illegible]~~ kroplę — jedna za drugą — i coraz prędzej, coraz szybciej, aż zaczęły się doganiać wzajemnie i ciurkiem lecieć, ~~[illegible]~~ białą nitką ~~[illegible]~~ prościutko na ~~[illegible]~~ ziemię...

I długo, długo w tej pustaci nie słychać było nic, jeno oddali przychodzące turlikanie owiec i płacz serdeczny ich pasterza ~~[illegible]~~ odchodzący w dal...

A mrok już z dołu wyszedł, z potoka, gdzie spał przez cały dzień w świerkowym cieniu — wyciągnął ~~swoje~~ długie łapy kudłate i czarne i, pnąc się jęcząc, zaczął się ciągnąć po ~~[illegible]~~ uboczy stromej przez rdzawy, szarzejący wierzch...

Nastała cisza. Płacz, zmordowany, ucichnął doznaku... Owce się potraciły, dzwonków już nie słychać. Nie słychać nic. Daleko tylko, kędyś po za lasem śpiewają echa, coś przedziwnie gra...

Jakieś znajome dolatują głosy... Skąd one przyszły i skąd on je zna? ~~Skąd one przyszły i skąd on je zna~~ ~~Pamięta dobrze~~...
Pamięta dobrze...

„Husiaj mi się, hutiaj —"

To samo kiedyś śpiewował mu ktoś... Czyby nie matka? Któż wie, może ona... Pewnie, że ona... śpiewowała ~~mu~~ — pamięta dobrze... ~~Ale to~~,

6. ale to już tak dawno, tak strasznie dawno!..

Wtedy jeszcze nie starył i nie pasł... Tak, pasł dwie owce... ale ino dwie... strasznie były potulne... Chodziły za nim, jak dwa psy... dawał im z ręki sól... pamięta dobrze.. Co się z nimi stało? to już nie wie... Musiał je pewnie wilk porwać, czy co... ale to już wilków nima... może wtedy były? Przypominał sobie, ale nie zbaczył, żeby widział jakiego, choć niczem na odwieczerz wyganiał za górę, kaj chałupy nie było, ani żywej duszy, ino jeden las i jałowce, ino jeden las... Nie cnęło mu się jednak nigdy, bo miał kto o nim pamiętać na świecie... A teraz... mocny Boże! nikogo nima... nikogusieńko na całym świecie! Sam jeden i Stróż Anioł, co mu owce nawraca...

Pocnęło mu się śnić... Pasł owce po ugorach pomiędzy jałowcami bez całuteńkich odwieczerz... Obiecali mu juhynę, obiecali na pewno, jak będzie dobrze pasł... Nie puszczał je na zboże, ani razu nie puścił, pilnował bardzo i czekał i pasł... Śródwieczerz przeszedł – juhyny nie widać... Obiecali na pewno, jak będzie dobrze pasł... Czekał i czekał, wychodził mu wyniosą – a tu nie widać i nie i nie... Słoneczko zaszło, cień poza wierchem się schował – robi się wieczór i wieczór i zmrok.... A tu się owce potraciły pomiędzy jałowcami, poszły daleko, ani ich nie słychać... Nie słychać nic... A juhyny nie wynieśli – nikt nie wyniósł... Kto wie, kaj owce? Czy na zbożu nie poszły?.. Aniele Stróżu mój! – począł się modlić... ale wnet urwał, zbaczył sobie, bo pamiętał o tem i we śnie, że mu juhyny nie wynieśli... Niechta! Niech idą, kaj chcą.. niech idą!... Cóż to? z potoka jakieś dzwonki słychać... Patrzy... wychodzą jedna za drugą... siwe i czarne i białe jagnięta... cały ich kierdel!... musiał je kto zająć ze zboża, ale nie... prosiuteńko idą ubocza do góry... prosto ku niemu... Ktoby je tu gnał?.. Patrzy i widzi i oczom nie wierzy... Sam Stróż Anioł je żenie...

– O Ty mój Aniele! Jaki on biały... jaki on strasznie dobry przecie... Jak mu się tam chciało iść po nie?.. I pozganiał wszystkie ściółki i żenie do góry... Może nawet i juhynę niesie... kto wie... jak taki dobry!... Jak po obiedzie wyjrzał z nieba, to jeszcze sam nie zjadł... może mu co ostało... on tak mało je... ciekawym, co oni tam jadają w tym niebie?.. pewnie, że lepsze niźli my... muszą mieć biały, bieluśki chleb... dosmaku taki, jak śnieg... Powie, li żenie już jest niedaleko!.. już wiem, co mi powie... Powie mi tak: „Kaśi juhynę, boś tak długo czekał... Niech ci się nie cnie... weź i jedz..."

Nagle sen przerwał mu ze strachem, że go coś porwało za włosy. Ktoś nad uchem wrzasnął:

– Tuś mi! psia krew sobacza...

I ... znów juhyny, o jakiej nie śnił...

Tryum: Teatr lud.
Druh-
Sumienie
prawda
Gio... [illegible]
Tygodn.
Złoty
Słowo

Tydzień: Słońce ...
„Spisze Kratery"...
„Sam"...
„Świt"...

Stef: Kamienny Krzyż
Juryna

Listy: Mama
Fraulein
W. Wyj. Tow.
Jachowski

c.d. Idę bez wyjątku...
pejzaż – Tło szare
Zdaje się, że to zgon życia...
a lawa której w ziemi...

a) naśladując ~~chło~~ wrocni chód...
b) ci ostatni – zawsze
c) którzy mataczą coś (~~vulta~~) zarówno
~~Nadzorowani~~ ~~chustami~~ romansują nawet serdecznie
d) ...pary-szczęście szare fantasyjki
e) śmierci... c.d.

a po ziemi ciężko wcale jakieś czary –

przez
władze:
poparcie!

Z tego padołu.
I. Starość
II. Dziewiczy las.
III. Płacz...

Tematy: „Praeludium" (przez Szopena)
„Bajka" (to było raz, kiedy jeszcze Bóg nie stworzył człowieka...)
„Pomyśl"

$\frac{7}{3}$

uwaga: przyp.:

przyp.: a) zapytanie zawsze, na jesień (Rostoki) (~~Rewolu~~) (~~[illegible]~~)

„Ale nie mowa ni czułem tłumu
„Żywot każdego po wolności... a życie wszystkich – jeden ~~[illegible]~~ zgonem

167 / 42 / 209 / 210 str.:

2 wrom
2 Tydzień
13 Juryna
2 wrom
2 Tydzień
7 Praeludium
2 wrom
2 Tydzień
2 pomocnika
2 wrom
2 Tydzień
5 Jesień
42. 3

13 / 2 / 2 / 2 / 2 / 2 / 23. + 9. / 32. Poś 39+

10

167 / 32 / 149

1 arkusz. 9.

2 / 13. / 2 / 2 / 19 / 20 – 12 | 13 |

167 / 32 / 199 + 1 / 200 str.

Juryna.

Usiadł, skulony, przy jałowcu. Słonko za górę się już skryło, nie widzi go. Ale niezupełnie jeszcze dorzeka, bo na[illegible] którędy stronę od góry pada cień.

~~Z czego padło…~~

Przekleństwo. ~~Po ugorach.~~ ~~Potomstwo Kaina.~~

Mijają dnie za dniami – jednakie, szare, monotonne…

Ludzie chodzą tu i tam, jak owce po ugorach, kiedy padnie rok suchy, trawa nie wrośnie i nic się nie zieleni po kamienistym tłoku, nawet osty poschłe, pokruszone od wiatru, nawet osty… Jedyną ~~[illegible]~~ mają rosnące rzadko z trujący mlecz. Tych owce nie jadają.

Tak ludzie chodzą, jak te owce, szukając paszy po tej ziemi…

Spotykając się, gwarzą, potem znów idą dalej z oczyma utkwionemi w ziemię, szukając, czego by nie znaleźć…

– Byliście tam? I jakże? – pytają się wzajem.

– To, co i tu…

– Nima nic?

– Wszędy pustka i pustka i pełno ludzi wszędy…

Przechodzą obok siebie, cicho, obojętnie. Nawet głów nie podnoszą, rozmawiając z sobą. I mijają się gromadami, jedni drugich przechodzą, a kto mocniejszy – idzie przodem, wyprzedzając innych. Wielu ma nogi spięte, podobnie jak te owce, którym się nogi spina, żeby nie latały. Chodzą drobno i ociężale, krwawiąc je. Czasem zapominają, że są spięci i czynią ruchy, jakby mieli iść szerokim krokiem. Wtedy się plączą i, padając, uderzają czołem o kamienie ostre po drodze.

A czasem, chcąc dogonić idących na przedzie, a mimo spętania, okrwawionych stóp, poczynają rozpoczynają skoki jak te wrony, z zagona na zagon. Czyściejszy jednak, potykają się o nierówność ziemi, padają i muszą, pozadyszani, spoczywać na miedzy; tymczasem inni przechodzą ich. Nawet ostatni dziad o jednej nodze równa się z nimi. Potem już, nauczeni, godzą się z swym losem, drobią, jak Bóg przykazał, drobią wciąż za innymi udeptanym śladem… Przywykli.

Idący na ostatku, zchorzali i starzy, dyszą piersiami ciężko, jak miechem kowalskim, stają co chwilę na mały wypoczynek, łapią wargami powietrze, dziwnie tak, jak pstrągi, gdy woda na przykopie wyschnie – i wloką się znów za innymi, bez ustanku, wiecznie, zbierając to po ziemi, co pierwsi odejdą.

A w oczach wszystkich ostających w tyle tli się powoli ogień nienawiści; wiatr węgle rozdmuchuje, poczynają świecić… złowrogie światła padają na ich twarze i krwawi je podobnie, jak odblask słońca po zachodzie, gdy padnie na rolę i wilgotne, szare skiby czerwienią się. Tajona zawiść wszystkich żarzy się i płomieni, a zawiść, porosła w szałości bezradnej, zawiść gromadna o paszę, o wodę, których wypiły gromady, prowadzące w tej szarej życia smutnego podróży.

Ktoś odkrył źródło życiodajne. Zanim zeń woda trysła bystrugą – już się zgromadziła wielka mnogość ludzi, którzy zapachnęli onego odkrywcę, depcąc po jego ciele – dokoła źródła uczyniła się liczba gęsta spragnionych napoju.

Nagle ktoś z nadchodzących później, widząc [illegible]

odważnie zawołał: „Ludzie! To źródło trujące!"
~~Wszystkich ogarnął~~ A gdy się ocknęli, już wtedy [illegible] go było daleko.

Przestrach ogarnął najbliżej stojących, cofnęli się — i zamieszanie wielkie powstało w całym tłumie, podobne, jak w mrowisku ruchliwym, ~~kiedy się rzuci [illegible] gdy jakiś spadnie z niemocy~~ gdy się gałązkę rzuci między mrówki, a one poczną odchodzić od wszystkich, ~~biegając, przerażone,~~ jakby już nastał dla nich ostateczny dzień.

I jak mrówczyce, które, gdy się opamiętają, znoszą ściółkę jałowca, ziemię i cetynę i dorzucają na spadłą gałązkę, ~~aż się~~ aby ją przykryć — tak ludzie, z przerażenia wyszedłszy i lęku, biorą garściami darnie, żwir i piasek i gorączkowo ciskają w to źródło, aż się zakryje doznaku, a woda wróci do ziemi.

Mała tylko różnica dwóch podobnych czynów. Oto mrówki ~~[illegible] ze~~ obróciły szkodę ~~przypadkową~~ na ~~[illegible]~~ ~~trwały~~ pożytek, czyniąc z drobnej gałązki podwalinę ~~[illegible]~~ ~~nowej~~ budowy ~~wyższych~~ górnych piętr — a ludzie tryskające na pustyni źródło, które im duch odkrywczy wydobył ~~ze skały~~ z pod skały, ~~[illegible]~~ wieczny zdrój życia obrócili w nic...

I to sprawił jeden bezmyślny okrzyk.

Potem wierząc, że zabili truciznę, ~~przeszli się wielce~~ radując się wielce między sobą, zapominając ~~na chwilę~~ o głodzie swoim i o pragnieniu. A odchodząc, przeżegnali krzyżem świętym zarażone miejsce i dziękowali z uwielbieniem sercem swojemu Bogu, że ich wybawił od niechybnej śmierci i od zatracenia wiecznego... ~~Amen.~~

\#

~~Idą bez wypoczynku~~ I dalej, dalej po tej ziemi bez wypoczynku idą ++, w zmierzchu sennym, jak te owce, błąkające się po stoku jesienią.

Dokoła szarość i posucha, zieloność wszelka zniknęła ~~na tej ziemi~~ jak przed zimą, kiedy się wszystko w utajone życia uśpienia.

Ołowiane niebo ciąży i przygniata dusznością parną ~~na ziemi~~, w chmurach opadających więzi promienie słoneczne, by nie dobiegły ziemi gorącymi pocałunkami ~~nie zapał~~ nie obudziły ~~[illegible]~~ ~~[illegible]~~ ~~na nowe, pod~~ ~~nowe życie~~ na nowe odrodzenie.

Posępność biała ~~[illegible]~~ siada na omszałych kamieniach, (owa zagadka za nią, w której się miota,) ~~zmartwienia życia poza~~ śmiercią, bezkrwistego życia umarłych cieni.

Pustka i pustka — pośród niej gromady rozpierzchłe, ~~[illegible]~~ ~~biegną w piasku, grzęzną w piasku~~ straconych dusz, poszukujące wszędzie paszy dla mizernych ciał. A gdy ją najdą, powstaje walka ~~zajadła A gdy~~ między niemi i dopóty trwa, dopóki ~~jedna nie~~ słabsi nie ustąpią, ~~z pola~~ lub się, ~~[illegible]~~ nie walczący srodze i zajadle, nie wytracą wzajemnie.

Każdy jednak ~~[illegible]~~ zrywa ład powszechnego pokoju, tem głośniej ~~i gorzej~~ im więcej ~~[illegible]~~ pozabijał ~~[illegible]~~ ludzi, którzy zwali ~~[illegible]~~ kiedyś (~~nazywali~~ ongi jeszcze) się jego braćmi. Na grobie jednych ~~[illegible]~~ pożywiają się drudzy i, modląc się za umarłych, ~~spokojni w sercach swoich~~ cieszą się życiem. Spokojni w sercach swoich, boć widzą łąki zielone.

A bywa również ~~na ugorach~~, pomiędzy owcami ~~między stadem owiec~~, że niektóre, zamyślone w zielonej trawie, idąc po ugorach, zajdą bezwiednie aż nad potok, nad samo urwisko... ~~wówczas lęk je~~ Stają nagle na czterech nogach — poziezają w dół — a trwoga je ogarnia i lęk, taki straszny, że nie mają siły cofnąć się... Patrzą w przepaść szeroko otwartemi oczami, a ~~skóra na~~ wełna się im trzęsie, bo skóra cała drży... ~~Otchłań czarna przed ni~~ Ta otchłań czarna, przepaść bez dna i granic, otwarta, moc ma nad niemi... rzekłby kto i urok śmierci... coś ich tam porywa, coś okropnego — czarny smok!.. Odchodzą i wracają naraz, a w łbie im się mąci, jakby im z pod nóg uciekała ziemia, ~~jakby się walił cały świat~~... Nie poznają ugorów, po których się pasały przez tyle wiosen, nie poznają nawet swoich owiec — odmienił im się cały świat... ~~Dlatego~~ I to jedynie temu, że raz stanęły nad urwiskiem — raz jeno spojrzały w przepaść... bez dna...

Tak bywa niekiedy pomiędzy owcami — bywa i między ludźmi, ale rzadziej, ~~daleko rzadziej~~... [Mało jest takich ludzi, którzyby śmierci mogli zajrzeć w oczy, nie ulęknąć się jej i nie dać się porwać. Mało ludzi, którzyby, stanąwszy nagle nad urwiskiem, ~~rzucili oki~~ spojrzeli okiem aż do dna, (chociażby otchłań ta bezdenną była) a potem ~~powrócili~~ z dumą ludzi ~~spokojnych~~, którzy widzieli śmierć, [illegible] mistrzami życia.

Daleko więcej bywa ślepych pośród tych gromad, idących za paszą, którzy, z utkwionym wzrokiem w ziemię, ~~chodzą nad urwiskiem~~ ponad przepaścią i nie widzą jej...

Aż ziemia poczyna im usuwać z pod nóg — wtedy czują, że coś się dzieje, ale nie wiedzą jeszcze, co... Dopiero nakławny i lecących bryt otwiera im przerażeniem oczy ślepe, ale już zapóźno!.. Pod nimi otchłań — nic ich nie zatrzyma — nic ich nie zbawi... Nic...

Oto, jak marnie giną te gromady, które stają nad urwiskiem ślepe... (Ufajmy Bogu!)

Czas wlecze się — a ludzie idą bezustannie, więcej...

~~Mijają jedni drugich, przed~~ mijają się wzajem, cicho, obojętnie, jakby się nie widzieli i nie znali się. Serdeczność i czucie, litość i żal i cały słownik anielskich ~~słów~~ jest im znany, ale go nie rozumieją. Inne mają u nich znaczenie te wyrazy, któremi kiedyś przemawiały matki, żony i kochanki, bracia i przyjaciele. Miłość — tą nazywają obowiązkiem. I najczęściej miewają go na ustach.

Żenią się jednak, albowiem tak im łatwiej zrzucać pożywienia, i nie tak się czuje jak samemu, chodzić po tej ziemi. Jedno za drugiem nosi tobołki podróżne, klnąc przytem na los, który ich związał przysięgą na całe życie, aż do śmierci...

W tej szarej wędrówce pustynnej zdarzają się dobre wypadki, które już spowszedniały i nie wzruszają nikogo. ~~Czas taki drogi~~, a życie krótkie...

— Ktoś umarł...

— Ktoś umarł nagłą śmiercią...

— Musiało mu ~~się przykrzyć~~ i poderżnął się...

— za to komuś urodziło się trojaczków...

— Urodziło się za to naraz troje dzieci...

Urodził się więcej na swoje nieszczęście, na biedę wieczną i na wieczny ból.

Śmiechów nie słychać, jeno gwar cichy, nieustanny, jak bulkotanie drobnej rzeczki, szemrzącej po ~~kamieniach~~ po piasku.

Jak owce po ugorach, wśród pustki nieskończonej, ~~idą~~ chodzą ~~gromady potracone~~, kiedy rok suchy, nieurodzaj, trawa nie urośnie, tylko jedyna macierzanka i łyszczy mlecz, – chodzą gromady potracone, mijają się, krążą, rozchodzą obok siebie cicho, obojętnie i znów dalej, a w koło, bez ustanku, wciąż...

Tak ludzie chodzą, jak te owce, szukając paszy po tej ziemi –

Mijają dni ~~[illegible]~~ – jednakie, szare, monotonne...

~~Stanęli [illegible]~~ i stają u nowego stulecia...

Czy nie staczamy nad urwiskiem?

*

Zawiedźmy taniec! wartko! w skok!
Niech ziemia się rozdudni –
Rozbity piersią padnie mrok
I noc się wyludni...

Zawiedźmy taniec!

Po omacku
I
II

To sen – to wieczny sen...
Świt na wierzchołki wypełzł gór –
Lecz nad urwiskiem, hen
Na rozgorzałej, wrzątkiej perzy
Usiadł ponury anioł śmierci
I krew strzepuje z czarnych piór...

Jaśna pokusa.

Ociemni- rzędy!

Po omacku.

63

Noc.
Straszna, cicha noc.
~~Noc. Ciemności wielka dokoła~~. Czarne, ołowiane chmury zawisają się nad ziemią, ~~wielki~~ a w każdej drzemie sto piorunów, które we mgłę owinięty śmierć — nie śpią — czekają — przyczaiły się, jak węże i łagodnie drzemią...

Ubitym szlakiem ~~szerokim~~ dąży tłum — nieprzejrzana mnogość ludu — szerokim idzie gościńcem. Na lewo dół — na prawo pola niezmierne — a przed oczyma ciemność i drogi nie widać: kędy się skręca, w ~~jaką~~ którą stronę, dosięga [?] widzie horyzontów...

Idący na przedzie czynią wrażenie ludzi, którzy stoją na rozdrożu pomiędzy życiem, a śmiercią. ~~są oni czołem narodu~~ Konieczność wysunęła ich naprzód, jedynie ta konieczność, że przedzie zawsze ktoś (wysunie) iść musi na przedzie, jeżeli tłum nie dąży rozwiniętym, jednym szeregiem. Los przypadkowy uczynił ich czołem — a na ~~tym~~ czole strach ~~osiadł~~ blady wystąpił i owinął ~~białością~~ ~~obielił~~ je,... ~~wieczna obawa przed niezmiernem jutrem trupią~~ Stali się ~~oni~~ mimowoli trupią czaszką narodu.

Za nimi nieprzejrzana mnogość ludu, płynąca ciżbą, zdaje się nie myśleć ~~o celu~~ o drodze swej, pozostawiając w dowód zaufania i wspaniałomyślności ~~swej~~ ten słodki ciężar idącym na przedzie, ~~za~~ który oni składają im drżącym sercem od strachu drżącem i uśmiechem kojącym z nadmiaru władzy.

Zwolna, ostrożnie posuwa się ten pochód żywych po szerokim szlaku. Szeregi ~~[illegible]~~ przodujące ~~[illegible]~~ zimny dreszcz przechodzi, ilekroć czują spadek pod stopami, ilekroć ziemia poczyna się chwiać. Wpatrzone wzrokiem przebijają mgłę, — źrenice same rosną w tej ciemności — a droga na jeden krok z przed ocz traci się i ginie — i roztapia się w nieskończoności nocy...

Zrozpaczeni, poczynają wątpić, że ~~kiedyś~~ istnieje dzień, ~~że istnieje na niebie słońce, gwiazdy i księżyc i ta noc~~ a poczynają wierzyć, że słońce ~~się~~ wypaliło się do cna i zgasło, że księżyc, gwiazdy i wszelka światłość zaginęła — ~~a~~ została jeno niezwyciężona ciemność i wiecznie, wiecznie, wiecznie będzie trwać ~~bez końca~~! Bogowie jaśni pomarli, zwyciężeni przez bogów ciemności. Którzy utwierdzili panowanie swoje, ~~niszcząc [illegible]~~ niszcząc pamięć o wiekuistym świetle... A na początku była noc... Piekło wyżgało — Pozostały sadze... Aniołowie służą ~~bogom~~ odtąd bogom ciemności...

A są wszędy wśród nich i tacy, którzy (zaprzepaszczony) [illegible] w noc, nie zapomnieli i dawnej ~~[illegible]~~ wiary swej — w promienne słońce... Ci wyczekują z utęsknieniem świtu...

Lecz niema ani jednego ~~człowieka~~ z pośród nieprzeliczonych rzesz, któryby wzrokiem przeleciał ciemności ~~[illegible]~~ rozdarł ją i uczynił oknem otwartym na ~~[illegible]~~ niezmierne pola występujące krajobrazu z dumnionem oku — któryby choćby światłem meteoru ~~oświetlił drogę~~ zakreślił jasny łuk — oświetlił drogę — i pod ~~na~~ stopami, ~~[illegible]~~ wypalony, zgasł:

Nie ma człowieka z pośród idących rzesz
~~Czekajmy cierpliwie [illegible]~~
~~Wlemy się — stwórzmy noc — i czekajmy świtu!~~

Czarne, ołowiane chmury zawisają się nad ziemią, a w każdej drzemie........

Jasna polana.

Bór.

Ponury, cichy bór... Odwieczne jodle, ~~...~~ ~~skamieniałe~~, ~~...~~ świerki po sto metrów, olbrzymie dęby ~~...~~ sturoczniane, ludziom stare drzewa – w cichości wielkiej kołyszą się wolno... A po wierzchołkach wiatr śpiewa i gra melodyę wieczną, dziwnie smutną o zaginionych dawnych światach, o gwiazdach promienistych, ~~...~~ co ~~...~~ w lód...

Do boru tego, do dziewiczych lasów, przyszli ~~z daleka~~ wędrowcy z nieznanej krainy, niosąc na ramionach swych topory ciężkie i jęli ścinać i obalać drzewa ~~...~~ przyszli bowiem na ziemię tę, aby ją posiąść i uczynić karmicielką swą po wieczne czasy.

Walą się z jękiem świerki, padają z trzaskiem ~~jodle~~ stare jodle, drzewa ~~...~~ drzewka, którą wicher poniósł. ~~...~~ Huk piorunowy leci po gąszczach, gdy odwieczne dęby giną – jęczy ~~olbrzymi las~~ ponuro las...

A ludzie tną... dniem i nocą bez przerwy ~~bez pardonu~~ i bez litości tną.. Dziwna upartość w tych małych stworzeniach, zaciętość wielka.. na życie i śmierć!

Widząc opór niezwykły kamiennych drzew – zacinają się coraz bardziej.. ~~...~~ serca ich stają się, jako stal toporów, którymi na ostrzu mają śmierć

A ~~gorączka zelazna rozpalonych serc gdy~~ skoro już przecięli spory kawał lasu i stracili z oczu owo miejsce, skąd zaczęli ciąć, wnet gorączka żelazna ich gorących serc poczęła z nich ~~...~~ rozniecać ~~nowe~~ iskry ~~...~~ dziwnych pragnień, jakie powstają we śnie.

Zapomnieli o celu, w jakim tu stanęli, – gdyż go zabiły inne, urodzone w snach promiennego serca i snach bojem niezwykłym wzniosłego umysłu.

Uwierzyli w to, że ziemię tę posiedli i że ona sama ~~...~~ stanie się im karmicielką z wdzięczności, iż ją uwolnili od ciężaru drzew, jaki przez wieki całe przygniatał jej piersi – uwierzyli w to – i poczęli mówić pomiędzy sobą: ~~...~~ Szukajmy polany słonecznej, która daje szczęście ~~...~~ spoczynek wieczny... Polana owa jest przed nami w lesie... Idźmy i szukajmy, a znajdziemy ją...

I poczęli się zapewniać wzajemnie, że wiedzą o niej od swych ojców, którzy ~~...~~ sprawiedliwymi przed Panem, a Bóg sam rozpowiedział o niej szeroko ~~...~~ praojcom ich, gdy ich ~~...~~ posyłał na tę ziemię.

– Idźmy! a odnajdziemy...

Niektórzy jednak mieli serca nieufne do tej przepowiedni dziwnej. Ci poczęli radzić w ten ~~...~~ sposób:

– Trzebmy ten las nieustannie, skoro my zaczęli, a polana sama ~~...~~ jeśli jest, wydobędzie się z niego... Ustaną nasze siły i pomrzemy, to dzieci nasze ~~...~~ podejmą topory na nowo i ~~...~~ odnajdą... Nie one, to zaś wnuki, albo i prawnuki...

Ale wskroś będą tych, którzy zaś pragnęli widzieć szczęście swojemi oczyma i ~~...~~ ich przemogła. Porzucili

topory i poszli. ~~Niedużą garstkę pozostałych opadła z sił~~. Pozostała jeno nieduża garstka.

I dzięki bojaźni owładnęła na samym ~~do~~ wstępie wiecznością. Bo las ten wiecznością im się zdawał. Lecz nie ulękli się i poszli.

A idąc, pomagali sobie ~~wzajemnie~~ śpiewaniem i donośnymi okrzykami dawali znać o sobie towarzyszom. ~~Wiele~~ Uszli już ~~wielką~~ mnogą przestrzeń, gdy noc zapadła. Ognisk nie zapalali, ~~bojąc~~ lękając się pożaru. A że gorączka ich trawiła coraz to większa — ~~nie spoczywali~~ ~~ale nocami~~ więc nie chcieli spoczywać, póki nie ~~st~~ zejdą. Wtedy spoczynek sam wyda im się szczęściem gdyby się w wierze swojej oszukali. Dlatego szli i nocą, ~~obnażali~~ potykając się o gałęzie, strącone przez burzę. ~~Na domysł szli.~~ Kierowali się gwiazdami i ~~na~~ domysł szli. ~~W~~ W dzień spotykali rzeczy różne, prawie im nieznane. Nie zważali jednak mnogi na nie, obawiając się straty czasu. ~~Im dalej~~ Im dalej szli w ten ~~za~~ gęsty, nieprzebyty bór, tem więcej ~~tylko~~ ~~paliła gorączka~~ w sercach budziło się pragnień ~~i coraz to więcej~~ x a wszystkie ku jednemu skierowane światu, ku tej polanie jasnej, która im da wypoczynek i odetchnienie. Lecz ~~pragnienia~~ w tem z trudnym pochodzie ~~niezliczonym~~ malała ich wiara. ~~I polana owa ta~~ Polana jasna, ~~do~~ której wybiegały im serca z utęsknieniem, zdawała się oddalać i ~~cofać~~ jakby cofać przed nimi. ~~Z trwogi szeptali~~ Cicha trwoga szeptała im bez przerwy, ~~że jej nie dojdą,~~ słowa pełne niepokoju, które im osłabiały wiarę zachwianą w życie swoje i w moc niespokojnego życia. A życie ich złączyło się w jedno z celem, z polaną jasną... Z niepokoju i trwogi urodził się strach. ~~I już im w oczach~~ I poczęły im majaczyć widma ponure, przesuwające się gęstwią ciemną przed ich oczyma. Kształty przeróżne drzew stawały im, jako straszydła, tamujące drogę. ~~Niektórzy poczęli rzec~~ Zwątpienie coraz większe osłabiało im znużone siły. (czyli że słabną) Niektórzy poczęli szemrać, mówiąc, że dalej nie pójdą. ~~Bo lecz śmielsi i~~ i miotali przekleństwa na tych, którzy ich wywiedli... Powróciliby z ~~ochotą~~ do pierwotnego życia i cichej beztroski — ~~lecz że zagubili drogę poza sobą~~ x zagubili drogę powrotu, bo nie czynili żadnych znaków na korze ~~drzew~~ mijanych drzew.

Nie wiedzieli ~~iż~~, jak długo idą — ~~choć już~~ lecz, że do śmierci ~~pójdą~~ muszą iść, o tem już nie wątpili w sercach ~~rozpaczą~~ swoich, nękanych smutkiem i rozpaczą.

Nad nimi ~~jeszcze~~ czarne zbierają się chmury — słońce już ~~zasłoniły~~ — nie ~~padło na ziemię~~ dosięga, prześwieca przez konary i liście, nie pada na ich twarze pobladłe ~~strapione~~ — Coraz, to ciemniej... Las cały drży — dygocą drzewa zalęknione — ~~idzie zagłada piorunowa~~ z oddali ciągnie burza — zagłada idzie piorunowa... Pierwsza błyskawica daleka... podziemny huk. Śmiertelna zgroza owładnęła nimi — ~~w świetle idą cisi~~ ~~Stają w milczeniu nad wszystkiem~~ stają w milczeniu ~~jako widma ludzkie cisi i bezradni~~ jako widma ludzkie — ~~stoją je nagle~~ w świetle błyskawicy! ~~i stoją nad wszystkiem wszystko~~ czarne ~~pod stopami~~!.. A pod stopami swemi — wszystko czarne, jak otchłań — bez dna!..

* * * *

W kręgu pierwotnych siedzib — towarzysze ich opuszczeni pobudowali sobie chaty z drzewa obrobionego równo i pięknie, aby mieli dach nad głową, i ciche miejsce mocnego spoczynku.

W dzień słoneczny wychodzą z toporami do lasu i, wspominając braci swoich, obcinają grube konary z powalonych jodeł i rąbią twarde smreki w mężności swych serc.

W głębi stojące szumią dęby stare jako to było drzewiej, drzewiej — a po wierzchołkach wiatr śpiewa i gra melodyę wieczną, dziwnie smętną, o zaginionych dawno światach, o ziemiach z wody, i o z[illegible] o gwiazdach, promienistych i zaklętych w lód...

×

D[illegible] ×

Tajemnie, słodko szumi bór —
To sen, to wieczny sen!
Świtka wierzchołki wyprzód gór —
A nad wszystkiem, hen,
Na zaginionej, wysokiej perci
Usiadł ponury Anioł Śmierci
I krew otrząsa z czarnych piór...

Spis rzeczy:

II.

66

~~Z KRAINY GORCÓW~~

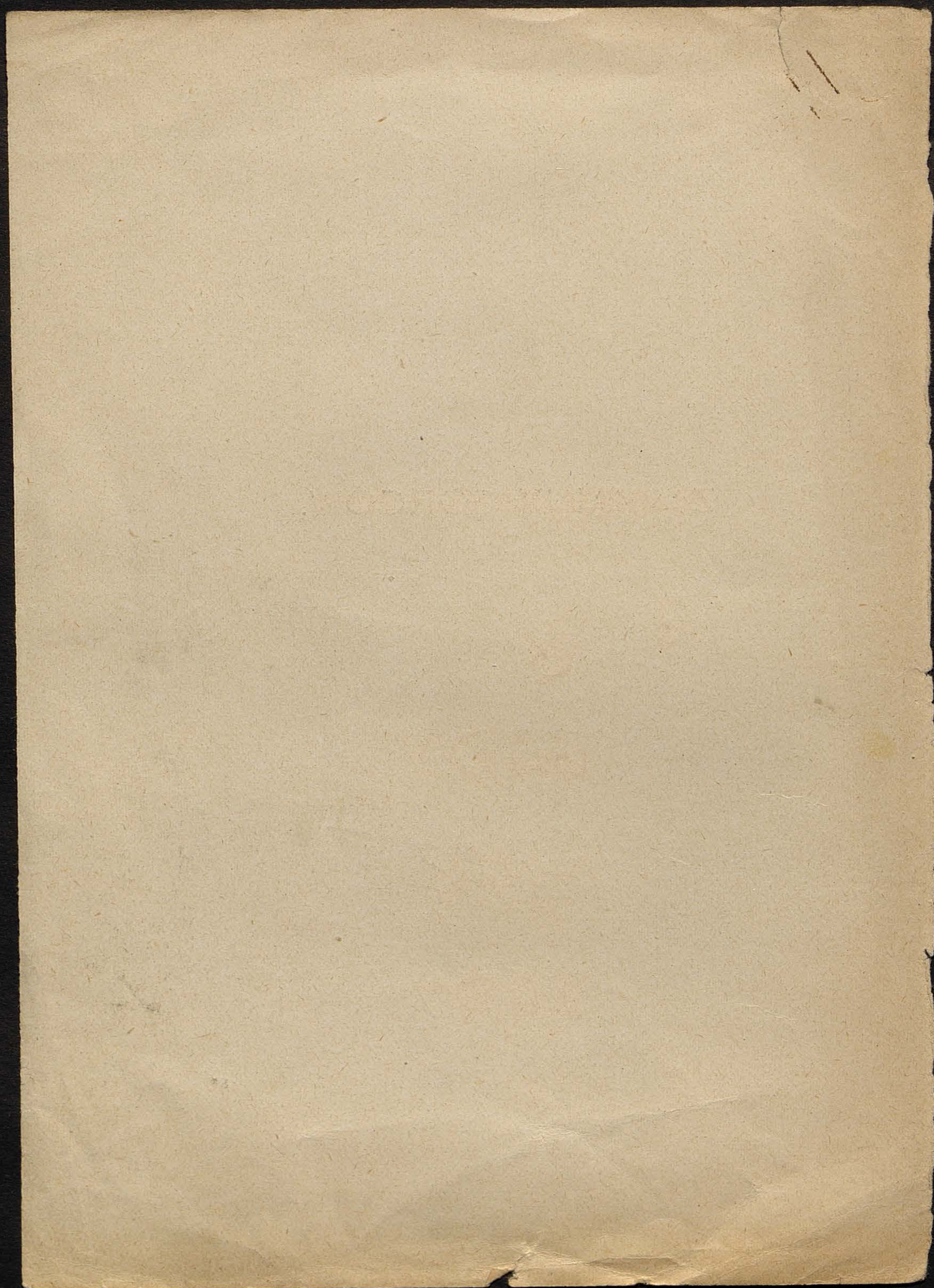
G G

GODY

Gody

GODY

8*



NA GODNIE ŚWIĘTA.

67

4

68

WILIJA.

5

6

69

W chałupie Błażeja Szczypty ~~panuje jakiś~~ przed świąteczny panuje nastrój. Wprawdzie nic się tu nie zmieniło od wczoraj; te same czarne, odymione ściany, te same sprzęty w izbie, nawet może więcej śmiecia leży na glinianej podłodze, ale widać z powszechnej „uwijacki“, z radosnego oczekiwania, malującego się na wynędzniałych twarzach dzieci, że ma nastąpić ~~jakaś~~ ważna chwila, jakieś wielkie święto... I te widoczne, zapowiednie znaki robią ten dzień niepowszednim, różnym od szarych dni całego roku. To dzień wilii Bożego Narodzenia...

Wiedzą już o tem i dzieci, bo im wczoraj matka zapowiedziała wyraźnie:

— Pamiętajcież se dobrze, żeby mi jutro żadne na karę nie zasłużyło!... Bo jak na wilię dostanie bicie, to je bez caluteńki rok to samo czeka...

A ojciec przybaczył im jeszcze dziś rano napomnienie matki, gdy wychodząc z ciupagą uciąć podłaźniczkę,[1]) popatrzał na nie z napół surowym uśmiechem i rzekł od progu:

— Nie dokazujcie, ino słuchajcie mamy, bo „na wilią — dzieci biją“...

Tereska nie potrzebowała napomnienia; miała

[1]) Podłaźnicka — choinka leśna, na której wieszają opłatki (miejskie „drzewko“).

już piętnaście lat i właśnie pomagała matusi w zarabianiu ciasta z jęczmiennej mąki, ale średni Wojtuś, a zwłaszcza najmłodszy Józuś, który w izbie robił hałas za dziesięciu — ci dwaj zbereźnicy, gdyby nie zapowiedź całorocznej kary, nie siedzieliby tak spokojnie w kącie...

— Tereś! — zwróciła się matka do dziewczyny, która z zagiętymi po łokcie rękawami ~~lnianej koszuli~~ mięszała ciasto na nieckach — umyj se ręce i zabier się do innej roboty. Ja to już sama skończę. Przynieś karpiele z piwnicy, obier je, a potem przygotuj grzyby i kapustę...

— Dyć jeszcze czas... — zauważyła Teresia, nie chcąc przerywać miłej roboty. Lubiła patrzeć, jak się jej ciasto wymykało z pod drobnych paluszków.

— Nie czas, nie, bo wieczór na ramieniu. Kież się uwarzy?... ~~A groch trza długo gotować, coby uwrzał~~...

Tereska, rada nie rada, musiała słuchać. Wyjęła leniwie ręce, opłukała w ciepłej wodzie, odwinęła rękawy i przeszła z koszykiem do piwnicy.

Matka tymczasem wymiesiła do reszty ciasto, zarobiła drożdże i ustawiła niecki na piecu.

— W cieple może się prędzej ruszy... — szepnęła do siebie i zabrała się do gniecenia bryndzy na szerokiej misce, lejąc mleko słodkie i bijąc pół kopy jaj.

Dwaj chłopcy przybliżyli się ku niej.

— Mamusiu, co to bedzie? — zapytał nieśmiało młodszy.

— Kołacze bedą...

— Dziś?... — spytał starszy.

— Dziś póst... nie wiesz o tem? Wilija...

— To nic nie będziemy jeść, bo mama powiedziała Teresi, że dopiero na wieczór ugotuje...

— Na wiliją... — oświadczyla matka.

— To dopiero wieczór wilija?... — pytał żałośnie młodszy.

— Cały dzień wilija, ale się dopiero na wieczór je...

— Na wieczór!... — szepnęli smutno obydwa i spojrzeli ku garnkom, ~~stojącym rzędem na nalepie.~~

Niezadługo wróciła Tereska i jęła się łupienia kartofli. Matka pokończyła swoje, zapaliła w piecu i szła robota po robocie, raźno, wartko... W dymnej izbie wisiało oczekiwanie rok niewidzianej wilii...

Niebawem i Błażej wrócił z podłaźnicką. Zmarzł jak sęk, bił kerpcami o ziemię i pchał się ku piecowi...

— Mróz, jak sto djabł...

— Cit!... — pogroziła mu żona — wilija dzień święty... Nie obrażaj Boga i ku piecowi się nie pchaj, boś nie piecuch!... Jeszcze mi do ciasta naprószysz. W izbie nie umarzniesz...

Błażej, zbity z tropu, ~~łypnął oczami~~, jeszcze raz kerpcem jęknął o ziemię i pognał do stajni, wrzucić wołom garść siana. O woły dbał, jak każdy chłop, który im ma co dawać.,.

— Tereska! — zbaczyła se matka — leć no za ojcem, niech zruci drobnego siana...

— Na stół! Prawda! — klasnęło w dłonie dziewczę i pobiegło za ojcem na boisko.

Matka przykładała drew do pieca. Dym walił się

na izbę i sięgał prawie do samej ziemi. Dusiła się kobiecina, raz po raz wycierała oczy fartuchem i uparcie nie odstępowała nalepy...

— Dyć się przecie musi przewalić... — powtarzała głośno.

— Mamo! szczypie! dym!... — wołał Józuś.

— To idź do izdebki... czemu tu siedzisz?...

Wojtuś pociągnął braciszka, rzucili się strzałą przez sień, drzwi tylko do izdebki zaskrzypiały... Dym pchał się otwartemi na oścież drzwiami, ale z izby nie ustępował. Wszędzie go było pełno.

— Niech bedzie pochwalony!... — rozległo się w sieni.

— Na wieki wieków!... — wypadło od nalepy. Błażejowa przetarła lepiej oczy, nachylając się, by dojrzeć, kto tam taki...

Na progu zarysowała się ciemno, jak we mgle, chuda postać.

— A, to ty, Jagnieś!... Pójdź-że dalej, ale tu dym...

— A tam mróz, sto razy gorszy od dymu... — odpowiedziała zgrzytliwie i przypadła do nóg gospodyni. — O moja gosposiczko!...

— Nie schylaj się, nie... Skądże idziesz?

— Pytajcie się, ka idę... bo sama nie wiem. U ludzi wilija — a u mnie zawdy póst...

— No, siądźno, siądź, nie narzekaj — mówiła łagodnie gospodyni. — Zostaniesz na wiliję u nas. Nie dużo nas, to się zmieścisz...

— O moja gosposiczko!... — drugi raz przypadła do nóg Błażejowej. Nie miała słów podzięki.

Ona, biedna komornica, raz będzie na „porządnej wilii", w cieple, przy pełnych miskach... Zdumiona nieoczekiwanem szczęściem, siadła nieśmiało na ławie.

— Cóż ta u ludzi słychać? — spytała po małej chwili gospodyni.

Jagnieszka nie odpowiadała, rozbierając w myśli zaprosiny, nie dowierzając jeszcze... Gospodyni powtórzyła zapytanie.

— U ludzi? u ludzi, pytacie?... Jak zwyczajnie na wilię — każdy ciągnie do chałupy i znosi, co może... Jasiek z Brzegu kupił worek mąki od żyda...

— Czy mu już brakło ziarna?

— Co mieli, to zjedli na jadwencie. Ho! nie każdy to ma swoje, nie każdy...

— No i pomyślijcie, ka ta do przednowku, a już kupują...

— La biednych cały rok przednowek.

— Dyć tak, nie inaczej... — zadumała się gospodyni, patrząc z założonemi rękami w trzaskający ogień. Myślała o przyszłości, o dzieciach swoich... „Dziś jeszcze mają... ale potem, za jakiś czas... czy się obejdą na wilię o swojem? Czy ich bieda nie zmusi kupować — i za co?"...

— Rusza się... rusza!...—wołał wesoło mały Józuś, który już wpadł z izdebki i wskazywał rozwartemi palcami na niecki. Jagnieszka podniosła się z ławy.

— Bez uroku! piekne ciasto. Będą się kołacze darzyć...

— Oh, już czas! a ja się zagadała... — karciła

się gospodyni. Zdjęła z pieca niecki i przyklaskiwała dłonią ciasto, które wypychały na boki żywe drożdże.

Błażej wszedł do izby, a za nim wbiegła Tereska, niosąc na narączku drobne siano.

— Cóż tak siedzicie? — zburczała ich gospodyni. — Tereś! Bój się Boga, to już dawno z połednia, a jeszcze ci nic nie wre... Kładź-że drewna na ogień i gotuj co tchu! Siano podścielisz na dość czasu...

Komornica schyliła się z bojaźnią do kolan gazdy, pytając nieśmiało, czy mu nie będzie markotno, że ją gaździna zatrzymała na wiliją... Chłop się rozśmiał dobrodusznie. Więc, bardzo rada, pozwijała się w kłębek i siedziała odtąd cicho w kącie, pragnąc jak najmniej miejsca zajmować...

Tereska zwinęła się koło nalepy, podnieciła ogień. Z garnków buchała para na izbę, z której już dym ustąpił drzwiami i okiennicą na górę... Matka rozklaskiwała placki, kładła na nie bryndzę i sadzała do pieca, żegnając je krzyżem, by się lepiej darzyły... Kołacze rumieniły się w piecowym warze, rosły, a dzieci miały z tego okrutną uciechę, tylko, że o mało się im bicia nie dostało, bo podłaziły matce pod łopatę, ~~na której wsadzała placki~~.

~~Błażej zaś „śwarniał się“ po izbie tu i tam. Bydłu polanie przyniósł, podłaźniczkę obcinał, ale i głód mu ściskał wnętrzności, bo często zazierał do garnków, rychło się uwarzy...~~

Mroczyło się powoli... Nadchodził wilijny wieczór. Czuć go już było w podniecowej gorączcze ocze-

kiwania, malującego się na zgłodniałych twarzach. Nie dziwota — od rana nic nie jedli, żeby na wilię módz więcej przełknąć i bardziej się ucieszyć...

Matka już powsadzała placki, zatkała piec i zajęła się przystrojeniem wieczerzy...

Cztery duże miski stały na skrzyni. Rozmaite „warzywo“ z garnków wypełniło je po brzegi.

Podczas, gdy się jedzenie chłódziło, zaścielono w izdebce stół drobnem sianem i przykryto lnianą ~~paruchą~~. białą ~~poł~~ płachtą.

Wszyscy przeszli do izdebki i poklękli na ziemi...

— „Pobłogosław, Panie, te dary“... — mówił z przejęciem Błażej, a inni powtarzali za nim...

Tylko mały Józuś nie uczuwał tego nastroju religijnego, pierwszy wygramolił się za stół na ławę i wybrał swoją łyżkę, a w czasie modlitwy zjadł dwa opłatki, rozważnie pominąwszy leżący przed sobą, bo wiedział, że ten mu i tak nie ucieknie...

Z przejęciem tej ważnej chwili obsiedli stół, a gdy gospodyni pownosiła miski i zajęła swe miejsce, poczęli się łamać opłatkiem... Łamali się naprzemian wszyscy, po dwa, po trzy razy. Dzieci chichotały głośno, komornica łzy miała w oczach; powaga chwili rysowała się w twarzy Błażeja i żony jego... Ręka mu drżała, gdy jej podawał opłatek...

— Niech Pan Bóg dobry pozwoli dożyć... doczekać drugiej wiliji w szczęściu... zgodzie — pocałował krucze włosy żony. Komornica się nażyczyć nie mogła obojgu, że ją tak przygarnęli...

Wesołość powróciła, gdy matka podała pierwszą miskę. Rzucili się zgłodniali i wyławiali drewnia-

nemi łyżkami okrągły groch w brunatnej wodzie... Potem szła kapusta z grochem i suszonemi grzybami, polewka śliwowa z ziemniakami, na ostatku karpiele ze słodkiem mlekiem...

~~Dwie miski wypróżnili z kretesem, na trzeciej zostało na dnie mało co, na ostatniej najwięcej~~...
Najedli się do syta, jak w żadnym dniu całego roku — i to była ich „wilija“...

Matka pozlewała resztę jadła bydłu na polanie.

— Przecie i ono czuje, że dziś o północy zjawi się Zbawiciel światu — mówił Błażej. — Niech zje, niech i ono ma wiliję, ~~jak się patrzy~~...

Po wieczerzy ojciec wniósł podłaźniczkę do izdebki, siadł przy stole i począł wycinać nożyczkami kółka z opłatków kolorowych. Dzieci przysunęły się ku niemu, zapatrzone, szczęśliwe, jak nigdy...

Gdy gospodyni wyjęła upieczone kołacze i wyniosła na chłód, a Tereska skończyła odbywać się z bydłem — wszyscy znaleźli się razem w ciepłej izbie, gwarząc wesoło i ubierając podłaźniczkę...

I wieczór prędko zleciał. Przed północkiem wpadł Wojtek z Doliny, zmarznięty jak kołek, nie mogąc nawet palców rozprościć, w których dzierżył zadymioną latarkę...

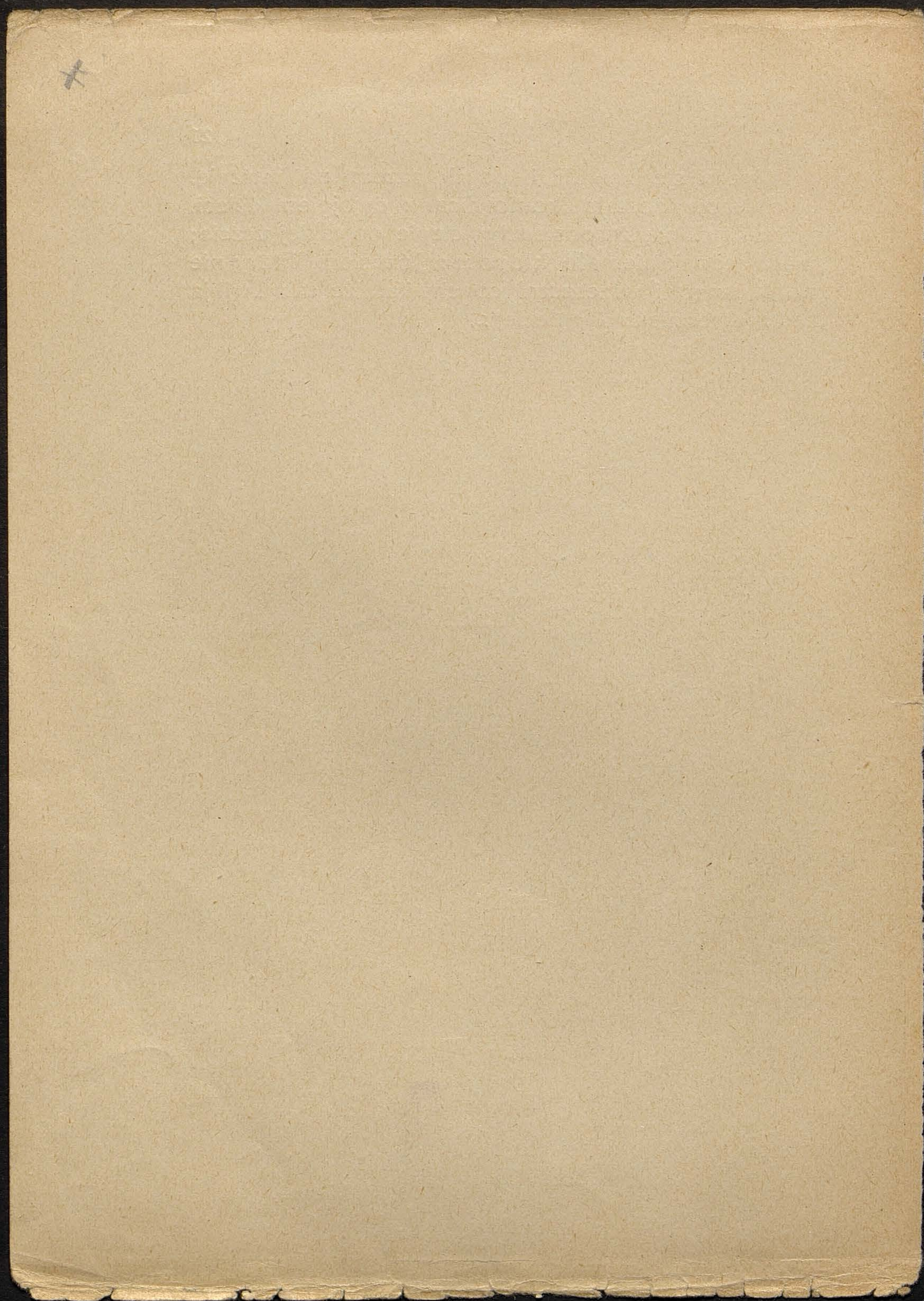
— Idziecie na jutrznię?

— Idziemy...

— To się zbierzcie.

Tańczył po izbie, by się ~~jako~~ rozgrzać, a tymczasem Błażejowa z Tereską ~~wdziewały łachy~~. Błażej się obuwał i pchał ~~ociepki~~ słomy do kerpców, bo mróz nie śpasuje...

Wnetki się zebrali i poszli razem na jutrznię. W chałupie została komornica z dwojgiem dzieci, uszczęśliwiona, że posiedzi w cieple po takiej uczcie; miała jednak niemało kłopotu z Józusiem, który nie mógł usnąć i wrzeszczał co chwila, że mu „wilija siedzi w brzusku i gniecie“.



BAZIE.

16

17

85

W kotlinie pod~~karpackiej~~ Gorcami rozlewają się promienie słoneczne jasną białością wiosennego dnia. Cała natura świeża, z pobrukanej szaty śnieżnej rozodziana, kąpie się w tych promieniach i suszy w lekkim podmuchu wietrznym, falisto płynącym od białych, zimnych szczytów.

Gdzieniegdzie w głębokich potokach widnieją szare płaty niestajanego śniegu, lecz gęściej czerwienią się na wzgórkach słonecznych świeżo zorane zagony.

Cała ziemia wygrzewa się rozkosznie do słońca, które w białej pełni płynie ponad szczytami...

W stromej uboczy skrył się w półcieniu szary wrąb, a przylaski czarne i jałowce tulą się koło niego, jak potracone stada owiec...

Doliną spływającej roztoki rozścieliła się cała wioska: Osiedla ~~1)~~ mniejsze i większe, otoczone sadami, a potracone rzadko, jak gniazda skowrończe na ugorze.

~~1) Osiedle — parę domów w kupie, związanych wspólnością pastwisk i ugorów. Nazwa „osiedla", używana na całem Podkarpaciu, pochodzi jeszcze z czasów, kiedy osiedlali się pierwotni przybysze, karczując nietknięte lasy. Około jednego domostwa, do którego należał dzisiejszy grunt całego osiedla, powstawały z czasem przez~~

18

Spokój we wsi i cisza... Tylko w naturze widać wszędzie ciekawe oczy, niby oczy chłopięcia, które po długim, ciężkim śnie budzi się nagle w nieznanej okolicy. Wszystko patrzy... Każda trawka wychyli się ku tobie ciekawem spojrzeniem... Gdzie zajdziesz — wszędy jesteś na jasnym widoku rozbudzonej natury... Gdzie spojrzysz — oczy... same oczy.

Chwilami zda się, że zleniwiała natura przeciera je po długiem spaniu zimowem i napowrót chce się do snu ułożyć... Zimno, płynące od szczytów rzadkim powiewem, odrętwia jej nerwy... Podmuch zachodni huśta, kołysze, usypia...

Powoli dyszy ziemia omdlałą piersią i leniwie poziewa... A każdy oddech mgłą się unosi, a każdy poziew ciepłymi oparami — ku niebu...

Światło idzie od słońca, i gorąc pali bez ustanku... Blaskiem oślepia naturę, promieniami szczypie i ostre strzały śle w najskrytsze zakątki. Ogień piecze, budzi i ożywia; to trawy, to kwiaty, to drzewa...

Wywołuje

„A co kwiatek — to oczkiem strzeli dookoła
I uśmiechnie się słonku miłośnie.
A co trawka — to drugą siostrzyczkę wywoła
I o igłę nad ziemię wyrośnie...
Co na jawie — to w słonku na życie sny wróży
I w błękity spogląda radośnie,
A co we śnie — to oczka rozkosznie przymruży
I o szczęściu zamarzy, o wiośnie“...

---

podział i związki rodzinne domostwa insze — tak, że dziś osiedle to liczy od 10 do 20 domów. Z kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu takich osiedli składa się cała podkarpacka wieś.

Kwietnia niedziela — boży dzień... Pierwsza niedziela wiosny w krainie skalnych kęp i pustych ugorów. Toż wesele wielkie ogarnia zapadłą w kotlinie wioszczynę, i słońce, dawny sprzymierzeniec ludzi, w radość ubiera twarze, sposępniałe długą zimą i zasuszone chrześcijańskim postem.

Po chatach siedzą ludzie, jak polne norniki. Tylko dym, pnący się z dachów sinymi wężykami ku górze, zdradza, że przy śniadaniu, kto żywnie chce i może, nabiałem krzepi się przy uroczystem święcie na cały boży dzień.

Na polach ptactwo rozkłada gospodarstwo swoje i białość słoneczna chodzi po wydmach skalistych, zresztą nikt... Spokojnie i cicho.

Słońce stanęło już nad szczytem wysokiego Turbacza [1]), kiedy z najdalszego zakątka wioski poczęli sypać się ludzie.. Najpierw jedna postać, skulona, owinięta białą „łoktuską“, utyka po kamienistej drodze, wiodącej zygzakowato koło wody na dół. Sunie schylona, biała, koścista, jak „śmierzć“.. „Pobożne babsko“ — jak ją zwią — „nigdy nie ominie różańca“.

Za nią po dwoje, troje i więcej szarych postaci wyłazi z poza opłotków na drogę. Niezadługo kamienisty zjazd zaroił się różnokolorowym tłumem. Gromadki mniejsze i większe mijają się, schodzą i giną wśród zabudowań przydrożnych, by wypłynąć za chwilę na czas niedługi, póki ich drzewa najbliższego osiedla nie zakryją.

---

[1]) Turbacz — najwyższy szczyt Gorców.

20

Na ramieniu każdego kołysze się cienka, w czerwone wstążeczki przybrana habina: z każdej wykwitają gęsto miękuchne, srebrzyste bazie...

W świątecznem usposobieniu rozgwarzył się wesoło idący lud. Powszedniość smutków i utrapień znikła z jego twarzy, a jeżeli nie uleciała, to skryła się gdzieś głęboko, na dno serca. Nie poznać, że wczoraj był tym samym ludem.

Chichoczą hałaśliwie młodzi, śmieją się cicho, dobrodusznie starzy, jakby ich wszystkich owładnęło szczęśliwe zapomnienie życia...

— W jakie to pędy Józka leci! — zaśmiał się jeden z parobczaków, wskazując habiną na dziewczynę, wyprzedzającą inne.

— Nie dziwota, — zauważył jeden ze starych. — Bedzie w kościele ścisk, bo wielgie święto. Chciałaby się przed ontarz dostać...

— Coby jej naprzód poświęcili!

— Jużci! Bo tam ino na nią czekają z kropidłem...

— Tatusiu! Bedziecie koszyki robić z poświęconych pręci, czy co? — zagadnął jakiś parobczak, przedrwiwając chłopinę mizernego, który dźwigał na ramieniu cały pęk bazi.

Chłopina uśmiechnął się, nie wiedzieć, jak...

— Czy, czy to inno...

Wyjąkane słowa zginęły w chórze śmiechu.

— Baziu, baziu meee.... — krzyczy jeden z chłopaków, naśladując jagnię, i ucieszony, jakby go kto samym miodem napasł, przeskakuje drobne kamienie.

21 / 77

~~— Ja gdowiec, wyście gdowa — tłómaczy jakiś podeszły gazda kobiecie, obok idącej. — Pobiermy się na wolę boską i będziemy pchać jako tę biedę kolanami przed sobą...~~

~~— A co się ma stać, to się stanie! — wypadło z gwarliwej gromadki.~~

— Pomału-że, moja Kasiu! — woła rosły chłopak, śmigając w powietrzu habiną.

Trzy Kasie naraz obejrzały się, co wywołało w gromadzie nowe śmiechy. A „ta czwarta“ ani spojrzała okiem, choć dobrze wie, że na nią wołał.

— Cicho! sygnują!...

Naraz ustały śmiechy. Zdala dolatuje cienkie, monotonne brzmienie sygnaturki...

Ludzie przyśpieszyli kroku. Lekka pogwarka zmieniła się w urywane, ~~gorączkowe~~ zdania. Wszystkim dzwoni w uszach ~~i jęczy~~ głos wołający ~~sygnaturki~~.

Wnet zeszli na ławy i pod kościół, gdzie już tłumy pchały się wązką bramą i zalewały kolisty cmentarz kościelny, otoczony ~~niskim~~ murem. Mały kościołek pomieścił zaledwie część zgromadzonego ludu.

Pozostały tłum szeroką ławą obległ kościół dookoła i stoi, rozmodlony, w słońcu... Stoi cicho, w skupieniu, skąpany jasną białością wiosennych promieni.

Gdy przez drewniane ściany wypadnie stłumiony głos dzwonka od ołtarza — tłum chyli się i klęka, a z nim porusza się falą gęsty las wierzbowych ~~pręci~~.. bazi...

A myśl każdego do lat tych czarnych ucieka i bezwiednie łączy je z przyszłością. „Kto wie, daleko-li ona, ta z kosą?“ Nie boją się jej. „Bo śmierzci nijako nie uciekniesz. Dogoni cię i na kraju świata“... Jedno tylko przeraża ich: „Żeby jako ta nędza obeszła, co się pomału przybliża... Żeby nie wróciły te czarne roki...“

* * *

Pod Groniami, do słonka, orze chłop wilgotne pole. Jego schylona, chuda postać robi wrażenie automatu, przyczepionego do żywej machiny, którą stanowi żelazny pług, idący ostrem żądłem pod ziemią, i dwa kurczące się z wysiłku stworzenia, dyszące pianą woły.

Małe pacholę jedną ręką przyciska pług, by głębiej pruł kamienistą powłokę, a drugą okręconą postronkami, których końce około rogów bydląt owinięte, podnosi lub ściąga ku sobie, jak wyuczony kierownik-woźnica. Znać, że ojciec niejedną już wiosnę zasiał z pomocą pacholęcia.

— Niech się wprawia! — mówił na prośby żony, by go nie zamęczał.—Ja najemnika opłacał nie bedę. A jak mnie nie stanie, to co? Gorzej, jak bieda nauczy po niewczasie...

Takiem dosadnem rozumowaniem zamykał żonie gębę i brał chłopca ku pomocy w pole... I dziś — od rana chodzą po zagonie tam i napowrót, bez ustanku, wciąż. Tysiące uszli stóp, nogi same rozchodziły się i znieczuliły, jak drewno.

Od rana nic w ustach nie mieli, a już spory kawałek z południa.

Kiedy nadeszło „przypołudnie“, ojciec wyprzągł woły z jarzma i dał im po wiązce słomy, mięszanej z polannem sianem. Sam zaś wyciągnął kości na rozścielonym płaszczu i zaczął „przemowę“ do syna, który żałośnie pozierał ku chałupie.

— Nie patrz, Jasiu, nie. Nic nie wypatrzysz... Wiesz przecie, że mama poszła pod kościół, po ziarno do ~~Marka~~ Żyda. Nie przyjdzie aż ku wieczoru. Na wytrzymaniu zależy, moje dziecko... Dziś póst, dzień święty, wielgi piątek... nie wiesz to?

— Dzień święty, a my robimy! — zauważył chłopiec.

Ojciec wyminął odpowiedź.

— Też za to święty, że da robić... Bo jakby lało, to się nie rusz ż chałupy i świętuj z musu. Dziś ludzie na całym świecie nic nie jedzą ~~— starał się wmówić w wygłodniałego chłopca~~. — Nie krzywdź se, bo nie masz o co. Wisz, bydlęta jeść muszą, boby ustały.

— I ja ustanę! — wyjąkał ze łzami chłopak.

— Ho! ho! ho! — zaśmiał się chłop, a żal tajony zadrgał mu na ustach. — Czyś to może nie chłop?! Jasiek! Dyćby się śmiali z ciebie, żeś taki ~~wygryziniał~~. niewytrzymały.

~~Starał się wywołać w chłopcu ambicyę, którą głód wygnał pod ostatnią podeszwę skórną~~.

— Zresztą — dodał na uspokojenie — jak przyjedziemy do chałupy, to se upieczesz okrawków[1]) i bedzie. Pojesz na czas, a teraz zaprzęgaj!

---

[1]) Okrawki = ziemniaki, z których powykrawano do sadzenia dołki z pędami.

I zaprzęgli nanowo i dalej łazić poczęli, stawiając chwiejne stopy. Bo i ojca wnętrzności gryzły. ~~Oscymał~~ synowi, a sam pozierał od czasu do czasu na wijącą się w dole ścieżkę, czy baby nie zobaczy, ~~przypadkiem~~, bo się cnie. Tak od świtu bez niczego?...

— Poszła ~~— mruczy chwilami do siebie —~~ i nie widać jej i nie... O, o, cóż to takiego?

~~Drapie się po głowie i nawraca po drugą skibę.~~ A ~~tu~~ czas powoli się wlecze, i słońce jakoś dłużej świeci, jakby chciało w nieskończoność przewlekać ten utrapiony póst...

Już był śródwieczerz, kiedy oracz dojrzał idących pustymi ugorami ludzi. Zatrzymał woły i, przysłoniwszy dłonią zmrużone oczy, patrzał na ścieżkę. Przechodził okiem zgłodniałego ptaka wszystkie postacie.

— Nie idzie mama? — szepnął chłopak.

— A nie? — potwierdził ojciec — ona zawdy musi na ostatku?..

Popluł w łapy i krzyknął na woły. Już się nie oglądnął ani razu. „Jak przyjdzie, to bedzie. Jeszczebych też oczy tracił po próżnicy!“ myśli w duchu i stąpa po roli; a za nim wrona kroczy, mrużąc jedno oko filozoficznie z wyższością, że sama, nie poniewoli, chodzi se za pługiem...

Już przeszło obok sporo ludzi, a chłop zaciął się i nie zapytał o babę. Pochwalili Boga, dali szczęścia i poszli dalej... Paru zatrzymało się ~~przy nim~~. ~~Mieli chętkę pogwarzyć i odpocząć choć~~ na ~~jeden~~ moment.

— Dobrze się wam orze?

27

— E! tak ta. Skale i skale, nic więcej.

— A wasza kany?

— Poszła ku kościołu.

Już nie mógł wytrzymać, żeby się nie spytać.

— Idzie ta? nie widzieliście?

— A dyć idzie za nami, hań, koło potoka — ozwał się jeden z nadchodzących.

Chłop spojrzał.

— W samy rzecy!... — rozwidniła mu się twarz. Synek się roześmiał.

— Cóż ta dźwigacie?

— Kukurzycę.

— A wy?

— Ja wziął pół ćwierci pszenice i pół jęczmienia. Zmiesza się, i baba ta skutwasi co na święta, jaką placynę...

— Po kieloż?

— O, dyć drogo, bo na bórg. Żyd nie opuści. A płacić nima czem.

Wszyscy kiwnęli głowami.

— Nima czem...

— Dużo ta ludu u kościoła? — spytał oracz.

— Dyć niemało. Każdy też, niewyczytający, przyjdzie pokłonić się Paniezusowi. Ale największy ścisk, to u Marka. Docisnąć się trudno. Biorą: kukurzycę, jęczmień, orkisz, a mąki, to już niemało worków poszło.

— A to wszystko na bórg?

— Ba, juści! O centa we wsi trudno, a każdy chciałby też na Święta cosi gdziesi, bo się wymorzył bez cały póst, że brzucha nie dopatrzy...

Mimowoli oracz spojrzał na dół i kiwnął głową.

— Nie dopatrzy — powtórzył. Przechodzili po jednemu, po dwóch,

I przechodzili tak, po jednemu, po dwóch, i znikali razem ze ścieżką w jałowcach, stadem przysiadłych na stromej uboczy.

Chłopu się orać odechciało. Usiadł na pługu. Chłopiec podbiegł przed matkę, która już była niedaleko.

— Jasiu, nie lećże tak! — zawołała zdala ku rozpędzonemu synkowi.

— Przecie wam ciężko, mamusiu, to poniesę za was choć chwilę... — krzyczy, dobiegając zdyszany i gwałtem chce zdjąć tłómok z ramienia matki.

Ojciec siedzi na pługu i patrzy. Dwie łzy, jak szklisty groch, stoczyły się po zoranej bruzdami twarzy.

— Biedactwo! — szepnął — ledwie łazi, a pragnie matce dospomódz...

Przez łzy patrzał ku nim, jak szli pod górę. Za ich nadejściem otarł je rękawem.

— Szczęść Boże! — ozwała się kobieta, rozjaśniając uśmiechem młodą, ale zbiedniałą twarz. — Jakże ci się tu orze? Bartuś!

— Dyć widzisz — wyjąkał sucho, usiłując zakryć poprzednie rozczulenie.

Zrzuciła tłómok, siadła przy nim i pogłaskała go po szorstkiej twarzy. Chwilkę zabłysły oczy jego tkliwością, przechodząc zwolna w powszednie zobojętnienie...

Jaś począł „majstrować“ koło zawiniątka z pełnem przeświadczeniem, że przecie „coś“ znajdzie,

29

że żyd musiał cosi przyrzucić do ziarna. I nie zawiodło go przypuszczenie. Aż mu się oczy zaiskrzyły, skoro dojrzał w odwiniętym troku płachty koniec rogu plecionej kukiełki. Ułamał bez pytania i począł łakomie targać zębami.

Matka tymczasem rozpowiadała ojcu o całem podkościelu, o wielkiej procesyi ludu, który zwłóczy żywność, skąd może i jak może... Potem o sobie mówiła, jak się wypłakała przed obrazem Ukrzyżowanego, jak targowała ziarno, wiele jej żyd zacenił, a wiele ona obiecała i tak dalej...

— Wzięłach garść pszenicy, bo z jęczmienia suchy placek. Nie wiem, jak ci się ona uda...

Odwróciła się po tłómok, leżący za jej plecami. Chłopiec odskoczył przestraszony; ręce mu opadły, a w zębach trzymał, nie mogąc przełknąć, ostatni kawałek ułamanego rożka. Zaczerwienił się po szyję. Matka spojrzała nań z boleścią, i łzy rzuciły się jej do ócz.

— Jasiu! Dyć się nie bój! Przecie to la ciebie, nie la kogo...

Zawstydził się chłopiec i ucałował rękę matczyną, która głaskała go łagodnie po zarumienionem licu. Rozłamała kukiełkę i podała chłopu.

— Ukąś-że i ty, boś głodny.

— A cóż bedziesz święcić?

— Nie tróbuj się, Bartuś! Upiekę chleb, zaniesę i bedzie...

Siedzieli w milczeniu jakiś czas, a słońce spadało zwolna na zachód, nad Zimne Doliny.

— Słonko poczyna sie mglić...

— Żałoba idzie od Jerozolimy...

— Idzie na cały świat...

— Smutek na ludzi...

Przyciszonym głosem wyrywały się nabożne słowa, płynąc melodyą na wieczność, w opustoszałą dal... Nastrój dziwny ogarnął skupioną na roli gromadkę.

— Nie bedziesz orał? — odezwała się żona z prośbą w głosie.

— Jeszcze choć zagon urwę, hań, po kępę... — wskazał ręką.

— Nie, Bartuś! Paniezus-by się gniewał, że ty orzesz, kiedy on za nas na krzyżu umiera. Nie orz, nie!... Musisz się przecie umyć i ogarnąć jakoś do kościoła. Czas wnetki leci...

Chłop podumał chwilę.

— Ha, no, moc boska! Nie dziś, to jutro...

Wyprzągł woły z pomocą Jasia, który je popędził, uradowany, ścieżyną przed siebie. Pług został na zagonie, do jutra. Bartek torbę na ramię zarzucił – i poszli razem milczącą gromadką pod wysokie Gronie. Wnet schowały ich za potokiem rozłożyste smreki i gęstwią obsiadłe jałowce...



Nazajutrz zrana uwijała się Bartkowa baba, żeby jak najprędzej posprzątać w izbie i zejść ze „święconem“ ku kościołowi, bo tam ksiądz nie będzie na nią czekał.

31

— Jasiu! przygotuj chrzan! — woła, zaścielając łóżko.

Jaś szybko zaczął oskrobywać ze skóry leżące na ławie wilgotne korzenie i układać je w ręcznym koszyku, w którym na dnie spoczywał połeć słoniny i wędzona kiełbasa, przechowana w sąsieku od mięsopostu jeszcze, i dwa świeżo wypieczone ze światłej mąki chleby; prócz tego spory kruszek soli i garnuszek białego masła.

Wnet uwinęła się kobiecina, przełknęła śniadanie jednym tchem i poczęła zawdziewać gorączkowo łachy.

— A głowienki przygotowałeś? — woła do Jasia.

— Są!

Skoczył do sieni i przyniósł wiązkę głogowych patyków.

— No, to wszystko!... — szepnęła do siebie, zawdziała chustkę, wzięła do ręki koszyk...

— Pilnuj tu, Jasiu! A drzwi zamknij, skoro pożeniesz woły, żeby cygan nie wlazł, albo jaki światowiec.

Napowiedziała mu dokładnie, co ma robić, i przeżegnawszy się wodą święconą z kropielniczki, wiszącej na odrzwiach, wyszła.

Przed owczarnią, na podwórku, krzątał się Bartek.

— Ostań z Bogiem! — szepnęła.

— Nie siedź ta długo! — rzucił jej na drogę i poszedł do obory wyprowadzić woły, bo słonko wysoko, a pług sam nie urwie ani skiby.

— Jajka! jajka! — rozległo się po osiedlu.

14

82

WILIJA

W chałupie Błażeja Szczytpy panuje jakiś świąteczny nastrój. Wprawdzie nic się tu nie zmieniło od wczoraj; te same czarne, odymione ściany, te same sprzęty w izbie, nawet może więcej śmiecia leży na glinianej podłodze, ale widać z powszechnej „uwijacki", z radosnego oczekiwania, malującego się na wynędzniałych twarzach dzieci, że ma nastąpić jakaś ważna chwila, jakieś wielkie święto... I te widoczne, zapowiednie znaki robią ten dzień niepowszednim, różnym od szarych dni całego roku. To dzień wilji Bożego Narodzenia...

Wiedzą już o tem i dzieci, bo im wczoraj matka zapowiedziała wyraźnie:

— Pamiętajcież se dobrze, żeby mi jutro żadne na karę nie zasłużyło!... Bo jak na wilję dostanie bicie, to je bez caluteńki rok to samo czeka...

A ojciec przybaczył im jeszcze dziś rano napomnienie matki, gdy wychodząc z ciupagą uciąć podłaźniczkę,[1] popatrzał na nie z napół surowym uśmiechem i rzekł od progu:

[1] Podłaźnicka — choinka leśna, na której wieszają opłatki (miejskie „drzewko").



każdemu wolno kochać

BLOK MUZA FILM

— Nie dokazujcie, ino słuchajcie mamy, bo „na wiliją — dzieci biją“...

Tereska nie potrzebowała napomnienia; miała już piętnaście lat i właśnie pomagała matusi w zarabianiu ciasta z jęczmiennej mąki, ale średni Wojtuś, a zwłaszcza najmłodszy Józuś, który w izbie robił hałas za dziesięciu — ci dwaj zbereźnicy, gdyby nie zapowiedź całorocznej kary, nie siedzieliby tak spokojnie w kącie...

— Tereś! — zwróciła się matka do dziewczyny, która z zagiętymi po łokcie rękawami lnianej koszuli mięszała ciasto na nieckach — umyj se ręce i zabier się do innej roboty. Ja to już sama skończę. Przynieś karpiele z piwnicy, obier je, a potem przygotuj grzyby i kapustę...

— Dyć jeszcze czas... — zauważyła Teresia, nie chcąc przerywać miłej roboty. Lubiła patrzeć, jak się jej ciasto wymykało z pod drobnych paluszków.

— Nie czas, nie, bo wieczór na ramieniu. Kież się uwarzy?... A groch trza długo gotować, coby uwrzał...

Tereska, rada nie rada, musiała słuchać. Wyjęła leniwie ręce, opłukała w ciepłej wodzie, odwinęła rękawy i przeszła z koszykiem do piwnicy.

Matka tymczasem wymiesiła do reszty ciasto, zarobiła drożdże i ustawiła niecki na piecu.

— W cieple może się prędzej ruszy... — szepnęła do siebie i zabrała się do gniecenia bryn-



każdemu wolno kochać

BLOK MUZA FILM

dzy na szerokiej misce, lejąc mleko słodkie i bijąc pół kopy jaj.

Dwaj chłopcy przybliżyli się ku niej.

— Mamusiu, co to bedzie? — zapytał nieśmiało młodszy.

— Kołacze bedą...

— Dziś?... — spytał starszy.

— Dziś póst... nie wiesz o tem? Wilija...

— To nic nie będziemy jeść, bo mama powiedziała Teresi, że dopiero na wieczór ugotuje...

— Na wiliją... — oświadczyła matka.

— To dopiero wieczór wilija?... — pytał żałośnie młodszy.

— Cały dzień wilija, ale się dopiero na wieczór je...

— Na wieczór!... — szepnęli smutno obydwa i spojrzeli ku garnkom, stojącym rzędem na nalepie.

Niezadługo wróciła Tereska i jęła się łupienia kartofli. Matka pokończyła swoje, zapaliła w piecu i szła robota po robocie, raźno, wartko... W dymnej izbie wisiało oczekiwanie rok niewidzianej wilji...

Niebawem i Błażej wrócił z podłaźnicką. Zmarzł jak sęk, bił kerpcami o ziemię i pchał się ku piecowi...

— Mróz, jak sto djabł...

— Cit!... — pogroziła mu żona — wilja dzień święty... Nie obrażaj Boga i ku piecowi się nie



każdemu wolno kochać

BLOK MUZA-FILM

pchaj, boś nie piecuch!... Jeszcze mi do ciasta naprószysz. W izbie nie umarzniesz...

Błażej, zbity z tropu, łypnął oczami, jeszcze raz kerpcem jęknął o ziemię i pognał do stajni, wrzucić wołom garść siana. O woły dbał, jak każdy chłop, który im ma co dawać...

— Tereska! — zbaczyła se matka — leć no za ojcem, niech zruci drobnego siana...

— Na stół! Prawda! — klasnęło dłonie dziewczę i pobiegło za ojcem na boisko.

Matka przykładała drew do pieca. Dym walił się na izbę i sięgał prawie do samej ziemi. Dusiła się kobiecina, raz po raz wycierała oczy fartuchem i uparcie nie odstępowała nalepy...

— Dyć się przecie musi przewalić... — powtarzała głośno.

— Mamo! szczypie! dym!... — wołał Józuś.

— To idź do izdebki... czemu tu siedzisz?...

Wojtuś pociągnął braciszka, rzucili się strzałą przez sień, drzwi tylko do izdebki zaskrzypiały... Dym pchał się otwartemi na oścież drzwiami, ale z izby nie ustępował. Wszędzie go było pełno.

— Niech bedzie pochwalony!... — rozległo się w sieni.

— Na wieki wieków!... — wypadło od nalepy. Błażejowa przetarła lepiej oczy, nachylając się, by dojrzeć, kto tam taki...

Na progu zarysowała się ciemno, jak we mgle, chuda postać.


każdemu wolno

— A, to ty, Jagnieś!... Pójdź-że dalej, ale tu dym...

— A tam mróz, sto razy gorszy od dymu... — odpowiedziała zgrzytliwie i przypadła do nóg gospodyni. — O moja gosposiczko!...

— Nie schylaj się, nie... Skądże idziesz?

— Pytajcie się, ka idę... bo sama nie wiem. U ludzi wilija — a u mnie zawdy póst...

— No, siądźno, siądź, nie narzekaj — mówiła łagodnie gospodyni. — Zostaniesz na wiliję u nas. Nie dużo nas, to się zmieścisz...

— O moja gosposiczko!... — drugi raz przypadła do nóg Błażejowej. Nie miała słów podzięki. Ona, biedna komornica, raz będzie na „porządnej wilii“, w cieple, przy pełnych miskach... Zdumiona nieoczekiwanem szczęściem, siadła nieśmiało na ławie.

— Cóż ta u ludzi słychać? — spytała po małej chwili gospodyni.

Jagnieszka nie odpowiadała, rozbierając w myśli zaprosiny, nie dowierzając jeszcze... Gospodyni powtórzyła zapytanie.

— U ludzi? u ludzi, pytacie?... Jak zwyczajnie na wiliję — każdy ciągnie do chałupy i znosi, co może... Jasiek z Brzegu kupił worek mąki od żyda...

— Czy mu już brakło ziarna?

— Co mieli, to zjedli na jadwencie. Ho! nie każdy to ma swoje, nie każdy...


każdemu wolno

— No i pomyślijcie, ka ta do przednowku, a już kupują...

— La biednych cały rok przednowek.

— Dyć tak, nie inaczej... — zadumała się gospodyni, patrząc z założonemi rękami w trzaskający ogień. Myślała o przyszłości, o dzieciach swoich... Dziś jeszcze mają... ale potem, za jakiś czas... czy się obejdą na wiliję o swojem? Czy ich bieda nie zmusi kupować — i za co?...

— Rusza się... rusza!... — wołał wesoło mały Józuś, który już wpadł z izdebki i wskazywał rozwartemi palcami na niecki. Jagnieszka podniosła się z ławy.

— Bez uroku! piekne ciasto. Będą się kołacze darzyć...

— Oh, już czas! a ja się zagadała... — karciła się gospodyni. Zdjęła z pieca niecki i przyklaskiwała dłonią ciasto, które wypychały na boki żywe drożdże.

Błażej wszedł do izby, a za nim wbiegła Tereska, niosąc na narączku drobne siano.

— Cóż tak siedzicie? — zburczała ich gospodyni. — Tereś, Bój się Boga, to już dawno z połednia, a jeszcze ci nic nie wre... Kładź-że drewna na ogień i gotuj co tchu! Siano podścielisz na dość czasu...

Komornica schyliła się z bojaźnią do kolan gazdy, pytając nieśmiało, czy mu nie będzie markotno, że ją gaździna zatrzymała na wiliją...


każdemu wolno

Chłop się rozśmiał dobrodusznie. Więc, bardzo rada, pozwijała się w kłębek i siedziała odtąd cicho w kącie, pragnąc jak najmniej miejsca zajmować...

Tereska zwinęła się koło nalepy, podniecila ogień. Z garnków buchała para na izbę, z której już dym ustąpił drzwiami i okiennicą na górę... Matka rozklaskiwała placki, kładła na nie bryndzę i sadzała do pieca, żegnając je krzyżem, by się lepiej darzyły... Kołacze rumieniły się w piecowym warze, rosły, a dzieci miały z tego okrutną uciechę, tylko, że o mało się im bicia nie dostało, bo podłaziły matce pod łopatę, na której wsadzała placki.

Błażej zaś „świarniał się" po izbie tu i tam. Bydłu polanie przyniósł, podłaźniczkę obcinał, ale i głód mu ściskał wnętrzności, bo często zazierał do garnków, rychło się uwarzy...

Mroczyło się powoli... Nadchodził wilijny wieczór. Czuć go już było w podnieconej gorączce oczekiwania, malującego się na zgłodniałych twarzach. Nie dziwota — od rana nic nie jedli, żeby na wiliję módz więcej przełknąć i bardziej się ucieszyć...

Matka już powsadzała placki, zatkała piec i zajęła się przystrojeniem wieczerzy...

Cztery duże miski stały na skrzyni. Rozmaite „warzywo" z garnków wypełniło je po brzegi.

Podczas, gdy się jedzenie chłodziło, zaścielono


każdemu wolno

w izdebce stół drobnem sianem i przykryto lnianą paruchą. [1]

Wszyscy przeszli do izdebki i poklękli na ziemi...

— „Pobłogosław, Panie, te dary“... — mówił z przejęciem Błażej, a inni powtarzali za nim...

Tylko mały Józuś nie uczuwał tego nastroju religijnego, pierwszy wygramolił się za stół na ławę i wybrał swoją łyżkę, a w czasie modlitwy zjadł dwa opłatki, rozważnie pominąwszy leżący przed sobą, bo wiedział, że ten mu i tak nie ucieknie...

Z przejęciem tej ważnej chwili obsiedli stół, a gdy gospodyni pownosiła miski i zajęła swe miejsce, poczęli się łamać opłatkiem... Łamali się naprzemian wszyscy, po dwa, po trzy razy. Dzieci chichotały głośno, komornica łzy miała w oczach; powaga chwili rysowała się w twarzy Błażeja i żony jego... Ręka mu drżała, gdy jej podawał opłatek...

— Niech Pan Bóg dobry pozwoli dożyć... doczekać drugiej wiliji w szczęściu... zgodzie — pocałował krucze włosy żony. Komornica się nażyczyć nie mogła obojgu, że ją tak przygarnęli...

Wesołość powróciła, gdy matka podała pierwszą miskę. Rzucili się zgłodniali i wyławiali drewnianemi łyżkami okrągły groch w brunatnej wo-

---

[1] Parucha — biała płachta.



każdemu wolno

dzie... Potem szła kapusta z grochem i suszonemi grzybami, polewka śliwowa z ziemniakami, na ostatku karpiele ze słodkiem mlekiem...

Dwie miski wypróżnili z kretesem, na trzeciej zostało na dnie mało co, na ostatniej najwięcej...

Najedli się do syta, jak w żadnym dniu całego roku — i to była ich „wilija"...

Matka pozlewała resztę jadła bydłu na polanie.

— Przecie i ono czuje, że dziś o północy zjawi się Zbawiciel świata — mówił Błażej. — Niech zje, niech i ono ma wiliję, jak się patrzy...

Po wieczerzy ojciec wniósł podłaźniczkę do izdebki, siadł przy stole i począł wycinać nożyczkami kółka z opłatków kolorowych. Dzieci przysunęły się ku niemu, zapatrzone, szczęśliwe, jak nigdy...

Gdy gospodyni wyjęła upieczone kołacze i wyniosła na chłód, a Tereska skończyła odbywać się z bydłem — wszyscy znaleźli się razem w ciepłej izbie, gwarząc wesoło i ubierając podłaźniczkę...

I wieczór prędko zleciał. Przed północkiem wpadł Wojtek z Doliny, zmarznięty jak kołek, nie mogąc nawet palców rozprościć, w których dzierżył zadymioną latarkę...

— Idziecie na jutrznię?

— Idziemy...

— To się zbierzcie.

Tańczył po izbie, by się jako rozgrzać, a tymczasem Błażejowa z Tereską wdziewały łachy.


Każdemu wolno

Błażej się obuwał i pchał ociepki słomy do kerpców, bo „mróz nie śpasuje“...

Wnetki się zebrali i poszli razem na jutrznię. W chałupie została komornica z dwojgiem dzieci, uszczęśliwiona, że posiedzi w cieple po takiej uczcie; miała jednak niemało kłopotu z Józusiem, który nie mógł usnąć i wrzeszczał co chwila, że mu „wilija siedzi w brzusku i gniecie“...


każdemu wolno

BAZIE

W kotlinie pod Gorcami rozlewają się promienie słoneczne jasną białością wiosennego dnia. Cała natura świeża, z pobrukanej szaty śnieżnej rozodziana, kąpie się w tych promieniach i suszy w lekkim podmuchu wietrznym, falisto płynącym od białych, zimnych szczytów.

Gdzieniegdzie w głębokich potokach widnieją szare płaty niestajanego śniegu, lecz gęściej czerwienią się na wzgórkach słonecznych świeżo zorane zagony.

Cała ziemia wygrzewa się rozkosznie do słońca, które w białej pełni płynie ponad szczytami...

W stromej uboczy skrył się w półcieniu szary wrąb, a przylaski czarne i jałowce tulą się koło niego, jak potracone stada owiec...

Doliną spływającej roztoki rozścieliła się cała wioska: Osiedla[1] mniejsze i większe, otoczone

---

[1] Osiedle — parę domów w kupie, związanych wspólnością pastwisk i ugorów. Nazwa „osiedla", używana na całem Podkarpaciu, pochodzi jeszcze z czasów, kiedy osiedlali się pierwotni przybysze, karczując nietknięte lasy. Około jednego domostwa do którego na-



każdemu wolno

sadami, a potracone rzadko, jak gniazda skowron-cze na ugorze.

Spokój we wsi i cisza... Tylko w naturze widać wszędzie ciekawe oczy, niby oczy chłopięcia, które po długim, ciężkim śnie budzi się nagle w nieznanej okolicy. Wszystko patrzy... Każda trawka wychyli się ku tobie ciekawem spojrzeniem... Gdzie zajdziesz — wszędy jesteś na jasnym widoku rozbudzonej natury... Gdzie spojrzysz — oczy... same oczy.

Chwilami zda się, że zleniwiała natura przeciera je po długiem spaniu zimowem i napowrót chce się do snu ułożyć... Zimno, płynące od szczytów rzadkim powiewem, odrętwia jej nerwy... Podmuch zachodni huśta, kołysze, usypia...

Powoli dyszy ziemia omdlałą piersią i leniwie poziewa... A każdy oddech mgłą się unosi, a każdy poziew ciepłymi oparami — ku niebu...

Światło idzie od słońca i gorąc pali bez ustanku... Blaskiem oślepia naturę, promieniami szczypie i ostre strzały śle w najskrytsze zakątki. Ogień piecze, budzi i ożywia; to trawy, to kwiaty, to drzewa...

---

leżał dzisiejszy grunt całego osiedla, powstawały z czasem przez podział i związki rodzinne domostwa insze — tak, że dziś osiedle to liczy od 10 do 20 domów. Z kilkunastu, a nawet z kilkudziesięciu takich osiedi składa się cała podkarpacka wieś.


każdemu wolno

A co kwiatek — to oczkiem strzeli dookoła
I uśmiechnie się słonku miłośnie.
A co trawka — to drugą siostrzyczkę wywoła
I o igłę nad ziemię wyrośnie...
Co na jawie — to w słonku na życie sny wróży
I w błękity pogląda radośnie,
A co we śnie — to oczka rozkosznie przymruży
I o szczęściu zamarzy, o wiośnie...

Kwietnia niedziela — boży dzień... Pierwsza niedziela wiosny w krainie skalnych kęp i pustych ugorów. Toż wesele wielkie ogarnia zapadłą w kotlinie wioszczynę i słońce, dawny sprzymierzeniec ludzi, w radość ubiera twarze, sposępniałe długą zimą i zasuszone chrześcijańskim postem.

Po chatach siedzą ludzie, jak polne norniki. Tylko dym, pnący się z dachów sinymi wężykami ku górze, zdradza, że przy śniadaniu, kto żywnie chce i może, nabiałem krzepi się przy uroczystem święcie na cały boży dzień.

Na polach ptactwo rozkłada gospodarstwo swoje i białość słoneczna chodzi po wydmach skalistych, zresztą nikt... Spokojnie i cicho.

Słońce stanęło już nad szczytem wysokiego Turbacza,[1] kiedy z najdalszego zakątka wioski poczęli sypać się ludzie... Najpierw jedna postać, skulona, owinięta białą „loktuską“, utyka po ka-

[1] Turbacz — najwyższy szczyt Gorców.


każdemu wolno

mienistej drodze, wiodącej zygzakowato koło wody na dół. Sunie schylona, biała, koścista, jak „śmierzć“... „Pobożne babsko“ — jak ją zwią — „nigdy nie ominie różańca“.

Za nią po dwoje, troje i więcej szarych postaci wyłazi z poza opłotków na drogę. Niezadługo kamienisty zjazd zaroił się różnokolorowym tłumem. Gromadki mniejsze i większe mijają się, schodzą i giną wśród zabudowań przydrożnych, by wypłynąć na chwilę na czas niedługi, póki ich drzewa najbliższego osiedla nie zakryją.

Na ramieniu każdego kołysze się cienka, w czerwone wstążeczki przybrana habina, z każdej wykwitają gęsto miękuchne, srebrzyste bazie...

W świątecznem usposobieniu rozgwarzył się wesoło idący lud. Powszedniość smutków i utrapień znikła z jego twarzy, a jeżeli nie uleciała, to skryła się gdzieś głęboko, na dno serca. Nie poznać, że wczoraj był tym samym ludem.

Chichoczą hałaśliwie młodzi, śmieją się cicho, dobrodusznie starzy, jakby ich wszystkich owładnęło szczęśliwe zapomnienie życia...

— W jakie to pędy Józka leci! — zaśmiał się jeden z parobczaków, wskazując habiną na dziewczynę, wyprzedzającą inne.

— Nie dziwota, — zauważył jeden ze starych.— Będzie w kościele ścisk, bo wielgie święto. Chciałaby się przed ontarz dostać...

— Coby jej naprzód poświęcili!


każdemu wolno

— Jużci! Bo tam ino na nią czekają z kropidłem...

— Tatusiu! Bedziecie koszyki robić z poświęconych pręci, czy co? — zagadnął jakiś parobczak, przedrwiwając chłopinę mizernego, który dźwigał na ramieniu cały pęk bazi.

Chłopina uśmiechnął się, nie wiedzieć, jak...

— Czy, czy to inno.

Wyjąkane słowa zginęły w chórze śmiechu.

— Baziu, baziu meee... — krzyczy jeden z chłopaków, naśladując jagnię, i ucieszony, jakby go kto samym miodem napasł, przeskakuje drobne kamienie.

— Ja gdowiec; wyście gdowa — tłómaczy jakiś podeszły gazda kobiecie, obok idącej. — Pobiermy się na wolę boską i bedziemy pchać jako tę biedę kolanami przed sobą...

— A co się ma stać, to się stanie! — wypadło z gwarliwej gromadki.

— Pomału-że, moja Kasiu! — woła rosły chłopak, śmigając w powietrzu habiną.

Trzy Kasie naraz obejrzały się, co wywołało w gromadzie nowe śmiechy. A „ta czwarta“ ani spojrzała okiem, choć dobrze wie, że na nią wołał:

— Cicho! sygnują!...

Naraz ustały śmiechy. Zdala dolatuje cienkie, monotonne brzmienie sygnaturki...

Ludzie przyśpieszyli kroku. Lekka pogwarka zmieniła się w urywane, gorączkowe zdania.


każdemu wolno

Wszystkim dzwoni w uszach i jęczy głos wołającej sygnaturki.

Wnet zeszli na ławy i pod kościół, gdzie już tłumy pchały się wąską bramą i zalewały kolisty cmentarz kościelny, otoczony niskim murem. Mały kościółek pomieścił zaledwie część zgromadzonego ludu.

Pozostały tłum szeroką ławą obległ kościół dookoła i stoi, rozmodlony, w słońcu... Stoi cicho, w skupieniu, skąpany jasną białością wiosennych promieni.

Gdy przez drewniane ściany wypadnie stłumiony głos dzwonka od ołtarza — tłum chyli się i klęka, a z nim porusza się falą gęsty las wierzbowych bazi...


każdemu wolno

98

50

WESOŁY DZIEŃ

Ścieżyną wąską, wiodącą krzywemi linjami w górę wśród rozścielających się pustką dokoła ugorów, wspinają się osłabieni ludziska, zmizerowani, wychudli, nędzni... Idą po parze lub pojedynką, potrącani, z wysiłkiem uginają kolana pod ciężarem torb i tobołków różnych wielkości, przewiązanych szarą płachtą przez ramiona i opadających ciężko na plecy. Każdy dyszy piersią całą i wyciąga naprzód z wysiłkiem szyję, którą gniecie węzeł związanych końców grubej łoktusy. Wola każdego walczy ostatkiem sił z przewieszonemi ciężarami, które odciągają wstecz... Idą starcy, kobiety i wyrostki. Ostatnich z nich prowadzi jakaś siła, zrodzona z niezrozumiałej konieczności. Ciężar, obwisający aż do połowy chudych, dziecięcych postaci, kieruje niemi i wodzi na wszystkie strony. Zdaje się, że niejeden padnie lada chwila: chwieje się, słania, staje, chlipie powietrze i dalej rusza za innymi... Nie zliczyć krótkich wypoczynków, które


każdemu wolno

stwarzają dziwną siłę w tych dziecięcych starcach. Jeszcze to od ziemi nie odrosło, a już je ciężar do ziemi przygniata... I nie uwierzyć, że to własna karm ich przywala, że może w myśli już naprzód widziany, wypieczony chleb dodaje im sił do dźwigania ciężkiego ziarna, którego wielki brak w chałupie. —

— Życie roślinę pędzi w górę, człeka do ziemi gniecie. Bo taka opatrzność boska i nic więcej — mówią starzy, a młodzi od starych uczą się rozumu.

— Nie inaczej — powtarzają — nie inaczej... Inaczej nie będzie...

Idą schylone, nikłe postacie ku wysokim Groniom. Idą jak karłowate, pokutnicze Syzyfa potomstwo, które toczy przed sobą konieczność kamienną — życie. W niejednej twarzy zapamiętałość straceńca zaschła w znieruchomiałości zaciśniętych warg, niejedne oczy błyszczą świeżą łzą lub stają szklanne rozpaczą przed życiem, jak przed otwartym grobem, niejedna twarz uśmiechem okoli się gorszym od łez, uśmiechem nagrobnego filozofa — ale wszystkie oblicza mają jednaką skamieniałość mumicznych czaszek: czarną skórę, przyschniętą na kości, i ze wszystkich widnieje jeden i ten sam: wieczny, utajony ból...

Idą pustemi ugorami ścieżyną, znikają w potokach, przecinających w poprzek strome działy,


każdemu wol

Nazajutrz zrana uwijała się Bartkowa baba, żeby jak najprędzej posprzątać w izbie i zejść ze „święconem“ ku kościołowi, bo tam ksiądz nie będzie na nią czekał.

— Jasiu! przygotuj chrzan! — woła, zaścielając łóżko.

Jaś szybko zaczął oskrobywać ze skóry leżące na ławie wilgotne korzenie i układać je w ręcznym koszyku, w którym na dnie spoczywał połeć słoniny i wędzona kiełbasa, przechowana w sąsieku od mięsopostu jeszcze, i dwa świeżo wypieczone ze światłej mąki chleby; prócz tego spory kruszek soli i garnuszek białego masła.

Wnet uwinęła się kobiecina, przełknęła śniadanie jednym tchem i poczęła zawdziewać gorączkowo łachy.

— A główienki przygotowałaś? — woła do Jasia.

— Są!

Skoczył do sieni i przyniósł wiązkę głogowych patyków.

— No, to wszystko!... — szepnęła do siebie, zawdziała chustkę, wzięła do ręki koszyk...

— Pilnuj tu, Jasiu! A drzwi zamknij, skoro pożeniesz woły, żeby cygan nie wlazł, albo jaki światowiec.

Napowiedziała mu dokładnie, co ma robić, i przeżegnawszy się wodą święconą z kropielniczki, wiszącej na odrzwiach, wyszła.


każdemu wolno

Przed owczarnią, na podwórku, krzątał się Bartek.

— Ostań z Bogiem! — szepnęła.

— Nie siedź ta długo! — rzucił jej na drogę i poszedł do obory wyprowadzić woły, bo słonko wysoko, a pług sam nie urwie ani skiby.

— Jajka! jajka! — rozległo się po osiedlu.

Jaś wypadł przez sień, chłop wyjrzał z obory.

— Co za jajka? — spytał.

— Na święcenie! — woła zdyszana baba. — Zapomniałach se doznaku i od miedzy musiałach się wrócić. Jasiu! Tam, w garczku... wyjmij, włóż do konewki i podej!... O!... — oparła się o ścianę — tak mi serce bije...

— To nie leć! — odrzekł chłop z wymówką.

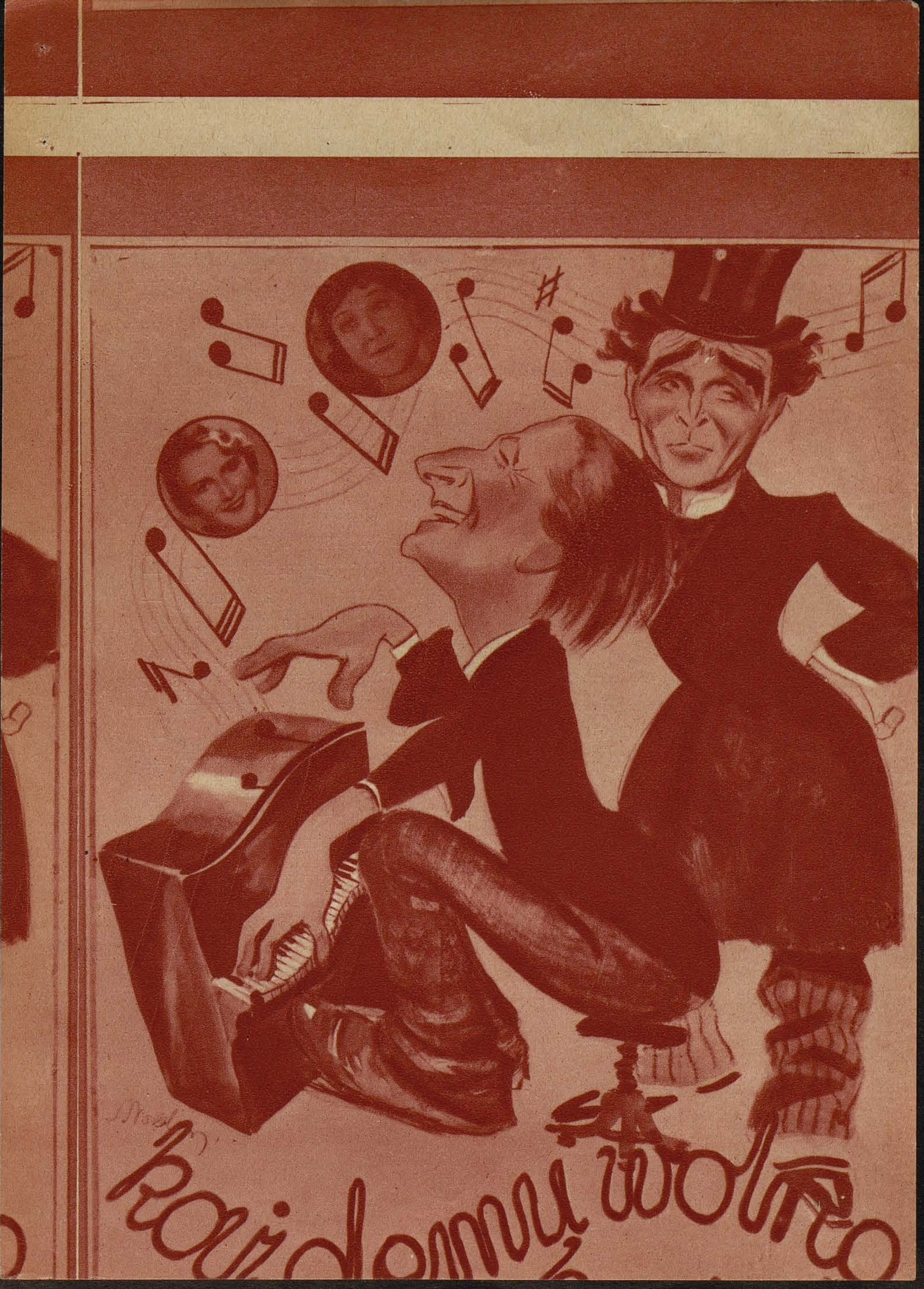
— Nie leć! nie leć!... A ksiądz nie zaczeka!...

Powkładała do koszyka gotowane jajka, które wyniósł chłopiec i poszła poza izbę, krótszym chodnikiem.

— A nie prawdem gadała? — szepnęła, wchodząc do furtki kościelnego cmentarza. — Już święcą!

I poczęła się przepychać wśród ścisku, wystawiając naprzód odkryty koszyk, żeby go też nie ominęła święcona woda z kropidła, „bo święcone byłoby nieważne“.

Wielki, różnobarwny tłum ludzi rozłożył się cichym obozem na cmentarnym trawniku. Stojące, schylone i klęczące postacie robią wrażenie nie-


każdemu wolno

mych przekupni na jarmarcznem, mieniącem się jaskrawo tle.

W odkrytych koszykach i na rozścielonych płachtach pełno rozmaitych spożywczych przedmiotów. Przeważa nabiał. Nawet przez sto lat, choćby niosła codzień, nie zniesie kura tych jaj, co się bielą po kościelnym trawniku. Stoją rzędem porozkładane garnuszki masła i bryndzy; nawet soli mógłby na furę nabrać. Chłopina jakiś przyniósł na plecach pełną konewkę mleka; gdzieniegdzie nawet widać stojące, długie maślniczki. Co ma lud najlepszego we wsi, to pozwłóczył na cmentarz. Niech się święci!

A ksiądz poważnie chodzi wśród tłumu i macha kropidłem... Przed nim pochylają się głowy, i wargi machinalnie szepcą wyuczone paciorki.

Na cmentarzu, od strony zakrystji pali się poświęcone ognisko. Otoczyli je kołem niedorostki, popychając się wzajem i hałasują głośno. Każde dzierży w ręku wiązkę cierniowych gałęzi, każde pcha się do ognia, co sił, by je choć po końcach opalić w płomieniu świętym...

Tak święci lud głowienki; tak zapewne święcili jego przodkowie, przed tysiącem lat.

Bartkowa baba docisnęła się do samego księdza. Pokropił jej zawartość koszyka; chlusnął wodą, jak się patrzy. Zadowolona z tego wielce, poszła się przed ołtarz pomodlić... Ale ino na chwilkę wpadła, na końdeczek, bo się musi śpie-


każdemu wolno

szyć co prędzej do chałupy. Paniezus i Matka Najświętsza muszą przebaczyć, bo też tam nie ma kto co zrobić. Ojciec z Jasiem w polu, a tu telo mycia, prządania, że łeb boli na samo wspomnienie. Upiec by się zdało co, z mąki i bryndzy, bo przecie Święta, nie co inszego...

Zakończywszy w ten sposób pacierze — poszła za ludźmi, którzy ciżbą wychodzili z kościoła.

* * *

Rano, we Wielką Niedzielę — wielka uciecha panowała w Bartkowej izbie. Jedli święcone jajka, święcony chleb ze słoniną i z masłem i święcony chrzan ze święconą solą. Na ostatku wypili po dwa okopiste garczki kawy. Każde wypociło się dobrze przy jedzeniu, i wszystkie twarze poweselały naraz... po takim długim poście!...

Zebrana razem uszczęśliwiona rodzina gromadka ozwała się jednogłośnym chórem:

Wesoły nam dzień dziś nastał,
Którego z nas każdy żądał...

I z pewnością każde śpiewało z odczuciem i szczerze...


każdemu wolno